

AUTOR POWIEŚCI ZE ŚWIATA
GWIEZDNYCH WOJEN, OBCEGO I CONANA

STEVE PERRY



MATADORA



Fabryka Słów

STEVE PERRY

MATADORA

Przełożył Marcin Mortka



Trzy zasady Matadorów:

1. Adeptci mają być przez cały czas przygotowani na atak.
2. Adeptom nie wolno ani na moment ściągać spetsdödów.
3. Walkami na śmierć i życie nie rządzą żadne zasady.

Istnieje grupa ludzi, którzy pomogli mi w pisaniu, czasem w bezpośredni, a czasem w inny sposób. Wśród nich znaleźli się: Dianne, Meg, Dal, Stephani, Toni, Carol, Roger, Carol, Slick, Brynne, Beth, Shawna, Sharon, Ginjer, Candy, Vonda, John, Gin, Ray, Jean – oraz oczywiście moja piękna Mallory. Bardzo mi pomogliście. Dziękuję.

Dla Dianne, dla Dianne!

Dla Sharon, za cały wkład jej.

I dla Mary Ann Brown, która czytała moje pierwsze nieudolne wprawki.

CZEŚĆ PIERWSZA

„Krok po kroku, przejdiesz drogę, która liczy tysiąc mil.”

Miyamoto Musashi

„Niezbędnym jest dla księcia, który pragnie utrzymać się, aby nauczył się nie być dobrym i zależnie od potrzeby posługiwać się lub nie posługiwać się dobrocią.”

Machiavelli

Niccolo Machiavelli, *Książę*,
przeł. Czestaw Nanke, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2004.

JEDEN

Śmierć wyłoniła się zza automatu do gry dla dzieci.

Tym razem tylko jeden mężczyzna, ale Dirisha wiedziała, że jest wyszkolony. Świadczył o tym sposób, w jaki się poruszał – w skupieniu, zachowując wewnętrzną równowagę. Nie znała go, ale wiedziała, kim jest: roninem, podobnie jak ona, wojownikiem krocącym Drogą Musashiego. Może na własne oczy widział ją w akcji, a może usłyszał o niej od kogoś, kto był świadkiem jej wyczynów. Koniec końców, postanowił jednak osobiście sprawdzić jej możliwości. Zawsze tak samo, zawsze pojawiał się ktoś, kto chciał ją sprawdzić.

Cholera.

Dobrze wiedziała, że ktoś musi zginąć, a śmierć miała ograniczony wybór – mogła sięgnąć po jedno z dwojga uczestników gry. Miejsce, w którym Dirisha Zuri czekała na zabójcę, nie przypominało chwalebnej pola bitwy: był to słabo oświetlony salon gier, wypełniony rzędami automatów holo i kabinami z symulatorami 3D. Z wyjątkiem Dirishy i jej przeciwnika w pobliżu nie było żywego ducha, co zresztą stanowiło powód, dla którego właśnie tutaj postanowiła stoczyć pojedynek. Jej oponent, potężny mężczyzna z jasnymi włosami i ciemną herbacianą karnacją, poruszał się umiejętnie, ale zbyt rzucił się w oczy, by niespostrzeżenie śledzić kogoś o tak doskonałym wyszkoleniu jak Dirisha.

Skinęła na niego zrezygnowana.

– Jesteś uzbrojony?

Pokręcił głową.

– Załatwmy to bez broni.

– Nie ma sprawy.

Jeśli rzeczywiście był zaprawionym w bojach weteranem, to bez wątplenia miał przy sobie z pół tuzina broni różnego rodzaju: ogłuszacz, ostrze ukryte w klamrze u pasa, elektrokastety, a może nawet długopis miotający pociski. W każdym razie Dirisha miała je wszystkie. Teraz trzymała puste dłonie tak, by je widziała, ale to akurat nic nie znaczyło. Jeśli starcie przybierze dla niego niepomysłny obrót, może sięgnąć po broń. Ona by się nie zawahała. Zwycięstwo stanowiło powód do dumy, walka fair niekoniecznie. Najpierw jednak musiała się przekonać, na co go stać...

Herbacianoskóry wysunął lewą stopę o kilka centymetrów i obrócił się

nieznacznie. Uniósł obie ręce – lewą wysoko, prawą niżej – i usztywnił palce, przyciskając kciuki do wnętrza dłoni. Znajdował się w odległości czterech metrów.

Dirisha przybrała postawę neutralną; stała odprężona, przyglądając się przeciwnikowi, by określić jego styl. Bez wątpienia opanował któryś ze stylów zaczepnych, najprawdopodobniej też nie mieszał go z elementami innych. Niewykluczone, że osiągnął w nim prawdziwe mistrzostwo, ale jego postawa zdradzała o wiele więcej niż powinna. Naprawdę doświadczony ronin starałby się maskować aż do ostatniej chwili.

Herbacianoskóry przesunął się do przodu o pół metra. Jego ruchy były oszczędne, jak bokser nie odrywał stóp od ziemi. Karate lub kung-fu, wywnioskowała Dirisha. Albo któraś z ich niezliczonych odmian.

Sądząc po rozbudowanych mięśniach ramion, preferował rozwiązania siłowe. Bez wątpienia wyprowadzał bardzo silne ciosy i w tym pokładał nadzieję na zwycięstwo. No dobra. Dirisha wiedziała, że nie powinna oczekiwać forów i bez względu na rozwój sytuacji, zawsze reagować transem, ale doświadczenie samo podsuwało jej wnioski. Jeśli zaś te okażą się trafne, być może poradzi sobie z przeciwnikiem bez większych trudności. Może nawet nie będzie musiała go zabijać ani okaleczać.

Zbliżył się o kolejne pół metra, przesuwając stopy po brudnych płytkach podłogi. Błękitne światło z jakiejś hologry opromieniło jego twarz, aż zmrużył oczy. To samo światło połyskiwało na jej skórze.

„Jest zdenerwowany”, pomyślała.

Zły znak. Sama w ogóle nie czuła strachu. Została znakomicie wyszkolona w czterech Sztukach i nieco gorzej w parunastu innych. Wiedziała, że są tylko dwie opcje – zwycięstwo lub porażka. Pozostawało prawidłowo zastosować wyuczone techniki, nic poza tym. Nie było czasu ani miejsca na rozmyślanie o konsekwencjach. Robiła to, co musiała, najlepiej jak potrafiła. Więcej dać z siebie nie mogła, mniej nie miała zamiaru.

Herbacianoskóry przysunął się jeszcze bliżej. Miał teraz Dirishę w zasięgu ciosu, jednocześnie pozostając poza jej strefą ataku. Na krótką chwilę skupiła się na tym mężczyźnie, który rzucił jej wyzwanie. Ciekawe, o czym myślał? Wiedziała, co widzi – dobrze zbudowaną, stojącą luźno wysoką kobietę około trzydziestki o czekoladowej skórze i zielonych oczach, ubraną w czerwony kostium z tuniką. Nie mógł wiedzieć, czym się dotąd zajmowała, gdzie bywała i jakie siły ją ukształtowały. Nie, widział jedynie innego gracza,

naśladowcę starożytnego wojownika o imieniu Musashi, kolejnego człowieka dążącego do mistrzostwa w walce. Widział w niej sprawdzian własnych sił. Widział krwawe starcie.

Przez krótką chwilę Dirisha rozważała, czy się nie odwrócić i nie uciec. Walka z tym człowiekiem wydawała się bezcelowa, podobnie jak toczenie gry, której zasady opanowała całą dekadę temu na Mti. Dążyła do perfekcji, ale tej części dążeń miała już dosyć. Dawno temu nauczyła się wykorzystywać każdą okazję, by uniknąć walki, zwłaszcza z niedoświadczonym przeciwnikiem. Z początku pojedynki były niezwykle ekscytujące, sprawiały, że krew huczała jej w głowie. Nie przejmowała się nawet wtedy, gdy przegrywała i spędzała całe dnie, a czasem tygodnie na doprowadzaniu siebie i swego ciała do optymalnego stanu. Z chęcią godziła się na owe niedogodności, gdyż były związane z rolą, którą pragnęła odgrywać. A teraz? Teraz chciała się uczyć i cieszyć samotnością. Unikała wypatrzonych przez siebie graczy, sama nie rzucała wyzwań, starała się nie wyróżniać w każdym nowym *dojo*. Kłopot w tym, że inni gracze już o niej wiedzieli, a reszcie wystarczyło zobaczyć kilka jej ruchów, by dostrzec imponujące umiejętności. Równie dobrze mogłaby nosić jaskrawy znak widoczny dla wszystkich, którzy dorównywali jej talentem.

Zaalarmował ją odgłos zbyt gwałtownie wciąganego powietrza. Myśli pierzchły. Herbacianoskóry był prawie gotów do natarcia. Dirisha nie dała po sobie poznać, że to dostrzegła, lecz w duchu zaczęła się przygotowywać do autotransu.

Rzucił się do ataku. Uniósł pięść, chcąc ją wbić w gardło Dirishy. Śmiertelny cios miażdżący tchawicę.

Dirisha umknęła w prawo, wykonując obrót wokół własnej osi i odpowiednio rozstawiła stopy. Jednocześnie chwyciła wyciągniętą rękę i zastosowała *atemi waza*, rzut oburęczny. Herbacianoskóry stracił równowagę i poleciał bezwładnie do przodu. Jeśli nie wiedział, jak się podnieść po upadku... Przyciągnął do siebie ramię, przetoczył się i błyskawicznie skoczył na równe nogi. Natychmiast się odwrócił. Manewr uchronił go przed bolesnym upadkiem, ale Dirisha już знаła prawdę. Zarówno atak, jak i reakcja po nim zdradziły, że mężczyzna nie dorasta jej do pięt. Walka w zasadzie dobiegła końca.

– Co powiesz na remis, tygrysku? Jedna runda dla zabawy i tyle?

Potrząsnął głową ze złością.

– Nie ma mowy!

Chciała westchnąć, ale się powstrzymała. Był kiepski, o wiele gorszy, niż zakładała. Poruszał się całkiem dobrze, lecz w fazie pasywnej wypadwał znacznie lepiej niż podczas starcia. Nie zdarzało się to często, ale nie było całkiem niespotykane. Każdy bardziej doświadczony ronin wolałby się wycofać, zrozumiałwszy, że wyzwanie go przerasta. W przeciwnym razie sam się prosił o kłopoty.

Herbacianoskóry wydał z siebie gardłowy ryk i ruszył do kolejnego ataku. Tym razem szykował się do niskiego kopnięcia, ale Dirisha wiedziała, że cios będzie o wiele za silny i zbyt wolny. Stopa oderwała się od ziemi, zmierzając ku jej kroczu...

Wykonała unik i nagle znalazła się za jego plecami. Zaciśnęła prawą pięść i wbiła dwa kłykcie tuż powyżej jego lewej nerki. Jęknął, a ona poczuła, jak powietrze ucieka mu z płuc. Nim zdążył się otrząsnąć, poderwała lewą nogę i kopnęła go w wewnętrzną stronę kolana. Noga herbacianoskórego ugięła się i grzmotnęła nakolannikiem w płytki podłogowe. Dirisha usłyszała trzask pękającej kości, ale mimo to mężczyzna zdołał się odtoczyć. Gdy znów się poderwał, przeniósł ciężar ciała na zdrową nogę. Wpatrywał się w przeciwniczkę, jakby nie rozumiał, z kim ma do czynienia. Wykrzywił twarz w grymasie bólu.

Nie mógł kontynuować walki ze strzaskaną rzepką. Dirisha nie przepadała za podobnymi metodami, ale były one skuteczne. Ból stanowił najlepszy sposób na wyeliminowanie przeciwnika z walki, zaraz po unieszkodliwiającej kontuzji. Odrobina kleju ortostatycznego i rzepka będzie jak nowa, a na razie, herbacianoskóry musiał skapitulować.

– I po tańcu, tygrysku – rzekła Dirisha. – Ściągnijmy tu medyków.

Herbacianoskóry błyskawicznie wsunął dłoń do kieszeni tuniki i wyszarpnął jednostrzałowy miotacz. Wycelował w stronę przeciwniczki.

Dirisha równie szybko trąciła dłonią klamrę pasa i wyszarpnęła z ukrytej kieszeni strzałkę kinzoku. Cisnęła nią z rozmachem, przechodząc w płynny obrót, który zakończyła saltem w tył. Gazowy ładunek eksplodował, chmura stalowych pocisków przecięła miejsce, gdzie Dirisha stała jeszcze przed sekundą. Jeden z pocisków trafił ją w kostkę, ale odbił się od kości, pozostawiając niegroźne skaleczenie. Czekало ją twarde, ale równe lądowanie.

Wyprostowała się i spojrzała na herbacianoskórego. Na jego twarzy nie

było ani śladu bólu, z mięśni znikło napięcie. Strzałka kinzoku tkwiła w czole, z pewnością zabił go wstrząs mózgu. Herbacianoskóry wypadł z gry.

Dirisha poczuła chłód, który wniknął głęboko do jej wnętrza i dotknął czegoś, co się w nim kryło. Nie chciała tego, nie po to trenowała niemalże połowę życia; nie marzyła, by zostać zabójcą, człowiekiem, który odbiera życie równie łatwo, jak ktoś inny wyrzuca kawałek metalu w powietrze jako cel. Dlaczego ten facet zwyczajnie nie dał za wygraną? Przecież nie było wątpliwości, że do pięt jej nie dorasta! Kontynuowanie walki po pierwszym przegranym starciu wydawało się nielogiczne, ba, niedorzeczne! Odkryła w sobie złość na tego mężczyznę – nie poznała nawet jego imienia – za to, że wykazał się skrajną głupotą. Wina leżała po jego stronie, nie jej!

Nie. Dirisha wiedziała, że się myli. Pewnie, musiała się przecież bronić, ale cały ów wywód stanowił tylko i wyłącznie próbę usprawiedliwienia błędu. Zdobyła zbyt wiele doświadczenia, by iść na łatwiznę. Przecież wiedziała, że może wyeliminować tego mężczyznę bez uciekania się do śmiertelnych rozwiązań. Technikę zastosowała idealnie, ale złamała zasady Sztuki. Niespodziewanie poczuła ogromne znużenie, jakby wspięła się na szczyt wysokiej góry, gdzie powietrze jest rozrzedzone i pozbawione życia.

Spojrzała na trupa. Metodycznymi ruchami wykręciła wykonaną z nierdzewnej stali strzałkę kinzoku i otarła ją z krwi. Na tej planecie zabójstwo rzadko uchodziło płazem, władze Tembo słynęły z surowości i tylko w wyjątkowych sytuacjach uznawały zapewnienia o niewinności. Za kultami czy sektami również nie przepadały, stąd wojownicy Musashiego nie mogli liczyć na wyrozumiałość, bez względu na to, czy zabijali, czy ginęli. Najmądrzej było wyjechać, i to jak najszybciej. Co prawda na Tembo nie istniał oficjalny rejestr uczestników Drogi, ale odkrycie, że herbacianoskóry do nich należał, z pewnością nie zabierze urzędasom wiele czasu, a wtedy Dirisha zostanie zatrzymana jako podejrzana. Jasne, działała w samoobronie i każdy dobrze wykonany skan poparłby jej zeznania, ale nie miała zamiaru zasiadać przed wypalaczem mózgu obsługiwanym przez jakiegoś rzeźnika. Słyszała, że ludzie wychodzili z takich sesji z całkowicie lub częściowo wypranym umysłem, zwłaszcza jeśli przesłuchiwany nie przypadł do gustu simadamowi obsługującemu skaner – a na tym świecie takie sytuacje nie należały do rzadkości.

Herbacianoskóry sporo ważył, ale udało jej się wytargać ciało na

zewnątrz. Trupy zawsze okazywały się zbyt ciężkie – pozbawione życia zwały mięśni, które niczego już nie podtrzymywały. Dirisha uznała, że wolałaby nigdy nie zdobyć tej wiedzy.

Ludzie, którzy przechodzili niemalże opustoszałą ulicą, zerkali na nią i na jej brzemień przelotnie lub w ogóle, a jeśli ten widok dawał im do myślenia, to nikt nie wyraził tego głośno. Obciążona trupem minęła dwie przecznice, aż w końcu znalazła pojemnik na śmieci wystarczająco duży, by pomieścić człowieka. Szkoda, że na Tembo nie było publicznych utylizatorów błyskawicznych – w porównaniu do wielu innych tę planetę zdecydowanie należało ochrzcić mianem zadupia. Z głośnym sapnięciem Dirisha dźwignęła ciało i wrzuciła je do pojemnika, a następnie zatrzasnęła klapę. Nie było wątpliwości, że ktoś wkrótce odnajdzie nieszczęśnika, ale w międzyczasie prawdopodobnie uda jej się opuścić planetę. Na jej koncie znajdowała się wystarczająca suma standardów, by polecieć dokądkolwiek w całej galaktyce – pieniądze nie miały dla niej wielkiego znaczenia i rzadko wydawała je na cokolwiek poza artykułami pierwszej potrzeby. Mogła się udać wszędzie, gdzie by zapragnęła, ale... Dokąd właściwie chciała polecieć? Poznała już miejscowy styl walki *T'umeaux* w takim stopniu, w jakim chciała go poznać. Dotychczas zakładała, że jej następnym celem będzie księżyc Chiisai Tomodachi, orbitujący wokół samego Tomodachi w systemie Shin. Podobno istniała tam naprawdę skuteczna odmiana *kaiatsu*, którą przekazywano garstce adeptów. Sporo słyszała o technikach ogłuszania głosem, ale nigdy nie widziała takiej, która by rzeczywiście działała. A zatem Chiisai?

Opuszczając alejkę, w której porzuciła ciało, Dirisha poczuła, że znów wstępuje w nią owo znużenie, zupełnie jakby do jej duszy przyłgnęła złośliwa pijawka. Wydawało się, że jej *ki* maleje, niknie, pozostawia ją wyczerpaną do cna. Przez krótką chwilę sama myśl o kontynuowaniu Drogi była nie do zniesienia. Ale czym innym mogłaby się zająć? Ochroniarstwem? Pracą do końca życia na bramce w jakiejś spelunie? A może założy szkołę, gdzie będzie uczyć wszystkiego, czego sama się nauczyła? Niegłupi pomysł, była wystarczająco dobra, by przyciągnąć wielu uczniów.

* * *

Z zakamarków pamięci wypłynęła twarz człowieka nieżyjącego od trzech lat. Wspomnienie przywołało uśmiech na jej twarz. Lubiła Khadajego, lubiła dla niego pracować. Wielu ludzi było zszokowanych na wieść o tym, czym naprawdę zajmował się na Greaves. Dirisha zawsze podejrzewała, że jest

kimś więcej, niż usiłował pokazać – poruszał się zbyt dobrze jak na zwykłego właściciela pubu na odległym zadupiu.

Nadal uśmiechnięta, zaczęła się zastanawiać, z jakiego powodu myśli teraz o Khadajim. Czyżby śmierć herbacianoskórego przypomniała jej o innej śmierci? Nie, było coś jeszcze, jakieś niewyraźne wspomnienie. Coś, co Khadaji powiedział jej na krótko przed śmiercią. Co to było? Coś o siedzeniu na tej samej planecie przez kilka lat... Aha, przypomniała sobie. Powiedział jej, że Renault w systemie Shin to całkiem fajne miejsce. Jakieś miasto... zaraz, zaraz... Complex? Vindox? Nie, Simplex! Simplex-by-the-Sea. Miejsce, w którym mogła się zadekować, jak to raczył ująć. O co mu chodziło? Co takiego próbował jej przekazać?

Dirisha szła ciemną ulicą na Tembo, nie zwracając uwagi na okolicę. Zastanawiała się nad tajemniczymi słowami, które Khadaji wypowiedział trzy lata temu. Simplex-by-the-Sea – ta nazwa tchnęła spokojem i prostotą. Czemu nie? I tak nie istniało w całej galaktyce miejsce, do którego chciałyby się udać.

Nigdzie nie było dla niej miejsca.

DWA

Dirisha leciała promem. Przez okno ze skondensowanego kryształu obserwowała planetę, której powierzchnię na pierwszy rzut oka stanowiły wyłącznie morza. Zapoznała się ze standardowym skanem promocyjnym jeszcze na statku z Tembo i trochę już na temat owego świata wiedziała. Renault, piąta planeta od słońca i jedna z sześciu zamieszkałych w systemie Shin. Trzy kontynenty, przyciąganie jeden przecinek jeden ziemskiego, zawartość tlenu w powietrzu około dwudziestu procent. Osiem milionów dziewięćset sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców, głównie ludzi z niewielką domieszką mutków. Na Renault hodowano wiele drzew i warzyw oraz wydobywano trochę czystych metali, choć niezbyt wiele. Poza tym trudno było powiedzieć cokolwiek więcej na temat tego świata. Kolejna dziura, podobnie zresztą jak jej ojczysta planeta, o której Dirisha nie lubiła myśleć. A zatem... Zatem dlaczego się tu znalazła? Dlaczego spadała teraz z orbity niczym meteor ku jakiejś wiosce na południowo-zachodnim wybrzeżu najmniejszego z trzech niewielkich kontynentów? Cóż, w zasadzie miejsce jak każde inne, przynajmniej dopóki nie zdecyduje, czym się zająć, gdy już dojrzeje...

Co takiego? Dlaczego przyszło jej to do głowy?

– Lądowanie za sześć minut – dobiegł z komów głos stewarda. – Proszę przełączyć fleksifotele na tryb lądowania.

Dirisha sięgnęła ku panelowi sterującemu, jednocześnie usiłując zagłuszyć wszystkie myśli.

* * *

Główny port kosmiczny tej półkuli znajdował się na sztucznej wyspie oddalonej o dwadzieścia kilometrów od brzegu – standardowy środek bezpieczeństwa stosowany na wielu odwiedzonych przez Dirishę planetach, na wypadek gdyby któryś z promów raketowych, poprzedników współczesnych promów orbitalnych, eksplodował przy lądowaniu. Tragedie tego rodzaju najwyraźniej nie były w przeszłości niczym niezwykłym.

Na szerokości geograficznej, na której leżało Sim-plex-by-the-Sea, panowało akurat upalne lato. Nawet prąd powietrza wywołany pędem promu nie studził ociekającej potem skóry Dirishy. Statek nie należał do najnowszych i drżał, przecinając warstwy powietrza o nierównej temperaturze nad tropikalnymi wodami. Dirisha stała na przednim pokładzie,

a wiatr targał jej mocno kręcone, rozgrzane słońcem włosy. Szklane kontaktowe polaryzowały się automatycznie, neutralizując sporą ilość światła słonecznego, ale i tak świeciło bardzo mocno.

Zupełnie jak w domu.

Widziała przed sobą brzeg, a na nim cel podróży – przybrzeżne miasteczko, którego zabudowania okalały zatoczkę upstrzoną łodziami rybackimi. Kutry ciągnęły osobliwy osprzęt – szeroko rozłożone drągi w kształcie litery V, między którymi rozciągnięto siatkę. Dirisha doszła do wniosku, że są to sieci rybackie.

Po zatoce uwijało się mnóstwo innych drobnych jednostek żaglowych. Jedna z nich, niewielka łódź długa na jakieś osiem, dziesięć metrów, najwyraźniej miała problemy ze sterowaniem, pędziła bowiem kursem kolizyjnym wprost na prom. Obie jednostki były coraz bliżej siebie i w pewnym momencie Dirisha dostrzegła trzech członków załogi, którzy desperacko ciągnęli za liny i dziko gestykulowali.

Powietrzem wstrząsnęła syrena ostrzegawcza promu, niski odgłos przypominający ryk dinozaura.

Wyglądało na to, że żaglówka utknęła w strefie bezwietrznej. Znajdowała się dokładnie na wprost promu i tylko szybki manewr mógł ją uchronić przed staranowaniem.

Odgłos silników promu nagle się zmienił. Dirisha poczuła pod nogami, że wielki statek rozpoczyna zwrot na sterburtę. Dinozaur znów zaryczał, tym razem głośniej, bardziej natarczywie, ale wyglądało na to, że żaglówka nie ruszy z miejsca. Dirisha szybko oszacowała powiększający się kąt między promem a żaglówką – nie wyglądało to dobrze. Wielki statek zmieniał kurs złowieszczo powoli i trójka żeglarzy z pewnością wiedziała, w jak wielkim niebezpieczeństwie się znajduje.

Dirisha doszła do wniosku, że zderzenie jest nieuniknione. Podeszła do metalowego relingu, zacisnęła na nim dłonie i wychyliła się w kierunku żeglarzy.

Gdy do kolizji pozostało zaledwie pięćdziesiąt metrów, żaglówka niespodziewanie przechyliła się i ruszyła. Jeśli im się uda, to dosłownie o włos...

Z ryczącą syreną prom przemknął w odległości niecałych pięciu metrów od łodzi. Odkos dziobowy i podmuch powietrza wstrząsnęły nią tak mocno, jakby była co najwyżej drewnikiem unoszącym się na falach. Przechyliła się

gwałtownie, nieomal dotykając masztem powierzchni wody, a potem cudem wróciła do poprzedniej pozycji. Dirisha znajdowała się wystarczająco blisko, by widzieć twarze załogantów, dwóch mężczyzn i kobiety. Miała wrażenie, że cała trójka zanosi się śmiechem. Po chwili łódź znalazła się daleko za nimi, wciąż podskakując w spienionym farwaterze promu.

Być może Dirisha też by się śmiała, gdyby cudem uniknęła śmierci.

* * *

Miała ze sobą jedynie niewielką torbę, a w niej cały skromny dobytek, więc po prostu chwyciła ją, zeszła z promu i ruszyła między zabudowania Simplex-by-the-Sea.

„Senne miasteczko”, myślała. „Większość mieszkańców z lęku przed upałem pewnie nawet nie wyściubia nosów z domów i przesiaduje przy klimatyzatorach”.

No i co teraz? Znalazła się na miejscu, ale nie miała pomysłu, co robić. Mogła poszukać miejscowego lokalu i zatrudnić się w charakterze bramkarza. Równie dobrze mogła przez jakiś czas cieszyć się słoneczną pogodą, spacerować bez końca po plaży i przyglądać morskim ptakom oraz kutrom rybackim snującym się to tu, to tam. Dysponowała wystarczającą ilością pieniędzy, by odgrywać rolę bogatej kobiety, przynajmniej przez jakiś czas. Tak, wakacje, prawdziwe wakacje... Nigdy dotąd tak naprawdę nie była na wakacjach. Owszem, zdarzały się chwile w jej życiu, gdy nie pracowała lub nie trenowała, ale nie dało się ich nazwać wakacjami, co najwyżej „okresami przejściowymi”. Mocniej ujęła rączkę torby i wybrała kierunek marszu.

– Hej, Dirisha!

Upuściła torbę i odwróciła się błyskawicznie, wystraszona. Odruchowo przyjęła postawę obronną, uniosła ręce zgodnie z zasadami najstarszego z poznanych przez nią stylów, ciężkiej odmiany *oppugnate*. Przecież nikt nie mógł jej tu znać!

Ułamek sekundy później Dirisha wybałuszyła ze zdumienia oczy. Uśmiechnęła się od ucha do ucha, całkiem zapominając o gotowości do walki. To był Bork!

Ogromny mężczyzna szedł w jej stronę, jakby nikt i nic nie mogło go powstrzymać. Mierzył prawie dwa metry i na tej planecie ważył pewnie jakieś sto dwadzieścia pięć kilo. Pośród czarnych włosów pojawiła się siwizna, ale bynajmniej nic nie stracił ze swej postury. Wręcz przeciwnie,

jeśli to w ogóle możliwe, wyglądał na jeszcze większego i bardziej muskularnego niż w chwili, gdy widziała go po raz ostatni. Miał na sobie luźny osmotyczny ortoskafander, a do każdego nadgarstka przytroczony spetsdöd. Oto Saval Bork, homomutek, a swego czasu bramkarz w „Nefrytowym Kwiecie”. A do tego fajny facet.

Uśmiech Dirishy zgasł jednak, gdy do głowy przyszło jej pierwsze pytanie: co on tu właściwie robi? Niemalże w tej samej chwili zadała sobie drugie: skąd wiedział, że ona też się tu zjawi? Postawa Borka wskazywała bowiem jasno, że nie był zaskoczony jej przybyciem. Mocno ją to zaniepokoiło.

Bork zatrzymał się przy niej.

– Dobrze wyglądasz, Dirisha. Miło cię widzieć.

– Też się cieszę, Bork, chociaż zastanawia mnie, jak to w ogóle możliwe...

Były ochroniarz pokiwał głową. Cechował go temperament charakterystyczny dla ogromnych ludzi, ale nie szła za nim ociężałość umysłowa.

– Dowiedziałem się o twoim przyjeździe całkiem niedawno, gdy mi polecili, żebym cię odebrał. W Villi mamy ludzi, którzy muszą... trzymać rękę na pulsie.

– Ludzi? W Villi? – Dirisha już nie czuła strachu, a jedynie narastającą ciekawość. Przecież to nie miało sensu, Bork na tej planecie?!

– Tak, psze pani. Słuchaj, czeka na nas fura. Opowiem ci wszystko po drodze, okej? Jak będziesz tak stała, wyschniesz w tym słońcu na wiór. Idziemy?

Dirisha zastanawiała się przez chwilę, aż w końcu wzruszyła ramionami. Nie robiło jej to w końcu różnicy, a poza tym miała wrażenie, że to, w czym uczestniczył Bork, mogło stanowić powód, dla którego przybyła na tę planetę. Chwyciła torbę.

* * *

Owa fura okazała się kanciastym pojazdem na potrójnej szynie wykonanej z czegoś, co wyglądało jak wysłużone aluminium. Temperatura w środku była o jakieś dwadzieścia stopni niższa niż na zewnątrz. Znajdowały się tam wygodne, nawet jeśli dość wąskie fotele, a pod długim oknem zawieszono baniak z wodą. Bork aktywował tryb autopilota i pojazd ruszył płynnie, nabierając prędkości, aż w końcu osiągnął dobre osiemdziesiąt,

dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Bork odwrócił się od panelu kontrolnego i uśmiechnął szeroko do Dirishy.

– Automat – wyjaśnił. – Naprawdę się cieszę, że tu dotarłaś. Sleel i Siostrzyczka też będą wniebowzięci.

– Sleel tu jest? I Siostrzyczka Imadło? Dalej, Bork, gadaj! Co tu się dzieje?

Bork podrapał się grubym palcem po wewnętrznej stronie dłoni.

– Swędzi to cholerstwo – wskazał plastyczną tkankę, która mocowała spetsdöd do skóry.

Dirisha miała ochotę westchnąć, ale powstrzymała się. Przypuszczała, że prędzej czy później Bork wszystko jej opowie.

– Czemu je nosisz? – zapytała, wskazując spetsdödy. – Niebezpiecznie tu?

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– Niebezpiecznie? Gdzie tam! Noszę kłujaki, wszyscy w Villi musimy je nosić, druga zasada Pena.

– Bork, potrzebuję odpowiedzi, a nie kolejnych pytań!

– Okej, okej. Sprawa ma się mniej więcej tak: Sleel, Siostrzyczka, ja i paru innych pracujemy tu w szkole. Nazywa się Matador Villa i jest czymś na kształt... centrum treningowego założonego na cześć faceta, dla którego wszyscy pracowaliśmy, nim zginął.

– Dla Emile?

Bork uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Wielu ludzi zabiłoby cię za samą możliwość wypowiedzenia tego imienia w taki sposób. Ci z nas, którzy naprawdę go znali, są postrzegani jako błogosławieni.

– O czym ty gadasz?

– Pamiętasz, co się wydarzyło na Greaves?

– Oczywiście, że pamiętam.

Pojazd szynowy wszedł w zakręt i Dirisha z zaskoczeniem stwierdziła, że podłoga ucieka jej spod stóp. Zatoczyła się w lewo. Morze niespodziewanie znalazło się sto metrów pod nimi, a wokół roztoczył się niesamowity widok. Okoliczny teren tworzyły tarasy, które przypominały gigantyczne stopnie wiodące w dół, aż do powierzchni morza. Nie zdawała sobie sprawy, że pojazd wznosił się coraz wyżej. Na jednym z owych stopni stał rząd

budynków, bloki z terakoty odcinały się wyraźnie od wyschniętych, zbrązowiałych traw. Z tej odległości trudno było ocenić wielkość kompleksu, ale wyglądał na całkiem spory.

– Imponujące, nie? To mój ulubiony etap podróży.

– Wróćmy lepiej do twojej historii, Bork. Khadaji należał do podziemnego ruchu oporu na Greaves. Walczył z Konfedem i w końcu go dopadli.

– Och, to nie wszystko. On sam stanowił cały ruch oporu, wiedziałaś o tym?

– Obiło mi się o uszy – przytaknęła Dirisha.

– To żadne plotki. Wiesz, co wojskowi odkryli po tym, jak sprawa wreszcie przycichła? Nasz szef załatwił ponad dwa tysiące żołnierzy, od zwykłych szeregowców po befalhavare we własnej osobie.

– To też obiło mi się o uszy. I to pewnie też nie jest tylko plotka, co?

– Nie, nie jest. On naprawdę tego dokonał. Co więcej, załatwił ich wszystkich ze spetsdödów i przez cały ten czas nie zmarnował ani jednej strzałki. Ani razu nie spudłował. Nikt sobie tego nie wymyślił, to dane zgromadzone przez dowództwo Konfedu.

Dirisha zamrugwała i spojrzała na Borka.

– Tego nie wiedziałam.

– Mówią na niego: Człowiek, Który Nigdy Nie Chybiał! Stał się inspiracją dla adeptów, ich bożyszczem. Jeden człowiek, który sprzeciwił się Konfedowi i pozwolił, by go dorwali dopiero po tym, gdy dokonał tego, co sobie zamyślił. Na niektórych planetach imię Khadajego jest dla bojowników o wolność święte.

– Czy to dlatego się tu znalazłeś, Bork? Trenujesz, bo chcesz zostać bojownikiem ruchu oporu?

– Coś ty! Jestem tylko adeptem, uczę się, jak zostać Matadorem.

– Co to takiego?

– Ochroniarzem, Dirisha. Matadorzy to najlepsi ochroniarze, jacy kiedykolwiek istnieli.

Dirisha wpatrywała się w ogromnego towarzysza. Czy właśnie to miał na myśli Khadaji podczas ich ostatniej rozmowy? Czy trzy lata temu wiedział, że ktoś założy ową... szkołę? Ba, na pewno o niej wiedział, nawet jeśli nie przybył tu osobiście, by się jej przyjrzeć. Spytała go przecież o Renault, a on odpowiedział, że go tam nie spotka. Ten człowiek na pewno był kimś więcej,

niż się wydawało na pierwszy rzut oka, wiedziała o tym od ich pierwszego spotkania, ale o co tu tak naprawdę chodziło?

Pojazd zaczął zwalniać, podjeżdżając do kompleksu budynków. Bez względu na to, co się tutaj działo, Dirisha wiedziała, że wkrótce pozna prawdę.

TRZY

Materiał, którym wyłożono chodniki, przypominał plaston, ale miał osobliwą właściwość – ugiął się sprężyście pod nogami Dirishy, która podążała za Borkiem w kierunku największego z budynków. Bork zauważył jej konsternację i wyjaśnił:

– Pianka elastyczna. Robi się z tego bieżnie i podłogi w salach gimnastycznych.

Trzy

Kiwnęła głową. Nie zadała najbardziej oczywistego pytania – dlaczego tak rozległy, niczym nieprzykryty teren wyłożono tak drogą nawierzchnią? Dostrzegła przed sobą kilkanaście wijących się linii, które z bliska okazały się ciągami śladów stóp wymalowanych na nawierzchni. Z tego, co mogła stwierdzić, wszystkie ciągi były identyczne. Zatrzymała się przy najbliższym i przyjrzała mu uważnie. Kąty i odległości między poszczególnymi śladami zdradzały, że bez wątplenia jest to owoc czyjegoś zacięcia artystycznego. Nie było bowiem możliwości, by jakikolwiek człowiek przeszedł po śladach, nie tracąc równowagi. Spojrzała na Borka, ale on tylko się uśmiechnął.

– Pen o wszystkim ci opowie.

Dirisha zmarszczyła brwi i podreptała dalej za przewodnikiem. Po kilkunastu krokach znaleźli się w cieniu rzucanym przez największą z budowli.

Gdzie się wszyscy podziali? Czy to miejsce było opuszczone? Jak dotąd poza Borkiem nie dostrzegła żywej duszy.

Weszli do środka, zostawiając za sobą fasadę ze spłowiejących cegieł. Wewnątrz ciągnęły się nieskazitelnie białe ściany, a sufity wznosiły wysoko nad głowami. Również tutaj podłogi pokryte były pianką. Bork poprowadził Dirishę szerokim korytarzem w kierunku kilku par drzwi wykonanych z dębowego drewna.

Gdy mijali jeden z bocznych korytarzy, ktoś się w nim poruszył. Dirisha dostrzegła kątem oka zamazany ruch, odwróciła się i...

Ujrzała mężczyznę – choć może była to kobieta? – spowitego w szatę zakrywającą wszystko z wyjątkiem oczu i dłoni. Na jej oczach postać poderwała rękę i wycelowała palec w Borka. Rozległ się syk sprężonego powietrza.

Dirisha rzuciła się w prawo i uderzyła w Borka ramieniem, chcąc go

odepchnąć. Równie dobrze mogłaby próbować przesunąć ścianę – odbiła się od olbrzyma, lecz bez zawahania wykorzystała energię, płynnie przechodząc w pad. Uderzyła w elastyczną podłogę, przetoczyła się i poderwała na nogi, by natychmiast sięgnąć po strzałkę kinzoku ukrytą przy pasie.

Coś ukłuło ją w wierzch dłoni. Poczowała piekący ból jak po użądleniu osy. Zignorowała go i chwyciła za strzałkę.

– Kurwa, Pen! – zawołał Bork. – To nie fair!

W międzyczasie Dirisha zdążyła wyjąć pocisk. Trzymała go przy lewym biodrze, gotowa do rzutu z boku, ale powstrzymał ją głos Borka. Zaryzykowała pospieszne spojrzenie.

Olbrzym pocierał lewe ramię i kręcił głową. Nie wydawał się ranny, co najwyżej zde gustowany.

Dirisha znów spojrzała na człowieka w szarej szacie i kapturze. Nieznajomy – wciąż nie miała pewności, czy to mężczyzna, czy kobieta – wycelował w nią palce wskazujące. Zrozumiała, że próba uniku mija się z celem, wystrzeliłby, zanim zdążyłaby drgnąć. Odprężyła się nieco i cofnęła broń o kilka centymetrów. W odpowiedzi napastnik opuścił ręce, a potem obrócił lekko głowę i skupił spojrzenie błękitnych oczu na Borku.

– A co z pierwszą zasadą? – zapytał. Dirisha upewniła się, że to mężczyzna – głos był męski, choć brzmiał jakoś dziwnie...

– Ale ja przyprowadziłem...

– Pierwsza zasada.

– Adeptci muszą być gotowi na atak w każdej chwili – wyrecytował Bork. – Moja wina.

– Sądziłeś, że jesteś bezpieczny, ponieważ zajmowałeś się rutynowymi czynnościami, a właśnie po to stworzono pierwszą zasadę, by unikać takich sytuacji – ciągnął nieznajomy. – Jaka jest twoim zdaniem uczciwa kara?

– Minus dziesięć punktów.

– Niech będzie pięć. Nie chcę, byś mnie uznał za tyrana.

Bork uśmiechnął się szeroko.

– Cóż, nikomu z nas do głowy by to nie przyszło. Odwrócił się i spojrzał na Diriszę.

– To ten facet, o którym ci mówiłem. Oto Pen, Dirisho.

* * *

Bork zostawił ich w pomieszczeniu, które najwyraźniej pełniło funkcję biura. Nie licząc stołu z terminalem komputerowym i dwóch krzeseł, było

ono jednakże całkowicie pozbawione umeblowania. Jedyne okno wychodziło na dziedziniec otoczony linią drzew i krzewów. Widocznie Pen nie przejmował się tak błahymi sprawami jak meble. Podsunął krzesło Dirishy, a na drugim sam usiadł.

– Skąd wiedziałeś, że wybieram się na Renault? – zapytała, gdy zostali sami.

W kącikach oczu Pena pojawiły się drobne zmarszczki, które Dirisha odczytała jako świadectwo uśmiechu.

– Zostałem... poinformowany, że skorzystałaś ze swojego paska kredytowego, by zapłacić za podróż z Tembo na Renault.

– To niemożliwe. Musiałbyś mieć agentów na pięćdziesięciu trzech planetach i ponad osiemdziesięciu satelitach, by bezbłędnie wychwycić podobną transakcję.

– Skądże znowu. Istnieje inne wyjaśnienie. Skup się.

Dirisha nagle zrozumiała.

– Kazałeś mnie śledzić?

Pen pokiwał głową.

W pierwszej chwili poderwała się z krzesła, ale zdołała opanować nerwy.

– Dlaczego? – zapytała, usiłując nadać głosowi spokojne brzmienie.

– Emile Khadaji pokładał w tobie wielkie nadzieje – rzekł Pen. – Sądził, że kiedyś uda ci się tu dotrzeć. Gdybyś nie podjęła tej decyzji, któryś z agentów szkoły skontaktowałby się z tobą i poprosił, byś to uczyniła.

– Zapytam raz jeszcze: dlaczego?

– Chcemy, abyś została jedną z adeptek. I nauczycielką. Wielu z nas na pewnym etapie zajmuje się zarówno jednym, jak i drugim. Przekazujesz wszystkim to, co sama wiesz, i uczysz się tego, czego nie wiesz.

– Twierdzisz, że taka była wola Emile?

– Tak. Miał o tobie bardzo dobre mniemanie, podobnie jak o wielu innych, których spotkał na swej drodze. Otrzymałem listę ludzi, z którymi mieliśmy się skontaktować. Twoje nazwisko znajduje się na samym szczycie.

– A więc masz listę. Czy poznałeś go osobiście?

– Znałem go. Znaliśmy się na długo przed tym, nim wylądował na Greaves.

– Cóż, wszystko ładnie i pięknie, ale tak naprawdę nie potrzebuję żadnego szkolenia, żeby zostać ochroniarzem.

– Czyżby? I mam rozumieć, że to, jak zatroszczyłaś się o bezpieczeństwo

Borka na korytarzu, stanowiło demonstrację twoich możliwości?

Dirisha poczuła, że jej twarz oblewa gorący rumieniec.

– Mogłam rzucić strzałką, ale uświadomiłam sobie, że to tylko trening.

– A pamiętasz ukłucie, które poczułaś na dłoni? Tej, która trzymała strzałkę? Gdyby to nie był trening, zostałabyś wyeliminowana, bo moja broń zawierałaby śmiertelną truciznę.

Dirisha stłumiła narastający gniew. Pen miał rację, ale jego słowa obudziły kolejne pytanie.

– A gdybym nie zorientowała się w porę? Mogłabym cię zabić!

– Wątpliwe. Nawet mając tylko ćwiczebną amunicję, unieszkodliwiłbym twoją dłoń w taki sposób, byś nie zdołała dokończyć rzutu.

– Niby jak? Wytrzymałabym kilka ukłuć.

– Tuzina raczej nie, a pewnie byłoby ich więcej.

Miała ochotę wybuchnąć śmiechem i nazwać go nadętym pyszałkiem, ale się powstrzymała. Pen mówił bowiem rzeczowo i bez ogródek – nie wydawał się zarozumiały, lecz raczej przekonany o słuszności swoich sądów. To, co powiedział, nie było domysłem – w jego odczuciu było faktem. Co więcej, pomimo okrywających go szat, Dirisha odniosła wrażenie, gdy wchodzili do biura, że ten człowiek całkiem nieźle panuje nad wewnętrzną równowagą. Z tego, co sama zauważyła i co zdradził jej Bork, Pen był kimś na kształt mistrza. Nie miała pojęcia, w czym osiągnął mistrzostwo, ale bez wątplenia istniała taka dziedzina.

– Spodziewałaś się czegoś innego? – Pen przerwał jej rozmyślenia.

– Chyba tak. Nie jestem pewna czego, ale na pewno czegoś innego.

– I nie interesuje cię nasza drobna operacja. Ani nie robi na tobie wrażenia.

Dirisha skinęła lekko głową, przyznając mu rację.

Pen pochylił się i złączył czubki palców.

– Jesteś roninem i podążasz Drogą Musashiego, licząc na to, że dostąpisz oświecenia. Być może uda ci się odnaleźć je tutaj.

Tym razem Dirisha nie powstrzymała śmiechu.

– Naprawdę? Odwiedziłam z tuzin planet i drugie tyle księżyców, wszędzie zdobywając wiedzę i umiejętności. Skąd ci przyszło do głowy, że możecie mieć coś, czego nie udało mi się znaleźć nigdzie indziej?

Pen wstał. Poruszał się gładko i płynnie, jakby nie wkładał w to żadnego wysiłku.

– Zechcesz pójść ze mną?

Wyszedł z biura, nie oglądając się za siebie, choć Dirishy cały czas towarzyszyło przekonanie, że jest świadom każdego jej ruchu.

Wrócili tą samą drogą, którą Bork wprowadził ją do budynku. Gdy znaleźli się na zewnątrz, Dirisha wreszcie ujrzała innych ludzi. Było ich dwanaścioro – cztery kobiety i ośmiu mężczyzn – i zajmowali się ćwiczeniami rozciągającymi na piance. Mieli na sobie luźne ortoskafandry podobne do tego, jaki nosił Bork. Każdy z nich wyróżniał się na tyle krojem i barwami, że nie można ich było określić mianem mundurów, ale poza tym wyglądały dość podobnie.

Pen przeszedł obok ćwiczących i zatrzymał się przy najbliższym ciągu śladów wymalowanych na elastycznej nawierzchni.

– Jesteś mistrzynią kilku sztuk walki, osiągnęłaś biegłość w kontrolowaniu swego ciała. Czy potrafiłabyś przejść po tych śladach do końca?

Dirisha przyjrzała się uważnie skomplikowanemu układowi. Miała doświadczenie w słownych gierkach i rozumiała ukryte w pytaniu przesłanie: ja potrafię tego dokonać, a ty?

Sięgnęła do swego wnętrza i jak zwykle odnalazła w nim spokój i pocieszenie. Nabrała głęboko tchu. W milczeniu stanęła na pierwszym śladzie i ruszyła naprzód. Bez większych problemów pokonała pierwsze pięć kroków. Szósty okazał się trudniejszy, lecz i z nim dała sobie radę. Dzięki latom ćwiczeń zdołała stanąć na siódmym śladzie, choć niemalże straciła równowagę. Postawiła stopę na ósmym, lecz osiągnięcie dziewiątego było niemożliwe. Znała granice swych możliwości i wiedziała, że właśnie do nich dotarła. Odwróciła się szybko, by stanąć twarzą w twarz z Penem.

Ten pokiwał głową i ruchem ręki kazał jej się odsunąć. Spełniła polecenie, patrząc uważnie, jak Pen podchodzi do początku cyklu. Wytężyła całą swą percepcję *zanshin*, by widzieć nie tylko stopy, ale całe ciało. Spędziła lata, ucząc się, jak patrzeć na przeciwnika, jak dokładnie oceniać jego ruchy, ale mimo to miała naprawdę niewielkie pojęcie, jak Pen tego dokonał – wkroczył na pierwszy ślad, a już po chwili zakończył całe ćwiczenie. Wydawało się to wprost niewiarygodne, lecz Dirisha była pewna, że Pen dokładnie umieszczał stopy na każdym ze śladów. Co więcej, nie tyle przeszedł ciąg, co go wręcz przetańczył, i to niemalże bez wysiłku! Była pod wrażeniem, ale musiała dowiedzieć się czegoś o wiele ważniejszego.

Gdy Pen znów przed nią stanął, oświadczyła:

– Każda sztuka ma swoich mistrzów, a wśród nich są mistrzowie nad mistrzami.

Kolejna aluzja, lecz tym razem na tyle prosta, by każdy mógł ją zrozumieć.

W kącikach oczu Pena pojawiły się zmarszczki. Skinął na grupę ludzi zajętych ćwiczeniami rozciągającymi.

– Wybierz któregoś z nich – powiedział. – Kogokolwiek.

Dirisha skinęła głową. A zatem prawidłowo odczytał jej słowa. Sprowokowała go, by odpowiedział na jeden z klasycznych problemów związanych ze sztukami walki: znasz się na rzeczy, ale czy potrafisz zrobić z tego pożytek? Dla wielu mistrzów sztuk walki, którzy wspięli się na wyżyny, był to problem nie do przeskoczenia. Niektórzy z największych – Lee, Sandoz, Villam – nie potrafili nikogo nic nauczyć bez względu na to, jak się starali.

Wyglądało na to, że Pen przyjął wyzwanie. Skoro zaproponował, by wybrała jednego z adeptów, musiał być przekonany o zwycięstwie, ale Dirisha już dawno nauczyła się, by nie brać niczego za pewnik. Odwróciła się ku ćwiczącym w ortoskafandrach. Przyjrzała się ich twarzom, poszukując oznak braku wyszkolenia, lecz niczego nie dostrzegła. Zaraz, zaraz... Wbiła wzrok w młodą blondynkę ostrzyżoną na pazia. Gdzieś widziała tę twarz, wydawała się znajoma. Dirisha była pewna, że kiedyś już...

Nagle ją olśniło. Przypomniała sobie chwilę na promie, kiedy o mały włos nie doszło do kolizji z żaglówką. Ta dziewczyna znajdowała się wówczas na jej pokładzie! Dirisha dokładnie pamiętała roześmianą twarz, gdy wielki statek przemknął tuż obok, w odległości kilku marnych metrów. Chyba nie było wątpliwości, że do tego incydentu doszło na skutek braku uwagi lub umiejętności.

– Wybieram ją! – Dirisha skinęła na blondynkę.

Znów zmarszczki w kącikach oczu.

– Masz niezły nos – stwierdził Pen. – Geneva, czy zaprezentowałabyś Dirishy Dziewięćdziesiąt Siedem Kroków?

Młodziutka kobieta uśmiechnęła się i skłoniła przed Penem lekko, na wojskową modłę. Ze spokojem podeszła do rzędu śladów, nabrała głęboko tchu i rozpoczęła taniec. Nie poruszała się tak płynnie jak Pen, ale nie chybiła ani razu, jej stopy idealnie trafiały w ślady. Po dotarciu do końca znów się

ukłoniła i wróciła do grupy. Było oczywiste, że przez cały czas zachowywała wewnętrzną równowagę. Dirisha skinęła głową raz jeszcze.

– Co to za styl?

– Sumito.

– Słyszałam o nim. Sądziłam jednak, że to religijny styl, którego uczy się jedynie kapłanów.

– W istocie niegdyś tak było. Rodzeństwo Całunu udzieliło nam jednakże szczególnej dyspensy, byśmy mogli uczyć sumito również tutaj.

– Ten taniec jest piękny i złożony, ale co z jego skutecznością?

Znów zmarszczki.

– Masz ochotę na osobisty pokaz?

Dirisha skinęła głową.

– Możesz atakować lub się bronić.

– Obrona.

– Mądry wybór.

Przez dłuższą chwilę żadne z nich nawet nie drgnęło. Dirisha przybrała zwykłą, luźną postawę, nieprzypominającą żadnej z postaw obowiązujących w sztukach walki. Czekwała. Wiedziała, że prędzej czy później Pen zdradzi w jakiś sposób swoje zamiary, że uda się jej dostrzec, jak napina mięśnie, a wtedy będzie gotowa...

Machnął dłońmi w przód i w tył tak szybko, że palce zlały się w jedno.

Dirisha nie uśmiechnęła się, choć chciała to zrobić. Zaprezentował swoistą odmianę kuji-kuri, może *Neshomezoygn*, hipnozę organomechaniczną. Jeśli chciał ją tym zwieść, musiał się bardziej postarać. Dobrze wiedziała, jak unikać podobnych pułapek.

Tymczasem Pen niespodziewanie zniknął i znalazł się tuż za nią. Manewr był tak błyskawiczny, że niemal ją zaskoczył. Odwróciła się, lekko odchyłona, i wymierzyła krótkie, mocne kopnięcie. Pen odskoczył tanecznym krokiem, jakby znów zmierzał po rzędzie śladów, jakby znajdował się tu sam, poza zasięgiem jej ciosów.

Dirisha ustawiła się do niego bokiem, by stanowić trudniejszy cel, a potem uniosła ręce, gotowa osłonić ciało i twarz, ale Pen nie wydawał się zainteresowany kolejnym natarciem. Płasał to tu, to tam, a jego taneczne ruchy wydawały się kontynuacją hipnotycznych sztuczek. Niespodziewanie Dirisha zrozumiała, że Pen wykorzystuje całe ciało do tego, do czego przed chwilą wykorzystywał jedynie dłonie. Odwróciła nieco spojrzenie, by śledzić

jego ruchy kątem oka.

Rozległy się dwa stłumione wybuchy. Dirisha szybko skierowała wzrok na Pena. Czyżby skorzystał ze spetsdödów? To dlaczego nie poczuła ukłucia?

Pen wykorzystał chwilę jej zawahania. Wykonał obrót, jakby chciał się oddalić, lecz niespodziewanie jego noga zatoczyła łuk niczym wirujące ostrze i trafiła ją w kostkę. Było to nieoczekiwane uderzenie i Dirisha bezwładnie padła na plecy. Pomimo elastycznej nawierzchni aż jęknęła z bólu. Przetoczyła się, by uniknąć kolejnego ataku, ale nim zdążyła poderwać się na nogi, poczuła, jak coś delikatnie musnęło jej skroń.

Sapnęła, a potem wstała i wykonała ukłon. To dotknięcie mogło być znacznie mocniejszym ciosem, na który zresztą zasłużyła tą porażką.

Pen stał nieopodal, nieprzenikniony i tajemniczy pod zwałami szarej szaty.

– Jeszcze?

Pokręciła głową.

– Niekoniecznie. Znasz się na rzeczy, tygrysku. A sądząc po tym, co pokazali twoi adepci, uczyć też potrafisz. Gdzie się podpisać?

Pen zarechotał. Słowa, które wypowiedział po chwili, rozgrzały jej serce o wiele mocniej niż tropikalny żar:

– Witaj w domu, Dirisho.

CZTERY

Blondynka nazywała się Geneva Echt, a to, co powiedziała, jednocześnie zaintrygowało i poirytowało Dirishę. Stały w sporym, dobrze oświetlonym pokoju, który przydzielono Dirishy. Znajdowało się w nim łóżko, kanapa, stół, krzesła oraz komputer, a do tego niewielki aneks kuchenny i automatyczny odświeżacz.

– Co takiego?

– Powiedziałaś, że nie miałaś wyboru, musiałaś wybrać mnie, żebyś przeszła Dziewięćdziesiąt Siedem Kroków.

– Wybacz, ale to się nie trzyma kupy. Razem z tobą ćwiczyło kilkunastu innych ludzi, równie dobrze mogłam wybrać kogoś z nich.

– Psychologia znajomej twarzy. Według Pena istniało ogromne prawdopodobieństwo, że wybierzesz właśnie mnie.

Dirisha przyjrzała się uważnie blondynce. Jasna karnacja wskazywała, że dziewczyna nie farbowała włosów. Nie była drobna, ale wzrostem ustępowała Dirishy. Jej ciało okrywał cienki ortoskafander, który uwydatniał zwartą, muskularną budowę. Oczy miała lodowato szare, głęboko osadzone, i przenikliwe spojrzenie. Mogła być jakieś pięć lat młodsza od Dirishy, co oznaczało, że ma dwadzieścia pięć lat.

– Trudno się nie zgodzić z psychologią, ale skąd niby Pen wiedział, że twoja twarz nie jest mi całkiem obca?

Geneva rozciągnęła usta w szerokim, radosnym uśmiechu, który ukazał jeden lekko krzywy ząb w szeregu równiutkich.

Dirisha pokręciła głową, jakby nagle zrozumiała powód tego uśmiechu.

– A więc to nie był przypadek – powiedziała miękko.

– To był jeden z najtrudniejszych żeglarskich manewrów, w jakich uczestniczyłam. Musieliśmy dołożyć wszelkich starań, by wyglądało to tak, jakbyśmy nie mieli zielonego pojęcia, co robimy, dopóki nie znajdziesz się na tyle blisko, by mnie wyraźnie zobaczyć.

– W to akurat mogę ci uwierzyć. Zrobiliście mnie w konia koncertowo, byłam przekonana, że skończycie jako karma dla rybek – Dirisha sama się uśmiechnęła. Tknęła ją kolejna myśl. – Ale... skąd Pen wiedział, że będę stała w miejscu, z którego w ogóle cię zobaczę? Równie dobrze mogłam spać, siedzieć w odświeżaczu czy słuchać muzyki.

Geneva podeszła do komputera stojącego na długim stole tuż pod oknem,

a potem odwróciła się ku Dirishy, nadal uśmiechnięta.

– Prom należy do szkoły. Wiedzieliśmy nie tylko to, że się na nim znajdujesz, ale również to, gdzie dokładnie przebywasz przez całą podróż.

Dirisha znów potrząsnęła głową, zdumiona i nieco rozzłoszczona.

– Ale po co? Dlaczego zadajecie sobie tyle trudu?

Geneva wzruszyła ramionami.

– Tak naprawdę to nie wiem. Pen robi wiele rzeczy, a powody, jakie się za nimi kryją, często pozostają dla nas tajemnicą. Oprócz niego są jeszcze inni u władzy, tworzą coś na kształt rady, ale to Pen jest największym autorytetem w Villi. Pewnie chciał ci coś udowodnić. Wyjaśni ci to kiedyś na jakichś zajęciach, gdzie posłuży to za przykład w lekcji. Jestem tu krótko, zaledwie półtora roku, ale tego jednego zdążyłam się o Penie nauczyć. On zawsze planuje z dużym wyprzedzeniem, starając się patrzeć w odległą przyszłość. Może ma to związek ze szkoleniem, jakie przeszedł z Rodzeństwem.

Dirisha zastanowiła się nad tymi słowami.

– Czy jestem jedyną osobą, którą kazał śledzić w ten sposób? On lub szkoła, sama nie wiem, jak to rozumieć...

– Z tego, co wiem, prawie wszyscy z nas mieli podobne doświadczenia. Być może kilka osób dotarło do ośrodka na własną rękę, ale z trzydziestu dwóch adeptów – no, trzydziestu trzech razem z tobą – każdy w którymś momencie był śledzony, jak sądzę.

– Pewnie masz już dość pytań, ale nadal nie wiem, po co to wszystko.

– Zrozumiesz, gdy jakiś czas tu pobędziesz. Zrozumiesz, po co ten trening, co tu robimy, jakie mamy zadania...

– Cześć.

Dirisha odwróciła się w stronę drzwi i ujrzała w progu drobnego rudowłosego mężczyznę w wieku jakichś pięćdziesięciu lat. Trzymał długie, płaskie pudełko. Uśmiechnął się do obu kobiet.

– O, Rudzielec – powiedziała Geneva. – Nie marnujesz czasu, jak widać.

– Druga zasada, młoda, to moja praca.

– Dirisha, to Rudzielec. Znaczy się, na pewno ma jakieś imię...

– Lyle Gatridge – mężczyzna zwrócił się z uśmiechem do Dirishy. – Ale może być Rudzielec, póki nie wyłysięję.

Dirisha dopiero po chwili dostrzegła parę spetsdödów, które wydawały się niemalże naturalnym elementem dłoni mężczyzny. Potem przypomniała

sobie, że nie widziała w szkole nikogo, kto by ich nie nosił. Ponadto twarz Rudzielca również wydawała jej się znajoma.

Rudzielec położył pudło na stole i otworzył je, ukazując parę spetsdödów, amunicję oraz bloczki plastikowej tkanki. Przyjrzał się Dirishy uważnie, a potem wyjął drobną ampułkę wypełnioną ciemnym płynem. Chwycił też jeden z bloczków, wcisnął do niego zawartość ampułki i zaczął ugniatać substancję. Różowawa masa na oczach Dirishy ciemniała, a Rudzielec dodawał barwnika tak długo, aż nie uzyskał koloru identycznego z jej skórą.

– Jeśli to dla mnie, to nie zwracaj sobie głowy – zwróciła się do niego Dirisha. – To, co mam, wystarcza mi w zupełności.

Rudzielec uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

– Zasada numer dwa brzmi: adepci zawsze noszą spetsdödy – wyjaśniła Geneva.

– Zasady Pena – zachnęła się Dirisha. – Bork gadał o nich przez cały czas, a Pen wspomniał o pierwszej, gdy postrzelił Borka w korytarzu. Ilu tych zasad będę musiała się nauczyć?

– Włącz komputer – poleciała jej Geneva.

Dirisha podeszła do stołu i przytknęła palec do czujnika dotykowego. Przez ekran holoprojekcyjny przemknął test kolorów, a potem pojawiły się na nim trzy zdania:

1. *Adepci mają być przez cały czas przygotowani na atak.*
2. *Adeptom nie wolno ani na moment ściągać spetsdödów.*
3. *Walkami na śmierć i życie nie rządzą żadne zasady.*

Dirisha odwróciła się ku Genevie, a jej młodsza koleżanka wzruszyła ramionami.

– To tyle. Są tylko trzy zasady. Wszystkie dotyczą walki, ale z drugiej strony po to tu właśnie jesteśmy.

Dirisha pokiwała głową. Nie zdziwiły jej te trzy zasady, w wielu *dojo* na rozmaitych planetach widywała podobne. Ceremonialny ukłon przy wejściu do wnętrza *dojo* oznaczał, że od tej chwili adept musiał być gotowy na wszystko. Zachowaj czujność, nie wypuszczaj broni z rąk, przeżyj. Proste.

– Adepci w sumie rzadko do siebie strzelają – powiedziała Geneva. – Ale mogą. Zdobywasz punkty, jeśli wygrasz pojedynek, tracisz je, jeśli przegrasz, a ich ilość zawsze zależy od okoliczności. Jedynie instruktorzy mają przywilej nagradzania punktami. W większości przypadków to właśnie oni prują do ciebie w chwili, gdy najmniej się tego spodziewasz. Przyzwyczaj się

do syku wypuszczanej strzałki, od tej pory często będziesz słyszeć ten dźwięk. Zresztą gdyby nie to, ciężko byłoby nie usnąć na nudnych wykładach w upalne popołudnie.

– Przypomina mi to dziecięce zabawy.

– Pen by się z tobą nie zgodził. Strzelać można tylko do tego, kto twoim zdaniem nie jest wystarczająco czujny i gotowy do walki. Jeśli wystrzelisz w odpowiedzi i trafisz napastnika w ciągu sekundy od chwili, gdy sama oberwiesz, oznacza to, że zabiliście się nawzajem i oboje tracicie wówczas punkty. Ten system powstrzymuje wszystkich narwańców od walenia w kogo popadnie dla samej radochy.

– A kto liczy punkty?

– Każdy. To system honorowy.

Dirisha pokiwała głową.

Rudzielec podszedł do niej, rozciągając ciemną masę w długie paski.

– Pokaż mi rękę.

Dirisha wyciągnęła prawą rękę i przyglądała się, jak Rudzielec przykłada substancję do zewnętrznej części nadgarstka.

– Zawsze sądziłam, że spetsdödy robione są w zestawie razem z gotową tkanką – powiedziała.

Mężczyzna zerknął na nią z zainteresowaniem.

– Znasz tę broń? – zapytał.

– Nigdy z niej nie korzystałam, ale zdarzało mi się ją widzieć.

Powrócił do wygładzania ciemnej masy na skórze Dirishy.

– Przygotowana indywidualnie okazuje się lepsza – wyjaśnił. – Nie chcemy, by ktoś dostał alergii na komercyjną tkankę, więc korzystamy z substancji hipoalergiczej, która nie uaktywnia systemu immunologicznego ludzi ani mutków. Gdy przyłgnie, można ją bez trudu oderwać i przyczepić na nowo, ale powinnaś zawsze mieć na sobie przynajmniej jeden spetsdöd, nawet w odświeżaczu. Nauczysz się, jak z nimi jeść, spać, uprawiać seks. Nauczysz się też, jak się z nimi ostrożnie obchodzić, nawet gdy masz w magazynku tylko strzałki z tępymi końcówkami. Zwłaszcza gdy, eee... Gdy się z kimś zapomnisz.

– Chyba wiem, w którym momencie mogłoby się to okazać bolesne – odparła Dirisha, utrzymując powagę najdłużej jak potrafiła, ale w końcu nie wytrzymała i wybuchła śmiechem.

Rudzielec umieścił dwa aluminiowe urządzenia w rozgrzanej sztucznej

tkance. Dirisha na próbę poruszyła dłonią, przyzwyczajając się do nowej wagi, a on przyjrzał się jej uważnie. Pokazał, jak wsuwać magazynki do broni i wyjaśnił, jak strzelać.

– To banalnie proste. Spust znajduje się przy wylocie lufy, o, tutaj. Mechanizm opiera się na obwodzie elektronicznym uruchamianym dotknięciem paznokcia. Wymierzasz palec wskazujący w cel i rozprostowujesz go maksymalnie, o, tak...

Spetsdöd kaszlnął i wystrzelona strzałka utkwiała w ścianie.

– Rano nauczysz się podstaw – ciągnął Rudzielec. – Nie sądzę, żeby ktoś okazał się na tyle wredny, by próbować cię załatwić podczas pierwszej nocy w szkole, przynajmniej do chwili, kiedy nauczysz się odpowiadać ogniem.

– Z wyjątkiem Pena – przypomniała Geneva.

– No tak, w sumie racja. Miej się na baczności, gdy go zobaczysz. Gdy tylko wyceluje w ciebie palec, rób unik i strzelaj najszybciej jak potrafisz.

– Unik nie ma sensu – stwierdziła z przekonaniem Geneva. – Jeśli Pen wystrzeli, to najprawdopodobniej cię trafi. Przypuszczalnie w którąś rękę, żebyś nie miała szansy odpowiedzieć ogniem i trafić go w tej samej chwili. Jest doskonałym strzelcem, przypuszczalnie równie dobrym jak niegdyś Khadaji.

Rudzielec zaśmiał się.

– Chyba trochę przesadzasz.

– Może. Nieczęsto w ciebie strzela, co?

– Zdarza mu się.

– I jak mu to wychodzi?

Wzruszył ramionami, ale nie odezwał się słowem.

Gdy wyszedł, Geneva uśmiechnęła się i machnęła własnym spetsdödem w stronę Dirishy.

– Z technicznego punktu widzenia jesteś teraz zwierzyną łowną. Dam ci trochę czasu, żebyś mogła wypróbować zasięg nowych zabawek i przyzwyczać się do obsługi, ale potem sama mogę próbować cię rąbnąć. Punkty to punkty.

– W porządku.

Minęła chwila, a Geneva niespodziewanie spoważniała.

– Znałaś go, prawda?

– Rudzielca? – nie zrozumiała Dirisha.

– Khadajego.

– Pracowałam dla niego na Greaves.

Na twarzy Genevy pojawił się nabożny szacunek.

– To było wtedy, gdy stworzył ruch oporu?

– Wiedziałam tylko tyle, że prowadzi „Nefrytowy Kwiat”, pub rekrechemiczny. Nie miałam pojęcia o jego prywatnej wojnie. Wszystko wskazuje, że nikt o tym nie wiedział.

– Ale na pewno dostrzegłaś w nim coś niezwykłego.

Dirisha zastanowiła się nad odpowiedzią. Tak, Khadaji wydawał się osobą ponadprzeciętną, doskonale się poruszał, ale nie był nikim niezwykłym, chyba że świetnie to maskował. Wyczuła jednak, że nie takich wyjaśnień oczekuje koleżanka.

– Jasne, na swój sposób był szczególny.

– Zazdroszczę ci – westchnęła Geneva. – Żałuję, że sama nie miałam okazji go poznać. Człowieka, który rzucił wyzwanie całej armii i który z tą armią wygrał.

– Tak, tak chyba należy to ująć. Możemy uznać, że wygrał.

Geneva wydawała się poruszona słowami koleżanki.

– Co masz na myśli?

– Cóż, chciał przekazać ważną rzecz i to mu się udało. Ale w końcu go dorwali.

– Dorwali go, bo im na to pozwolił.

Dirisha wzruszyła ramionami.

– Jak zwał, tak zwał. Tak czy owak, nie ma go wśród nas. Zawsze uczono mnie jednego: szczyścić się można tylko tym, że przeżyło się jedną walkę, by móc stoczyć kolejną.

Geneva nie odzywała się przez chwilę i Dirisha doszła do wniosku, że dziewczyna jest na nią wściekła. Cóż, trudno. Nie znała Khadajego, znała jedynie legendę, która powstała po jego śmierci. Dirisha zaś widywała go codziennie i był dla niej tylko zwykłym śmiertelnikiem, bez względu na to, co zdołał osiągnąć. Nie chciała jednak robić sobie wrogów w tym miejscu, a przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Rudzielec zna się na rzeczy – powiedziała, chcąc zmienić temat. – Ledwie czuję, że mam je na sobie.

Wyglądało na to, że Geneva zdążyła już zapomnieć o nieporozumieniu.

– Och, tak, jest w tym mistrzem! A jeśli kiedyś odniesiesz wrażenie, że ci się przygląda, jakby chciał ci wpakować strzałkę między żebra, odszukaj

najbliższe wyjście i zwiewaj. Ten facet nie chybia.

– Jest lepszy od Pena?

– Nikt nie wie tego na pewno – odparła dziewczyna, najwyraźniej zadowolona, że usłyszała to pytanie. – Nie liczą punktów między sobą. Ale wydaje mi się, że gdyby przyszło co do czego, we dwójkę rozłożyliby nas wszystkich.

– Dwóch mężczyzn dałoby radę trzydziestu trzem adeptem?

Geneva pokiwała głową.

– Na ich temat nie ma żadnych oficjalnych zapisków, ale podobno Pen uczył Khadajego sumito na wiele lat przed jego kampanią na Greaves, a Rudzielec nauczył go, jak korzystać ze spetsdödów.

Dirisha pokiwała głową. Wyglądało na to, że w Matador Villi pracowali prawdziwi mistrzowie. Miała ogromną ochotę dowiedzieć się, czego uczyli i z jakich powodów.

– Sporo o nich wiesz – rzekła.

– To tylko złudzenie. Mam jednak pewną przewagę nad innymi. Rudzielec to mój ojciec.

* * *

Geneva wyszła i Dirisha spędziła kilka minut na medytacji, chcąc oczyścić umysł. Gdy skończyła, zgarnęła magazynki i ruszyła na poszukiwanie strzelnicy, o której wspominał Rudzielec. Skoro pozostali członkowie szkoły mieli wkrótce zacząć napaść na nią ze strzałek, musiała jak najszybciej nabrać wprawy w korzystaniu z podstawowej w tym konflikcie broni. Czekanie na rozpoczęcie oficjalnego treningu nie miało sensu, zwłaszcza w świetle trzeciej zasady.

Po czterdziestu pięciu minutach ćwiczeń Dirisha poczuła się nieco pewniej ze spetsdödami. Do mistrzostwa wiele jej brakowało, ale nim skończyła piąty magazynek, potrafiła z obu rąk trafić w cel wielkości człowieka znajdujący się w zasięgu bojowym. Trafienie w cel wielkości dłoni – a nadto poruszającej się dłoni – wymagało o wiele więcej treningu, ale mogła przynajmniej liczyć na to, że stawi innym czoła z jakąś szansą na sukces.

Wróciwszy do pokoju, zarygłowała drzwi. Nie dostała żadnego klucza, ale odkryła, że zamek otwiera się i zamyka przytknięciem kciuka do czytnika. Niezłe, ale dla pewności umieściła na drzwiach przenośny moduł alarmowy nazywany piskaczem. Jeśli ktokolwiek spróbuje je sforsować,

piskacz da o tym znać wszystkim osobom w okolicy.

Ściągnęła ubranie i ruszyła pod prysznic. Po drodze zatrzymała się przed wiszącym na ścianie lustrem. Przyjrzała się krytycznie swojemu odbiciu. Mierzyła ponad sto siedemdziesiąt siedem centymetrów, ważyła siedemdziesiąt pięć kilogramów plus kilka dodatkowych przy panującej na tym świecie grawitacji. Grube mięśnie gładko poruszały się pod skórą, krótko obcięte włosy nadal mocno się kręciły. Nie wyglądała źle jak na steraną życiem weterankę w wieku trzydziestu jeden standardowych lat ziemskich. Uśmiechnęła się krzywo, po czym naga, nie licząc spetsdödów, weszła pod prysznic.

Gorąca woda wraz z ultradźwiękami spłukały z niej pył podróży i pozwoliły, by wreszcie zawładnęło nią zmęczenie. Zaczęła ściągać spetsdödy, by dokładnie umyć dłonie, ale przerwała. Co prawda była sama w zamkniętym pokoju, lecz warto było się przyzwyczajać do noszenia przynajmniej jednego spetsdöda bez względu na sytuację. Zdjęła prawy, umyła i osuszyła dłoń, po czym na powrót przytknęła do niej plastyczną masę mocującą i dopiero wówczas zabrała się za lewą rękę. Nikt tego nie widział, ale Dirisha poczuła się dumna.

Gdy dmuchawy z gorącym powietrzem osuszyły jej skórę, dokończyła toaletę i skierowała się do łóżka.

Trzy minuty później spała snem sprawiedliwych.

* * *

Ściagała ją jakaś ogromna bestia, jakiś gad. Wrzeszczała na nią przeraźliwie wysokim głosem...

Dirisha stoczyła się z łóżka na podłogę i zbudziła w jednej chwili. Piskliwy wrzask gada ze snu okazał się odgłosem wydawanym przez zamontowany na drzwiach piskacz. Ktoś próbował dostać się do środka.

Wycie zagłuszyło kasznięcie spetsdödów, a wibracje, jakie wywołały dwie strzałki wbijające się w łóżko, były ledwie wyczuwalne. Dirisha nadal toczyła się po podłodze. Z tego miejsca nie mogła wygodnie celować, niemniej zdołała wyswobodzić rękę i skierować ją ku drzwiom. W ciemnościach nikogo nie dostrzegła, ale wystrzeliła czterokrotnie, zataczając ręką łuk, by zwiększyć kąt ostrzału. Usłyszała, jak dwie pierwsze strzałki wbijają się w ścianę na lewo od drzwi – zbyt wysoko, niech to szlag! – a trzecia i czwarta wylatują na korytarz. Z pewnością przemknęły tuż nad głową napastnika, chyba że był gigantem. Opuściła nieco rękę, by wystrzelić

jeszcze raz, ale wtedy po wewnętrznej stronie uda, tuż powyżej kolana, poczuła ukłucie strzałki.

Cholera! Niczego nie widziała przez gęstą ciemność. Pomyślała, że może napastnik też niczego nie widzi i kieruje się odgłosem wydawanym przez jej broń. Mogła go trafić i powiedzieć potem, że chybił, nikt by się przecież nie domyślił...

Nagle pokręciła głową. Wystarczy, że ona będzie o tym wiedziała.

Westchnęła.

– Dobra, tygrysku, dorwałś mnie. Daj znać Penowi, żeby dodał ci kilka punktów do twojego rachunku i odjął kilka z mojego.

Napastnik musiał odnaleźć piskacz, bo wycie niespodziewanie ucichło. Zapadła głęboka cisza, a wtedy się odezwał:

– Gdybyś miała odrobinę więcej doświadczenia w korzystaniu ze spetsdödów, to ty trafiłabyś mnie. Nikt dotąd nie wystrzelił czterech strzałek pierwszej nocy. Odejmuję ci tylko jeden punkt.

Głos należał do Pena.

– Możesz spać spokojnie. Ten nocy już nie wrócę.

Znikł niespodziewanie – Dirisha nie widziała go, ale poczuła, że wyszedł. Dźwignęła się i podeszła do drzwi, by je zasunąć. Pomimo obietnicy Pena przygotowała prawy spetsdöd, a zamykając drzwi, nastawiła na nowo piskacz. Nie miała pojęcia, jaką funkcję pełniło miejsce, w którym się znalazła, ale wiedziała, że do nudnych na pewno należeć nie będzie.

PIĘĆ

Rano zarazili Dirishę wirusem.

Lekarz w białym ortoskafandrze poprowadził ją do fleksifotela w prywatnym gabinecie.

– Ułóż się wygodnie – polecił. – Muszę się wkłuć do tętnicy szyjnej. Poczujesz narastające zimno, ale na tym się skończy. Program zacznie działać po jakichś piętnastu minutach.

Dirisha pokiwała głową. Słyszała o nauczaniu drogą iniekcji wirusowej, choć dotychczas nie było jej na to stać – czyli przez długie lata od chwili, gdy naprawdę by się jej to przydało. Na ojczystej planecie, której nazwa stała się imieniem Dirishy za sprawą pomysłu matki, przeszła przez pierwsze szczeble edukacji w Szkole Podstawowej Sawa Mji w czasie realnym. Oferta edukacyjna we Flat Town była ograniczona, ale darmowa – błogosławieństwo dla córki zwykłej kobiety do towarzystwa. Ukończywszy piętnaście lat, Dirisha poznała oficera ze statku kosmicznego, który w zamian za jej ciało podarował jej kopię dysku edukacyjnego podprowadzonego z okrętu. Nazywał się *Go Placid*, opierał na nauce w czasie realnym i na pewno nie należał do łatwych. Nawet z pomocą oficera przyswojenie całej wiedzy zabrało jej dwa lata. Potem odkryła Sztuki, które polegały na wpajaniu nauki mięśniom, stąd hipnoza czy zastrzyki okazywały się bezużyteczne. Nikt nie nauczył się ciosu pięścią z nagrania, trzeba się samemu nieźle...

Cichy syk sprężonego powietrza wyrwał Dirishę z rozmyślań. W tej konkretnej sytuacji nauczanie drogą iniekcji wirusowej mogło się okazać przydatne. Była nową uczennicą i musiała zrozumieć wiele rzeczy, skoro miała dołączyć do zaawansowanych adeptów. Ta forma edukacji nie nauczyła jej co prawda, jak celniej strzelać czy przejść Dziewięćdziesiąt Siedem Kroków, ale pozwoliła uzupełnić braki czysto akademickie.

Lekarz spojrział na zegarek wprawiony w paznokiec kciuka.

– Zobaczmy się za kilka minut – oznajmił Dirisha ułożyła się wygodnie, a fleksifotel dopasował kształt do jej sylwetki. Mechanizm pracował tak gładko, że czuła go, ale nie słyszała. Ta organizacja dysponowała sporymi funduszami. Iniekcja wirusowa kosztowała fortunę, za podobny osprzęt również należało zapłacić więcej niż kilka standardów. Jaki był prawdziwy cel, dla którego to wszystko powstało? Z pewnością nie chodziło tylko i wyłącznie o stworzenie grupy superochroniarzy.

Niespodziewanie Dirisha uświadomiła sobie, że siedzi na ławce, a wokół niej, na identycznych ławkach, wielu innych ludzi. Wszyscy wpatrywali się w pusty ekran. Po chwili w wejściu do pomieszczenia stanął Pen spowity w szarą szatę i miękkim krokiem, wręcz sunąc, podszedł do ekranu. Dirisha uśmiechnęła się. Ktokolwiek zaprogramował tego wirusa edukacyjnego, na pewno miał poczucie humoru.

– Witamy w programie „Matador” – rzekł Pen. – Ta sesja wraz z kolejnymi została przygotowana po to, by przedstawić wam zasięg i cel szkolenia, któremu zostaniecie poddani. Dowiedcie się, jak i dlaczego powstał, poznacie też podstawowe informacje, które umożliwią wam korzystanie z głównych zajęć na obecnych poziomach.

Pen urwał i machnął dłonią. Pomieszczenie zaczęło się rozmazywać i niknąć.

Dirisha nabrała pospiesznie tchu. Znajdowała się w „Nefrytowym Kwiecie”! Iluzja wydawała się wręcz perfekcyjna, to był ten sam pub rekreacyjny, w którym pracowała jako ochroniarz przed trzema laty. Pod ścianami ośmiokątnego pomieszczenia siedzieli żołnierze, pijąc, paląc lub po prostu uśmiechając się pod wpływem chemów. Dostrzegła Butcha, który nadzorował wydawanie narkotyków, bramkarza Anjue, a potem samego Khadajego, uśmiechniętego, przeciskającego się przez tłum i wreszcie... Wreszcie dostrzegła siebie!

Poczuła ukłucie nostalgii. Ogarnęło ją wrażenie, że znajduje się w pubie, niemalże czuła zaduch wywołany obecnością tłumy i dym skrętów pachnący nerkowcem, dostrzegła najdrobniejsze szczegóły.

Khadaji roześmiał się z żartu któregoś z żołnierzy, a potem ruszył ku centrum pomieszczenia. Wydawał się rosnąć, podczas gdy otaczająca go sceneria zaczęła blaknąć. Gwar wypełniający pomieszczenie ucichł i Dirisha znów usłyszała głos Pena:

– Oto Emile Antoon Khadaji, były żołnierz Jumptroopers, eksbarman i przemytnik. Khadaji, którego widzicie w tej chwili, to człowiek zamożny, doskonale wyszkolony w wielu dziedzinach. I przepełniony poczuciem misji. Prawie piętnaście lat wcześniej Khadaji doznał kosmicznego olśnienia, w którym ujrzał upadek Konfederacji i rolę, którą musiał w nim odegrać. Tu, na Greaves, działając z niewielkiego pubu, Khadaji utworzył jednoosobowy ruch oporu, którego działania wymierzone były w Konfed.

Wnętrze „Nefrytowego Kwiatu” rozplynęło się i znikło. Chwilę później

Dirisha ujrzała Khadajego stojącego samotnie na tle drzew i krzaków. Miał na sobie zwykły czarny ortoskafander, uzbrojony był w parę spetsdödów. Odwrócił się ku drzewom i w tej samej chwili pojawiło się czterech żołnierzy, każdy wyposażony w karabin z pociskami wybuchowymi. Ciszę rozdarły serie z broni maszynowej, Khadaji wystrzelił dwie strzałki, przypadł do ziemi, przetoczył się i poderwał, by znów wystrzelić. Wszyscy żołnierze upadli i zeszywnieli, kiedy ich mięśnie zwiotczały w natychmiastowym paraliżu.

„Zatrucie spazmem”, przypomniała sobie Dirisha.

Szpitala na Greaves pękały w szwach, przepełnione poszkodowanymi w ten sposób żołnierzami. Paraliż ustępował po sześciu miesiącach. Normalne środki neutralizujące nie działały na spazm. Nie istniało żadne antidotum.

Khadaji wstał i przyjął luźną postawę, spoglądając ku niewidzianej publiczności. Znów się uśmiechnął.

– Emile Antoon Khadaji – powtórzył Pen. – Człowiek, który rzucił wyzwanie całej armii. Gdy wyeliminowani przez niego żołnierze zaczęli dochodzić do siebie i uświadomił sobie, że wkrótce zostanie zidentyfikowany, wszedł do kwatery dowódcy sił okupujących Greaves i sparaliżował również jego, czym podsumował dotychczasową działalność. Chwilę później, nie chcąc, by pochwycili go żołnierze wroga, wysadził się w powietrze.

Dirisha wszystko sobie przypominała. Wydarzyło się to podczas zmiany Sleela, ale przybyła na czas, by ujrzeć szturm żołnierzy na opancerzoną dragerię „Nefrytowego Kwiatu”. Skondensowana kula o średnicy trzech metrów, która skupiła w sobie całe pomieszczenie wraz z wyposażeniem i towarami, przebiła się przez fundamenty pubu i wniknęła w ziemię.

– Po sprawdzeniu rzeczy, które pozostały po Khadajim, okazało się – ciągnął Pen – że ilość wystrzelonych przez niego strzałek odpowiada co do jednego ilości wyeliminowanych żołnierzy Konfedu. W trakcie sześciu miesięcy działań Khadaji wyłączył z walki dwa tysiące trzystu osiemdziesięciu ośmiu najdoskonalszych żołnierzy Konfederacji. Nie zabił żadnego z nich, nigdy nie skorzystał z niczyjej pomocy. Nie chybił ani razu.

Dirisha zdawała sobie sprawę, że to propaganda, ale mimo to poczuła, jak przeszywają dreszcz. Bez względu na punkt widzenia, dokonania Khadajego były czymś niezwykłym. Ten człowiek całkowicie poświęcił się swojej misji.

Obraz zgaśł zupełnie jak po wyłączeniu holoprojekcji i po raz kolejny

Dirisha znalazła się w sali lekcyjnej, wpatrzona w postać Pena.

– Gdy Emile Khadaji rozpoczął działania przeciwko Konfederacji, był bogatym człowiekiem. Mógł pozostać lojalnym obywatelem systemu, człowiekiem, któremu nic nie brakuje, człowiekiem szanowanym i należącym do elit. Zrezygnował jednak z tego, gdyż wiedział, że stary dinozaur zwany Konfederacją powoli zdycha. Postanowił zrobić wszystko, by przyspieszyć jego śmierć. Postanowił dać przykład wszystkim wolnym mężczyznom i kobietom, postanowił pokazać, że opór nie musi być daremny. Skoro samotny człowiek potrafi zdziałać aż tyle, to czego dokona setka oddanych ludzi?

Pen na chwilę zamilkł.

– Lecz istnieją inne metody walki – podjął. – Jedną z nich to edukacja, pióro, które okazuje się mocniejsze od miecza. Wystarczy zmienić filozofię tyrana, a nie trzeba będzie go zabijać. Khadaji jest naszą ikoną, lecz przyjęliśmy inne metody. Ci spośród was, którzy zostali wybrani, by stać się Matadorami – a słowo to, pochodzące ze starożytnego języka, oznacza zabójcę – nie będą zabijać, a jedynie niszczyć pokrętne, wypaczone idee Konfedu. Mężczyźni i kobiety, których życie zostanie powierzone waszej opiece, nauczą się wam ufać. Możecie szeptać do uszu ważnych ludzi, rozpowszechniać poglądy, próbować zmieniać nastawienie niezdecydowanych. Raz zasiane ziarno zakiełkuje i na cielsku zdychającej Konfederacji w końcu wyrosną inne potęgi. Być może – podkreślam, być może – któraś z nich będzie uosabiać idee, w które wierzył Khadaji. A wierzył on, że ludzkość powinna być wolna, a jakakolwiek agresja przeciwko innemu człowiekowi bądź mutantowi to zło. Właśnie dlatego Khadaji wybrał spetsdöd jako swoją broń. Z tego samego względu wy również opanujecie posługiwanie się bronią niepowodującą śmierci. Taki jest nasz cel.

Pen umilkł. Znów machnął dłonią i Dirisha znalazła się w przestrzeni kosmicznej. Obserwowała płynący nieopodal gigantyczny statek kosmiczny w kształcie pierścienia. Z pewnością był bardzo stary i na swój sposób wydawał się znajomy. Kształt wskazywał, iż niewątpliwie pochodził z czasów przed wynalezieniem napędu zwanego Naginaczem. Co więcej, nie był uwięziony przyciąganiem planety ani gwiazdy. Zaraz, chyba sobie przypomniała, przecież to...

– „Heaven Star” – powiedział Pen. – Pierwszy zbudowany przez ludzkość statek międzysystemowy odbywający swą epicką podróż. Ci z nas, którzy są

Matadorami, przyrównują się do niego, są bowiem swego rodzaju pionierami gotowymi zaryzykować wszystko dla wspólnego celu. Jako nowa adeptka nie znalazłabyś się tutaj, gdybyś nie dysponowała szczególnymi talentami, umiejętnościami bądź oddaniem podobnym naszemu.

Pen urwał. Wszedł zza pulpitu i ruszył krótkim przejściem między rzędami prosto ku Dirishy. Zatrzymał się w odległości kilku kroków i znów się odezwał, nie spuszczać z niej oczu:

– Jeśli dążysz do czegoś innego, możesz nas opuścić w dowolnym momencie. Twoja pamięć pozostanie nienaruszona, nie jesteśmy Konfedem. Możesz zadawać każde pytanie, jakie ci przyjdzie do głowy. To, czym się tu zajmujemy, nie jest nielegalne wedle standardów tego świata i całej Konfederacji. Dopóki nie stawiamy aktywnego oporu lub nie namawiamy do niego innych, dopóty Konfed patrzy przez palce na drobne różnice poglądów.

Dirisha przyglądała się uważnie do złudzenia realistycznej animacji Pena. Nigdy dotąd nie interesowała się polityką, a od chwili gdy opuściła matkę, jej jedynym pragnieniem było osiągnięcie najwyższego stopnia wtajemniczenia w sztukach walki. Jeśli o nią chodzi, Konfed mógł sobie istnieć. Odczuwała jednak znużenie. Męczyła ją walka z innymi wojownikami podążającymi Drogą Musashiego, wędrowanie z planety na planetę w poszukiwaniu nowej Sztuki. Proponowane przez Pena sumito i owe Dziewięćdziesiąt Siedem Kroków sprawiały wrażenie czegoś niezwykłego, wyczuwała to i była tego pewna. Ponadto odnalazła tu ludzi, którzy ją intrygowali – Pena, Rudzielca, Genewę, Borka – i chcieli, by działała wraz z nimi! Byli nią zainteresowani do tego stopnia, że śledzili każdy jej krok. Poza tym nie zawadziłoby ich umiejętności potrzebne w fachu ochroniarza. To miejsce było równie dobre jak każde inne.

– Zostanę tu jakiś czas – powiedziała.

Pen pokiwał głową.

Projekcja sali lekcyjnej zawirowała i znikła, zastąpiona niewielkim pokojem, w którym znajdowało się zaledwie kilku uczniów. Pen znów stał przed nimi.

– Pewnego razu – zaczął – przyglądałem się zajęciom z udziałem małych dzieci. Uczyły się aikido, starożytnej sztuki walki, która w znacznym stopniu korzysta z wewnętrznej energii zwanej *ki*. Instruktor wykorzystał pewną analogię, by pokazać różnicę między siłą wewnętrzną i zewnętrzną. „*Ki*”, powiedział, „przypomina górę lodową. Ma czubek, który jest widoczny,

podobnie jak mięśnie niezbędne dla siły zewnętrznej. Istnieje jednak podwodna, niewidzialna część góry lodowej, która przypomina siłę wewnętrzną, o wiele potężniejszą, a mimo to ukrytą”. Następnie instruktor narysował górę lodową – dziewięć dziesiątych jej masy znalazło się pod falistą linią oznaczającą powierzchnię morza. Omówił tę analogię jeszcze raz, gestykulując z ożywieniem. Był człowiekiem pełnym energii i entuzjazmu, niezwykle elokwentnym i przyznam, że sam byłem pod wrażeniem jego przedstawienia koncepcji *ki*. Gdy wyjaśnił swój tok myślenia po raz drugi, zapytał, czy ktoś ma pytania. Wtedy rękę podniósł mały chłopiec w wieku może czterech, pięciu standardowych lat ziemskich. „Cóż takiego, Cos?”, zwrócił się do niego z uśmiechem instruktor. „A co to jest góra lodowa?”, spytał chłopiec.

Kilku adeptów wokół Dirishy wybuchło śmiechem. Ona również się uśmiechnęła, a Pen zapytał:

– Rozumiesz sens tej nieco rozwlekłej historyjki?

– Chyba tak – odparła Dirisha. – Nigdy nie można zakładać, że coś jest oczywiste.

– Otóż to. W ciągu kilku następnych tygodni przejdziesz podstawowe szkolenie w dziedzinach takich jak polityka, filozofia, psychologia i historia oraz w kilku mniej ogólnych naukach. Być może okaże się, że tu i ówdzie powtarzamy znane ci już tematy, ale nim przejdziemy do dalszej nauki, musimy się upewnić, że wiesz, czym jest góra lodowa.

* * *

Następne tygodnie wypełniła Dirishy intensywne nauki ze wszystkich wspomnianych przez Pena przedmiotów. Miała już jakieś pojęcie o kilku z nich – nie można przecież podróżować po zamieszkałej części galaktyki i nie nauczyć się niczego o polityce, historii czy geografii gwiazdnej – ale sporo wiadomości było dla niej nowych. Materiał prezentowano umiejętnie i czuła, że z każdym dniem robi coraz większe postępy.

Dowiedziała się wszystkiego o pierwszej kolonii typu L-5, założonej około roku 2000, zdobyła więcej informacji na temat „Heaven Star”, pierwszego statku międzygwiazdowego wysłanego w przestrzeń siedemdziesiąt lat później, a także o tym, jak Naginacz w roku 2193 otworzył ludzkości drogę do gwiazd. Gdy opadł kurz po pierwszej fali osadniczej, zamieszkanym było pięćdziesiąt sześć planet i osiemdziesiąt siedem satelitów, a Konfederacja Galaktyczna sformułowała prawo obowiązujące

każdego z jej członków. Ziemia rządziła wszystkimi swoimi dziećmi.

Nauka trwała, a Dirisha pracowicie przyswajała sobie cały materiał. Istniało tyle rzeczy, których musiała się nauczyć, tyle rzeczy...

* * *

Otworzyła oczy. Pierwszą osobą, którą ujrzała, był uśmiechnięty technik.

– Piętnaście minut – powiedział. – Załapałaś cokolwiek?

Dirisha zamrugała, odzyskując orientację. Nauka drogą iniekcji wirusowej w niczym nie przypominała snu, wspomnienia wydawały się tak dokładne i realistyczne, jakby to wszystko naprawdę się wydarzyło. Pokiwała głową.

– Tak, załapałam.

– Dobra. Chodź ze mną, musimy cię poddać rutynowym badaniom fizycznym. Mamy diagnozera w sąsiednim pokoju, to nie potrwa nawet minuty.

Rzeczywiście, badanie zajęło około czterdziestu pięciu sekund, a wyniki potwierdziły, że Dirisha może się pochwalić wspaniałym zdrowiem. Zakładając ortoskafander, który jej przydzielono, dostrzegła, że technik niespostrzeżenie rozprostowuje palec wskazujący prawej dłoni. Z tego, co dotychczas zauważyła, adepci w szkole na ogół trzymali palce zgięte, by przypadkowo nie wystrzelić ze spetsdöda. Ostrzeżona, błyskawicznie wsunęła rękaw ortoskafandra i wycelowowała w brzuch technika.

Ten wyszczerzył zęby.

– Tylko sprawdzam, czy czuwasz.

Dirisha odpowiedziała podobnym grymasem.

– Czuwam, czuwam. Trafiłabym cię, zanim zdążyłbyś drgnąć. Zeszłej nocy straciłam punkt i korci mnie, żeby jakoś nadrobić stratę.

Uśmiech technika nieco zbladł.

– Ale nie chcę, żebyś tak kiepsko zaczął dzień. Może po prostu rozejdziemy się w spokoju bez kłucia się nawzajem?

– Może być. – Technik znów uśmiechnął się szerzej.

* * *

Dirisha szła długim korytarzem, czując, jak powraca jej dobre samopoczucie. Na pierwszych zajęciach w czasie realnym miała się uczyć przechodzenia Dziewięćdziesięciu Siedmiu Kroków. Zastanawiała się już wcześniej nad strategią i doszła do wniosku, że chyba wie, jak pokonać krok dziewiąty, co wcześniej uważała za niemożliwe. Musiała po prostu delikatnie

przesunąć środek ciężkości, a stopa wykonująca krok powinna być rozluźniona, a nie napięta. Przyglądała się bacznie Penowi, a potem Genevie i nabrała pewności, że z krokiem dziewiątym da sobie radę, być może nawet i z dziesiątym. Nie miała pojęcia, jak wysoko wyniesie ją to w stosunku do innych, o wiele bardziej doświadczonych adeptów, ale już dawno przyzwyczała się do startowania z pozycji żółtodzioba. Niektóre elementy wyuczonych Sztuk można było przenieść na grunt nowych, które właśnie opanowywała, ale brak wiedzy czy wprawy nie stanowił powodu do wstydu. Skoro inni potrafili się czegoś nauczyć, ona również mogła to zrobić. Tak brzmiała jej życiowa zasada.

* * *

Geneva prowadziła zajęcia z czwórką adeptów, dwoma kobietami i dwoma mężczyznami. Pod jej czujnym okiem wykonywali serie ćwiczeń rozciągających na piance przed budynkiem szkoły. Poranne słońce świeciło ostro i było już bardzo gorąco. Ćwiczący pocili się niemiłosiernie.

Geneva uśmiechnęła się do Dirishy i przywołała ją gestem.

– To zajęcia dla grupy zaawansowanej – powiedziała. – Przyłącz się do nich.

– Jestem początkująca – próbowała wzbraniać się Dirisha.

Geneva wybuchła śmiechem, a czwórka adeptów w ślad za nią.

– Powiedziałam coś śmiesznego?

Dziewczyna pokiwała głową.

– W pierwszej próbie udało ci się przejść osiem kroków. Zazwyczaj kończy się na trzecim, pięć to niezły rezultat, a sam Khadaji skończył za pierwszym razem na szóstym. Nie licząc Pena, tylko dwoje z nas potrafi przejść całość. Nie umie tego Rudzielec, nie daje rady Bork. Poza tym nikt nie przeszedł ośmiu kroków za pierwszym razem, przynajmniej nie tutaj. Ja do ośmiu dotarłam po tygodniu, a zanim się tu pojawiłaś, uchodziłam za najszybszą.

– Jaja sobie robisz...

– Nie, siostrze Dirisho. Nie robię. Jesteś dobra w te klocki.

– Nadal uważam, że Pen podjął wielkie ryzyko, pozwalając, żebym wybrała kogoś do przejścia całego ciągu, skoro tylko dwoje z was...

– Tylko jedno – poprawiła ją Geneva, nadal uśmiechnięta. – Mayli Wu nie było wśród ćwiczących.

Mayli Wu? Dirisha wytężyła pamięć. Gdzie ona wcześniej słyszała to

imię? Znała je, ale skąd? Bingo! Znała Mayli Wu pod jej pseudonimem!

– Siostrzyczka Imadło?

– Nasz główny lekarz – potwierdziła Geneva. – Uczy technik seksualnych i psychologii miłości. No i jest drugim adeptem, który potrafi przejść cały ciąg.

– Dlaczego Pen podjął takie ryzyko? – naciskała Dirisha.

– Chciał wyrzucić na tobie wrażenie. A tak nawiasem mówiąc, Pen bardzo rzadko ryzykuje. Wybrałaś mnie, no nie?

Dirisha pokiwała w milczeniu głową.

– Dobra, wracamy do rozciągania. Zajmiemy się teraz PONM. Dobierzcie się w pary – przykazała Geneva, po czym dotknęła ramienia Dirishy. – Poćwiczę z tobą, jeśli nie masz nic przeciwko.

Dirisha kiwnęła głową.

– W porządku – stwierdziła z uśmiechem.

Gdy Geneva pomagała jej wykonywać PONM – proprioceptywne odciążanie nerwowo-mięśniowe – Dirisha znów odkryła w sobie podziw dla tych ludzi. Dokładnie wiedzieli, co robią, a łatwość, z jaką manipulowali jej ciałem, była doprawdy przerażająca. Dirisha poprzysięgła sobie w głębi ducha, że powęszy nieco na własny rachunek.

SZEŚĆ

Rudzielec rzucił Dirishy kostkę wielkości paznokcia od kciuka. Złapała przedmiot i przyjrzała mu się z zaciekawieniem. Ważył sporo jak na swój rozmiar i był wykonany z przezrystego plastiku.

– Wygląda jak kostka walutowa – stwierdziła.

– Dokładnie tak. Niektórzy z miejscowych nie są podłączeni do planetarnej sieci komunikacyjnej, więc nie będą w stanie zlokalizować twojego paska kredytowego. Jeśli potrzebujesz czegoś od któregoś z tych zdzierców, skorzystaj z kostki.

Stali w sali holoprojekcyjnej przy końcu strzelnicy dla spetsdödów. Palce Rudzielca przemknęły po panelu sterowania i dwóch niskich, ciemnoskórych mutków rzuciło się w kierunku Dirishy. Jeden z nich wyrwał ręczny miotacz zza tuniki, drugi wyciągnął stalowy pocisk do rzucania. Dirisha podniosła prawą rękę i dwukrotnie strzeliła. Obaj komputerowi napastnicy bardzo realistycznie stracili równowagę i przewrócili się, sztywniejąc, jakby w ich organizmy wniknął spazm.

– A więc dostajemy kieszonkowe na czas treningu?

Rudzielec pokręcił głową z uśmiechem.

– Coś ty. To nie kieszonkowe, ale zapłata! Jesteś nie tylko adeptką, jesteś również nauczycielką. Miejskowe podatki i łapówki są odciągane od należnej ci kwoty, zupełnie jakbyś była rybakiem czy technikiem.

Zerknął na symulację komputerową, a potem na panel sterowania.

– Dlaczego w pierwszej kolejności rozwaliałaś tego z miotaczem? Z odległości dziesięciu metrów stal jest bronią o wiele niebezpieczniejszą. Strumień pulsacyjny miotacza działa dopiero z bliska, a ten facet znajdował się trzy metry poza zasięgiem broni.

– Stalowy pocisk leci powoli. – Dirisha wzruszyła ramionami. – Zdążyłabym się nachylić lub zrobić unik. Strumień miotacza działa jak śrutówka, gdyby temu gościowi udało się wystrzelić, nie miałabym jak wykonać uniku. Co więcej, miotacz można podrasować.

Rudzielec pokiwał głową.

– A więc marnuję czas, próbując nauczyć cię podstaw zachowania podczas walki? Chcesz tylko ćwiczyć się w strzelaniu? A dałabyś radę trafić w lecący nóż?

Dirisha zastanowiła się.

– Nie. Póki co, nie. Chyba że miałabym szczęście.

Chwyła plastikowy sześciąt między palec wskazujący i kciuk.

– Skoro szkoła funduje jedzenie i kwaterę, mam wystarczająco dużo forsy, by żyć tu wiecznie – powiedziała. – A tak z czystej ciekawości, ile z tego wyciągamy?

– Niedużo – odparł Rudzielec z obojętną twarzą. – Dwa tysiące. Na tydzień.

– Co?... – Dirisha była przekonana, że się przesłyszała.

– Mniej więcej sto tysięcy na rok.

– Na lewe jajco słodkiego Buddy!

– Gdy zaczniesz działać na własną rękę, będzie tego więcej. Pen zakłada, że wynajęcie w pełni wyćwiczonego Matadora na rok będzie kosztować dwieście pięćdziesiąt tysięcy standardów. Jeśli klient pod naszą opieką zostanie zamordowany, suma ulega zwrotowi. Szkoła zatrzyma dziesięć procent, reszta trafia do kieszeni Matadora. Lub, w twoim wypadku, Matadory.

– Czy ten człowiek naprawdę ma nadzieję, że wyciągnie taką forszę za wynajęcie ochroniarza?

– Lista oczekujących jest długa na parsek, Dirisho! – wybuchnął śmiechem Rudzielec. – Pierwsi adepci nie będą gotowi wcześniej niż za jakieś trzy lata, a od roku trwa dyskretna, potajemna kampania reklamowa. Ujmując to metaforycznie, wpływowi bogacze grzmocą w nasze drzwi.

Jeden z komputerowych mutków nagle poderwał się na nogi i skoczył na Dirishę. Był to ten uzbrojony w stalowy pocisk, zaostrzoną gwiazdkę trójramienną. Uniósł rękę i cisnął z całej siły w Dirishę. Ta przykucnęła, wyrzuciwszy nogę w bok i zamarła w pozycji Mieszkaniec-Dna-Morza. Wystrzeliła z obu spetsdödów, a wirująca gwiazdka przemknęła tuż nad jej głową, chybiając o góra pięć centymetrów. Mutek zakreślił łuk w powietrzu. Przez świst stali tnącej powietrze przebił się trzask pękającego kręgosłupa.

Dirisha podniosła się i pokręciła głową, patrząc na Rudzielca.

– Oszukujesz. Trafiłam celnie za pierwszym razem.

– A wiesz, co to był za mutek?

Spojrzała na pokonanych napastników – Przypomina mi jednego z tych rozrośniętych ciemnoskórych. Może system Bruna, planeta Farbis?

– Właściwy system, nie ta planeta. Muta Kato.

– No dobra, pomyliła mi się planeta. I co z tego?

– Przypomnij sobie, co eksportują z Muta Kato.

Dirisha zastanowiła się. Przecież w trakcie zajęć w czasie realnym, na które chodziła przez ostatnie dwa tygodnie, musiała coś usłyszeć o mutantach, którzy rozwijali się na Muta Kato. W przeciwnym razie Rudzielec nie kładłby na to takiego nacisku. Co stamtąd pochodziło? Wina, jakaś forma sztuki egzotycznej opartej na wykorzystaniu roślin, narkotyki. Aha, nagle sobie przypomniała. Istniał tam jakiś potężny wirus przenoszony przez skorupiaki, przydatny dla chirurgów...

– O cholera! – krzyknęła. Natychmiast wycelowała spetsdöd w drugiego mutka uzbrojonego w miotacz i wystrzeliła trzykrotnie. Głuche uderzenia pocisków wydawały nieść się echem w niewielkim, wąskim pomieszczeniu.

Rudzielec uśmiechnął się szerzej.

– Są częściowo odporni na spazm – powiedziała. – Ma to jakiś związek z tym, że często ulegają pożądleniu podczas zbierania tego trującego skorupiaka.

– Racja. Gdy widzisz szarżującego gościa z Muta Kato, zawsze strzelaj trzykrotnie. W przeciwnym razie wstanie i cię zabije.

– Cholera, niech to cholera!

– I nie bierz mnie na poważnie, kiedy mówię, że już niczego nie mogę cię nauczyć – dodał Rudzielec. – Trupowi duma nie na wiele się przydaje.

– Dobra, utarłeś mi nosa. Dzięki.

Gdy Dirisha wyszła ze strzelnicy na korytarz, przebiegi obok niej Geneva. Dziewczyna zwolniła i machnęła ręką ku koleżance.

– Chodź! – zwołała. – Bork będzie próbował pobić rekord!

Dirisha spojrzała na Rudzielca.

– Idź – ponaglił ją instruktor. – Nie chciałabyś tego przegapić.

* * *

Saval Bork ściągnął ortoskafander. Stał prawie całkiem nagi, ubrany jedynie w przepaskę biodrową, rękawiczki bez palców i oczywiście spetsdödy. Z szeroko rozstawionymi nogami mógłby posłużyć za model Herkulesa Farnezyjskiego, choć był jeszcze większy. Mierzący prawie dwa metry i ważący sto dwadzieścia pięć kilogramów Bork mógł się poszczycić rzadko spotykaną muskulaturą. Dirisha nigdy nie widziała człowieka z tak potężnymi i zwartymi mięśniami. Dorastał na planecie o przyciąganiu większym od ziemskiego, a od chwili jej opuszczenia utrzymywał formę dzięki tradycyjnym ćwiczeniom na siłowni, a nie polom magnetycznym czy

elektrostymulatorom.

Teraz stał i medytował pośród rzędów talerzy treningowych, a Dirisha nie przestawała się zachwycać budową jego ciała. Widywała go na siłowni, gdy oboje pracowali jako ochroniarze w pubie Khadajego, z tym że były to wówczas rutynowe ćwiczenia. Dzisiaj miał zamiar spróbować czegoś więcej.

Geneva przysunęła się kilka centymetrów bliżej Dirishy.

– Wygląda, jakby mógł sam siebie unieść jedną ręką – szepnęła.

– Gdyby powiedział, że potrafi to zrobić, nie postawiłabym przeciwko niemu ani standarda – odparła cicho Dirisha. – Opowiadał ci kiedykolwiek, jak udało nam się zdobyć pracę w „Nefrytowym Kwiecie”?

Czuła, że zainteresowanie blondynki rośnie.

– Nie. Mało o sobie mówi. Jak do tego doszło?

– Emile nie chciał, by żołnierze wszczynali burdy w knajpie, więc kazał przyśrubować wszystkie stoły i krzesła do podłogi. Żeby nikt nie robił bajzlu ani nie rozwalał drugiemu żołnierzowi czachy własnym taboretem. Jeśli zależało ci na pracy, musiałaś wyrwać jeden z tych taboretów.

Geneva, niczym pogrążona w transie, wydawała się spijać każde słowo z jej ust.

„Opowieści o bohaterach nieodmiennie oczarowują tych, którzy w nie wierzą”, pomyślała Dirisha.

– Emile kazał wchodzić do baru kandydatom jeden po drugim. Pierwszy nie miał nawet szans spróbować, Khadaji odesłał go machnięciem ręki, gdy tylko zobaczył, jak jest zbudowany. Potem pojawił się Sleel.

Kątem oka Dirisha dostrzegła, jak Bork nabiera tchu i krzyżuje ręce na piersi. Mięśnie nabrzmiące pod skórą wydawały się tak niesamowite, tak pełne życia, że Dirisha poczuła, jak włosy na karku stają jej dęba.

– A tak nawiasem mówiąc, gdzie jest Sleel? Też miał tu być, no nie?

– Na innej planecie, wykonuje jakieś zadanie dla Pena. Wróci za tydzień czy dwa. Dobra, dokończ opowieść, Bork jest prawie gotowy.

Dirisha uśmiechnęła się szeroko. Jej historia pochłonęła dziewczynę bez reszty.

– Cóż, pojawia się Sleel. Wchodzi jak to on, dumnym krokiem, pierwszy kogut galaktyki, a Emile tłumaczy, na czym polega zadanie: taboret jest przykręcony, trzeba sprawdzić wytrzymałość śrub. Spróbuj go ruszyć.

Bork znów nabrał powietrza w płuca i powoli je wypuścił, a potem rozłożył szeroko ręce.

– I?

– Sleel przykucnął, chwycił taboret i zabrał się do roboty. Na pewno wiesz, jak na ogół działa Sleel.

– Tak, jest... jakby to ująć... zdeterminowany.

Dirisha zaśmiała się cicho.

– Już z nim spałaś?

Geneva pokiwała głową.

– Co prawda nie miałam takiego zamiaru, ale...

– Tak, wiem, jest zdeterminowany.

– I bardzo energiczny – dodała Geneva. – A do tego... No, na brak potencji narzekać nie może.

– Obiło mi się o uszy. W każdym razie, Sleel mało sobie żył nie wypruł, ale w końcu oderwał taboret.

– Opowiedział ci o tym?

– Nie, przyglądałam się z ukrycia. Zawsze staram się wybadać teren, na który mam wkroczyć, więc znalazłam wejście, a potem miejsce, gdzie się niespostrzeżenie zaszyłam.

Bork raz jeszcze nabrał tchu i powoli wypuścił powietrze.

– W porządku, a co było potem?

– Potem? Potem się stamtąd wyniosłam. Znalazłam sklep, w którym sprzedawano taborety i stoły podobne do tych z „Nefrytowego Kwiatu”, przyjrzałam się ich budowie, zastanowiłam raz i drugi. W końcu wróciłam do pubu i znów wślizgnęłam się do środka. Wtedy pojawił się Bork.

Zupełnie jakby wymówione szeptem imię stanowiło rodzaj sygnału, Savał Bork otrząsnął się i podszedł do ogromnej ławy. Na stojaku nad nią opierała się sztanga obciążona masywnymi talerzami treningowymi. Bork usiadł na ławie, kilka razy odetchnął, a potem ułożył się na plecach i wsunął pod sztangę. Skinął głową i ktoś włączył pole ochronne. Jedynym słyszalnym odgłosem w siłowni był teraz cichy szum i bzyczenie pola siłowego. Bork zamknął oczy i unióśł ręce, by dotknąć drążka czubkami palców. Pogładził go delikatnie.

– No i co się stało w „Nefrytowym Kwiecie”? – szepnęła Geneva ledwie słyszalnym głosem.

Dirisha powstrzymała uśmiech, nie spuszczać oczu z Borka.

– Och, Emile powiedział Borkowi, że ma pewien taboret, który trzeba przesunąć. Bork złapał go jedną ręką i oderwał od podłogi.

– Jedną ręką?

– Tak, zupełnie jakby wcześniej go nie przyśrubowano, jakby to było równie łatwe co wyładzenie skafandra. Nie zajęło mu to więcej niż dwie sekundy. Miałam wrażenie, że Bork nie zrozumiał, dlaczego tego taboretu nie da się ruszyć. Po prosu go złapał i przestawił.

– Ja pieprzę...

– No. A potem słyszę, jak Bork pyta: „Gdzie mam go postawić?”. Khadaji na to: „Obojętnie. Możesz zacząć za tydzień?”.

– Robi wrażenie – stwierdziła rozpromieniona Geneva. – A ty? Co z tobą? Jak tobie udało się...

– Ciii! – Dirisha wskazała Borka. Olbrzym zacisnął dłonie na drążku i zapał się. Wiedziała, że pole siłowe pozwoli mu podnieść ciężar z uchwytów stojaka i opuścić go powoli, ale gdyby miał nie wytrzymać, przytrzyma sztangę przez kilka sekund, pozwalając mu bezpiecznie się wydostać.

Sztanga uniosła się z uchwytów, wędrując ku górze do chwili, gdy Bork całkowicie rozprostował ręce. Powoli opuścił ją na klatkę piersiową. Dirisha próbowała odgadnąć, jaki ciężar wyciskał. Każdy z talerzy ważył pięćdziesiąt kilo, a na drągu znajdowały się cztery. A zatem dwieście kilo plus kilkanaście, które należało doliczyć ze względu na przyciąganie Renault, nieco wyższe od standardowego. Dodatkowo na sztandze znajdowały się jeszcze dwa talerze, które Dirisha szacowała na trzydzieści kilo. Razem dwieście osiemdziesiąt...

Bork chrząknął, gdy drąg dotknął nabrzmiąłych mięśni piersiowych. Leżał płasko na ławie, przylegając do niej całą powierzchnią pleców, w żaden sposób nie próbował równoważyć ciężaru. Jego twarz spurpurowiała, a sztanga zaczęła się powoli unosić.

„Dwieście osiemdziesiąt plus sam drąg, który waży... No właśnie, ile? Dwadzieścia, dwadzieścia pięć? Niech będzie minimum trzysta kilogramów, a w rzeczywistości pewnie trzysta dwadzieścia. To niezwykle, że człowiek – czy mutant – potrafi unieść taki ciężar, wykorzystując jedynie mięśnie górnej partii ciała, klatki piersiowej, barków i ramion”.

Ręce Borka znów się rozprostowały, sztanga znalazła się w najwyższym punkcie. Dziesięciu adeptów i instruktorów zaczęło wiwatować. Bork dopiął swego, pobił nie tylko własny rekord, ale również rekord planety.

Wtedy, na oczach zdumionych kibiców, Bork opuścił ciężar, ale nie na stojak, lecz ponownie na klatkę piersiową. Dźwignął go jeszcze trzykrotnie,

nim w końcu pozwolił, by opadł w uchwyt stojaka. Gdy usiadł, jego twarz aż promieniała.

– No i po wszystkim – oznajmił. – To co, poćwiczmy sobie?

Dirisha poczuła, że Geneva dotyka jej ramienia – przelotnie zacisnęła na nim dłoń, przekazując w ten sposób dziesiątki najrozmaitszych informacji: podziw, szacunek, zazdrość i... żądzę. Dirisha bez trudu potrafiła się odnieść do każdej z tych emocji. Z własnego wyboru żyła niemalże w celibacie, ale nawet ona nie pozostała obojętna na pokaz Borka, który obudził w niej pożądanie. Z niedowierzaniem i zdumieniem odkryła pierwotną naturę tego mężczyzny, naturę, która poruszyła ją do głębi. Inne odkrycie jednakże przyćmiło to pierwsze – dotyk Genevy był niezwykle miły.

SIEDEM

Dzwonek rozległ się w chwili, gdy Dirisha wychodziła spod ciepłego nawiewu odświeżacza. Upewniwszy się, że oba spetsdödy są należycie przymocowane do nadgarstków, podeszła nago do drzwi. Trzymając prawą rękę tak, by przez cały czas celować w lędźwie potencjalnego napastnika, otworzyła.

Po drugiej stronie stała Geneva z uniesionymi rękami i palcami skierowanymi ku sufitowi. Obie kobiety uśmiechnęły się.

Dirisha pozwoliła blondynce wejść do pokoju. Nawiew nie odparował całej wilgoci po kąpieli i przeciąg z korytarza przyjemnie chłodził jej skórę.

Geneva przyjrzała się jej z aprobatą.

– Nieźle wyglądasz – w jej głosie krył się podziw, lecz przebijało z niego również coś, czego Dirisha nie potrafiła określić ani nazwać.

– Dzięki. Dobrze, że mam się czym pochwalić po tylu latach pracy. Co się dzieje?

Geneva opadła na łóżko. Wciągnęła głęboko powietrze, a potem je wypuściła.

– Sleel wrócił. Wygląda na to, że Pen posłał go po jakiś nielegalny materiał, który musimy przestudiować. Jest już na naszych komputerach, mamy go przeczytać do jutra do godziny siódmej.

Dirisha podeszła do szafy i wyciągnęła ortoskafander. Wkładając go, zauważyła, że Geneva nie spuszcza z niej zaintrygowanego spojrzenia.

– To jakieś pierdoły, rzuciłam już na to okiem – ciągnęła dziewczyna. – Czterdzieści tysięcy słów na temat ezoterycznego obiektywistycznego kapitalizmu autorstwa kogoś o nazwisku Veelson. To Rand Brandonista z początków osadnictwa na satelitach, jak sądzę. Na samą myśl o tym chce mi się ziewać. Aż się boję czytać.

– Faktycznie, brzmi nieźle. Dlaczego Penowi tak na tym zależy?

– Kto to wie? Umysł Pena jest bardziej pokręcony od drzewka bonsai. Jakies powody ma, tego możesz być pewna.

Geneva pochyliła się na łóżku i rozciągnęła. Potarła potylicę, a potem obróciła głową, by rozruszać zeszywniały kark.

– Coś się stało?

– Miałam rano sparing z Penem – wyjaśniła, nadal kręcąc głową. – Spróbowałam pewnej sztuczki i nie wyszło.

- Z tym człowiekiem nigdy nic nie wychodzi – zaśmiała się Dirisha.
- Co ty nie powiesz. Nawet sobie nie zdawałam sprawy, że można wyrznąć w ziemię pod takim kątem. Wszystko mnie boli.
- Dirisha skończyła się ubierać.
- Lepiej się pospieszmy. Zajęcia są za pięć minut.
- Geneva płynnie uniosła się z posłania i błyskawicznie odnalazła swoją wewnętrzną równowagę.
- Zapowiada się ciekawie. Podobno Mayli ma dzisiaj pokazać coś szczególnego.
- Jeszcze więcej psychologii?
- Psychologii stosowanej, jak wieść niesie. Niezbędnik seksualny.
- No to faktycznie zapowiada się ciekawie.
- Słyszałam też, że Bork ma posłużyć jako model.
- Obie kobiety znów się uśmiechnęły.
- Tak, to może być naprawdę ciekawe.

* * *

Pracując w „Nefrytowym Kwiecie” na Greaves, Mayli Wu była znana jako Siostrzyczka Imadło, najbardziej pożądana prostytutka w pubie, jeśli nie w całym mieście. Opowieści o jej talentach i wytrzymałości fizycznej sprawiały, że ledwie pojawiała się w pracy, a już ściągały tłumy klientów. Dirisha nigdy z nią nie spała, ale przypomniała sobie historyjkę o tym, jak Steel próbował ją przetrzymać w łóżku. Skończyło się na zapaleniu żył penisa. Leczeniem zajęła się sama Siostrzyczka, która pracowała jako w pełni wykwalifikowany medyk, zanim obrała mniej ortodoksyjną ścieżkę kariery.

Jeśli przynajmniej połowa opowieści na jej temat była prawdziwa, nikt nie posiadał lepszych kwalifikacji do uczenia wyrafinowanych technik seksualnych.

W audytorium znajdowało się dziesięciu adeptów. Wszyscy skupiali z uwagą wzrok na platformie demonstracyjnej, na której stali Bork i Mayli Wu.

Na pierwszy rzut oka Mayli nie wydawała się nikim szczególnym. Ot, niska kobieta o lekko orientalnych rysach, która najprawdopodobniej nie przechodziła żadnych znaczących operacji plastycznych. Miała czarne, bardzo krótko przycięte włosy, czarne lub fioletowe oczy i szczupłą, niemalże chłopięcą budowę ciała, nie kojarzącą się z niczym lubieżnym. Kierując się własnym doświadczeniem w tych sprawach, Dirisha oceniła, że Mayli nie jest osobą, którą ktokolwiek mógłby utożsamiać z obiektem

pożądania seksualnego. Mimo to coś w jej postawie i gestach nie pozwalało przejść obok niej obojętnie. Nawet z daleka każdy człowiek obdarzony choć odrobiną wrażliwości czy spostrzegawczości nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Mayli przyciąga uwagę. Dirisha pamiętała natomiast, że z bliska jest ona wprost zniewalająca, lecz znów trudno było przypisać temu jakiś logiczny powód. Może chodziło o język ciała, może feromony – nie wiadomo. I choć od chwili opuszczenia rodzinnej planety seks odgrywał w życiu Dirishy bardzo niewielką rolę, kusilo ją, by wypróbować Siostrzyczkę Imadło od chwili, gdy ją poznała. Coś w niej było i tyle.

Mayli zaczęła mówić, a dzięki systemowi nagłaśniającemu jej głos wyraźnie niósł się po całej sali.

– Wspominaliśmy już o anatomii i fizjologii. Teraz pora na hormony, feromony, stan podniecenia, psychologię orgazmu i na to, co się gdzie wtyka.

Kilku zebranych wybuchło śmiechem. Przystępujący z nogi na nogę Saval Bork wyglądał dość nieszczęśliwie.

– Wszystko to jest jednak tylko tłem, bo w temacie seksu i miłości istnieją kwestie o wiele ważniejsze. Czy ktoś zaryzykuje i spróbuje odgadnąć, co mam na myśli?

– Technika – odezwał się ktoś pewnym głosem.

Dirisha odwróciła się, by sprawdzić, skąd dobiegł komentarz, choć głos już rozpoznała. Był to Sleel, który pracował wraz z nią jako ochroniarz w „Nefrytowym Kwiecie”, Sleel, który nie ustawał w próbach udowodnienia całej galaktyce, że jest absolutnym mistrzem we wszystkich możliwych dziedzinach.

Dirisha zachichotała pod nosem, lecz z innych powodów niż reszta grupy. Sleel ujrzał ją i uniósł palec do czoła, naśladując gest salutacji. Jeśli we wszechświecie istnieli jacyś bogowie, z pewnością wiedzieli, że Sleel jakieś tysiąc razy próbował zawlec ją do łóżka. Nigdy mu się to nie udało, ale też nigdy nie przestał próbować.

Mayli rozpromieniła się.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła, Sleel?

Sleel ucieszył się jak kot, który właśnie dostrzegł otwartą klatkę z kanarkiem.

– Oczywiście nie masz racji. Technika to tylko narzędzie sztuki, ale nie jej esencja. Co tak naprawdę sprawia, że to wszystko działa?

Dirisha zerknęła na Genewę, przeczuwając, że blondynka się odezwie.

– Miłość – rzekła Geneva.

Tym razem jedynie Sleel się roześmiał. Cała reszta przyglądała się Mayli, która obdarzyła Genewę tak promiennym uśmiechem, jakby ta właśnie wyjawiała największą tajemnicę kosmosu.

– Miłość – powtórzyła Mayli. – I mamy wszystko w jednym słowie. Tak, miłość sprawia, że to wszystko działa, że to wszystko się kręci. Możesz być kaleką, paskudą czy głupkiem, ale jeśli ktoś cię kocha, nie ma to znaczenia. Mówię wam to z własnego doświadczenia – nie ma uczucia czy wrażenia, które byłoby porównywalne z kochaniem lub byciem kochanym. Nawet nieudolny seks, opromieniony uczuciem miłości, może być doznaniem o wiele wspanialszym niż seks z partnerem, który jest mistrzem techniki, ale nie darzy cię uczuciem. Być może nie jest doznaniem do tego stopnia ekscytującym czy dotykającym do żywego, ale o wiele bardziej satysfakcjonującym. Wraz z miłością pojawia się zaufanie, a wraz z zaufaniem w związek wkracza spokój i troska, wszystkie te rzeczy, które miłość wyczarowuje w swej magicznej sieci.

– Zdefiniuj miłość – przerwał jej Sleel.

Mayli dotknęła potężnego ramienia Borka. Olbrzym wydawał się jeszcze większy niż zwykle. Jego twarz oblał rumieniec.

– Oto miłość – rzekła Mayli. – Bork kocha mnie, a ja Kocham Borka. Och, mogłabym przedstawić całą listę słów związanych z miłością – sympatia, pożądanie, przywiązanie, żądza, podziw, czułość, altruizm – i zdefiniować każde z nich, ale nie odda to prawdziwego znaczenia słowa. Nie jestem pewna, czy miłości można się uczyć w teorii. Pewne jest natomiast, że można się nauczyć jak kochać. Można nauczyć się słuchać i naprawdę słyszeć, można nauczyć się patrzeć i naprawdę widzieć, można nauczyć się dotykać i naprawdę czuć. Weźcie pod uwagę, że nie mówię o pożądaniu, które czasem jest z miłością mylone. Nie należy też mieszać miłości z zauroczeniem. Nie ma nic złego w pożądaniu czy romansowaniu, ale do miłości sporo im brakuje.

Sleel pokręcił głową, ale nic nie powiedział. Dirisha swego czasu uważała go za sceptyka do szpiku kości, lecz musiała zmienić zdanie. W ostatnich chwilach ich wspólnej pracy w „Nefrytowym Kwiecie” ujawnił prawdziwą naturę sfrustrowanego romantyka, którą często mylono ze sceptycyzmem.

Mayli odwróciła się do Borka i chwyciła jego dłoń.

– Bork, pocałujesz mnie?

Olbrzym zerknął na dziesięciu wpatrzonych w niego adeptów, a potem znów na Mayli. Skinął głową.

– Jeśli tego chcesz.

– Chcę.

Pochylił się i ostrożnie otoczył drobną kobietę ramionami. Uniósł ją z niewysłowioną delikatnością – Dirisha nigdy dotąd nie przypuszczała, że to możliwe – i pocałował jej rozchylone usta.

Dirisha uświadomiła sobie, że czuje żar ich pasji nawet ze swojego miejsca, dziesięć metrów dalej. Pocałunek był miękki i nieśpieszny, złapała się na tym, że wstrzymuje oddech. Jej serce biło szybciej i czuła się na swój sposób... na swój sposób uprzywilejowana, że może oglądać ów akt czułości. To, na co teraz patrzyła, było o wiele bardziej poruszające niż jakakolwiek prezentacja pornograficzna, a ona sama nie miała pojęcia dlaczego.

Mayli przerwała pocałunek, a zażenowany Bork opuścił ją na ziemię.

– Dziękuję – powiedziała.

– Nie ma sprawy – wyszczerzył zęby Bork.

Mayli patrzyła na Borka, jakby nie istniał nikt inny na świecie, przez co Dirisha miała wrażenie, jakby naruszała czyjąś prywatność. W końcu nauczycielka odwróciła się i spojrzała na zebranych.

– Miłość – rzekła. – To tyle na dzisiaj.

Gdy Dirisha wstawała, zauważyła, że Geneva na nią patrzy. Przeszył ją dreszcz podobny do tego, który towarzyszył pocałunkowi Borka i Mayli. Odwróciła wzrok, czując się niezręcznie, a wtedy dostrzegła Sleela, który stał z rękami skrzyżowanymi na piersi. Spodziewała się ujrzeć jego nieodłączny ironiczny uśmiezek, lecz nawet on wyglądał na poruszonego. Wydawał się pogrążony w myślach, oddalony o miliony kilometrów.

Wracając do pokoju, Dirisha minęła Genewę. Jej bliskość sprawiała, że czuła się naprawdę zakłopotana. Miała wrażenie, że nauczyła się czegoś wielkiej wagi, ale nie potrafiła ująć tego w słowa. Przecież to był tylko zwykły pocałunek!

– Dirisha? – zagadnęła ją Geneva, patrząc na nią z uniesioną brwią.

– Tak?

Blondynka celowała w nią palcem.

– Pif-paf. Mam cię.

Dirisha spodziewała się ukłucia, ale nic takiego nie nastąpiło. Geneva opuściła broń.

– Miałaś mnie jak na talerzu, całkiem się zapomniałam, przyznaję. Dlaczego nie strzełaś?

– Zapytaj Mayli – odpowiedziała Geneva miękko, łagodnym głosem.

Dirisha pokręciła lekko głową.

– O kurwa – mruknęła. – Kurwa, kurwa, kurwa.

Przytłoczyła ją gwałtowność napływających emocji. Czuła się bardziej bezbronna i wrażliwa na ciosy niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich piętnastu lat, a nie lubiła tego uczucia.

– Nie... nie wydaje mi się, żebym mogła być tym, kim chcesz – powiedziała. – Jest we mnie zbyt wiele pustki, przeżyłam zbyt wiele, będąc tym, kim jestem.

– Ale czujesz to.

– Coś czuję...

Geneva musnęła jej nadgarstek koniuszkami palców. Uśmiechnęła się promiennie.

– Kurwa – westchnęła Dirisha. – O kurwa...

* * *

Leżały splecione na łóżku Dirishy, ocierając się o siebie nagą skórą nóg, rąk i piersi. Dirisha całowała kark Genevy i dmuchała lekko na wilgotne ślady. To było długie dwadzieścia minut – obie kobiety powoli i ostrożnie badały swoje ciała, dotykając się, całując, gładząc...

Geneva nagle przesunęła się ku dołowi i powoli zakreśliła językiem koło wokół sutka Dirishy. Ta poczuła, jak budzi się w niej gorąco. Zatopiła dłoń we włosach kochanki, łagodnie głaszcząc ją po głowie.

Blondynka przesunęła się niżej, dotykając ustami i językiem czekoladowej skóry partnerki, wywołując u niej gęsią skórę.

Dirisha westchnęła i rozchyliła nogi, a Geneva przesunęła się jeszcze niżej. Jej ciepły język zetknął się z wilgotnymi wargami sromowymi i prześlizgnął po nich łagodnie jak muśnięcie piórka. Dirisha aż jęknęła.

Po pięciu minutach pieścizot, w których Geneva okazała się prawdziwą mistrzynią, Dirisha pogładziła jej blond włosy i odezwała się:

– Hej, a może byś tu do mnie wróciła, co?

Geneva pokręciła głową.

– Jeszcze nie skończyłam – odpowiedziała spomiędzy rozchylonych nóg Dirishy.

– Świetnie ci idzie, ale ja też mam coś do powiedzenia, mała. Chodź tu.

Dirisha złapała Genevę i przyciągnęła do siebie, aż znów mogła ją objąć, a wtedy pocałowała ją w szyję.

– Moja kolej – mruknęła, ocierając się ciałem o ciało.

Lekko słonawe soki smakowały wspaniale i nim minęła dłuższa chwila, ciałem Genevy wstrząsnął orgazm. Dziewczyna wpiła palce we włosy Dirishy i wygięła się w łuk.

– Tak, tak, jeszcze!

* * *

Leżały obok siebie, trzymając się za ręce. Geneva ścisnęła dłoń Dirishy.

– Kocham cię – powiedziała.

– Wiem – westchnęła Dirisha. – Szkoda.

– Dlaczego? Nie musisz odwzajemniać tego uczucia, wystarczy mi to, co sama czuję.

Dirisha uśmiechnęła się i przetoczyła na bok, by pocałować kochankę w czoło.

– Zasługujesz na kogoś lepszego, mała. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek stanę się kimś odpowiednim dla ciebie. Wiesz o mnie tak niewiele, tyle rzeczy stłamsiłam i ukryłam głęboko w pamięci. Lubię cię, ufam ci tak bardzo, że bardziej się nie da, nie czuję się przez ciebie zagrożona... Nie byłam z nikim tak blisko od czasu, gdy opuściłam ojczystą planetę, ale... Zresztą nie wiem, po prostu nie wiem.

– Opowiesz mi o tym wszystkim? Może jakoś ci pomogę.

Dirisha spojrzała w szare oczy kobiety o anielskiej twarzy. Westchnęła.

– To nudna historia, mała. To, skąd pochodzę i dlaczego stamtąd zwiłam... Po prostu nie ma w tym nic ciekawego.

– Proszę. Bardzo chcę tego wysłuchać.

– W porządku. Skoro tego chcesz...

OSIEM

Port Sawa Mji prażył się w morderczych promieniach słońca zwanego Ndama. We Flat Town trwało tropikalne lato wyprane z kolorów, a powietrze było wilgotne do tego stopnia, że pot nie chciał wyparowywać. Piętnastoletnia dziewczyna czuła, że noszona przez nią tania bawełniana koszulka klei się do jej ciała jak druga, wilgotna skóra.

Dirisha wiedziała jednak, że wkrótce będzie jeszcze wilgotniej, jeszcze bardziej mokro. Na zachodzie gromadziły się chmury burzowe, sztorm lada chwila miał się przetoczyć nad Flat Town niczym straszliwa miotła. Cholera, dlaczego Tundr i Zawadi zajmowały ten pieprzony pokój każdego popołudnia?

Dziewczyna uśmiechnęła się mimowolnie. To przecież nie pokój się pieprzył, a jej matka i przyrodnia siostra. Z jakimś dupkiem z frachtowca trzeciej klasy, za najniższą stawkę i bez napiwku, tego była pewna.

Zacząła się zastanawiać, gdzie mogłaby przeczekać deszcz. Zużyła już tygodniowy przydział żetonów na bibliotekę, a po Emporium Kivu kręcił się prawdopodobnie tłum załogantów statków kosmicznych, którzy będą się za nią snuć jak psy za suką w skwarny dzień. Nie miała ochoty odpędzać ich przez całą godzinę. Skradziona kostka dostępu do sklepów detalicznych straciła ważność. Cholera. Czy znała kogoś, kto dzisiaj nie pracował? Nie mogła sobie przypomnieć – statki stały w dokach, a w mieście portowym to zawsze oznaczało zastrzyk standardów, furę szmalu na kostkach walutowych. Jeśli miało się ukończone szesnaście lat, rzecz jasna. Nie można było wstąpić do żadnej z gildii przed ukończeniem standardowych szesnastu ziemskich lat. Jasne, zawsze mogła pracować tu i ówdzie na lewo, ryzykując mózgołomot lub lodową odsiadkę, gdyby ją złapali.

„Nie, dzięki, tygrysku, chyba sobie odpuszczę. Poczekam jeszcze roczek i zrobię wszystko tak jak należy, zostanę kobietą do towarzystwa jak moja mama i siostra Zawadi”.

Wciąż była przecież świeżym towarem, kilkakrotnie oddała się dla zabawy lub za gadżety z czarnego rynku. Chłopcy ze statków kosmicznych lubili młode mięsko...

– Cześć – rozległ się męski głos. – Nie jest aby ciut za gorąco, żeby tak stać w słońcu?

Dirisha podskoczyła. Odwróciła się i spojrzała na mężczyznę spod

przymrużonych powiek. Załogant ze statku kosmicznego – któżby inny? – a do tego młody. Uznała go za kadeta odbywającego pierwszy rejs; dobry materiał na oficera, jeśli ugrzęźnie w tym na dobre. Miał bladą karnację, wodniste niebieskie oczy, a włosy, z przodu ścięte krótko, z tyłu dłuższe i poskręcane, były tak czarne, że wydawały się niemal granatowe. Nie wyglądał źle, ale też nie olśniewał urodą.

– Jestem za młoda, mój drogi majtku. Przeczekaj jeszcze rok i wtedy mnie poszukaj.

Zarumienił się.

Dirisha nie wierzyła własnym oczom. On się naprawdę zarumienił!

– Nie... Nie, poczekaj! – wykrztusił. – Ja nie... Znaczy się... Mi wcale nie... Nie chciałem...

Dziewczyna wyszczerzyła zęby.

– Nie chciałeś mnie? – rzuciła, udając głęboko zranioną. – Sądzisz pewnie, że jestem brzydka?

– Nie, jesteś piękna! Znaczy się... Chodzi mi o to, że...

Urwał i machnął ręką w geście bezradności.

Dirisha zaśmiała się. Biedaczysko, pewnie nie wie, gdzie jest jego własny fiut, nie mówiąc już o tym, co się z nim robi. Z takimi umiała sobie radzić.

Dotknęła jego ramienia, po czym chwyciła go za rękaw spoconymi palcami i pociągnęła ku sobie, czując mocną tkaninę kombinezonu z synklinu.

– Chodź tu. Masz rację, tygrysku, jest za gorąco, a poza tym za jakieś pięć minut zacznie lać. Chodźmy do Emporium, kupisz mi coś zimnego do picia.

Uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Mam na imię Colin.

– I dobrze. Ja jestem Dirisha, tak jak planeta.

– Nadano ci imię planety?

– Nie, tygrysku, to planetę nazwano po mnie. A jak myślisz?

Znów się zarumienił i pokiwał głową.

Uśmiech Dirishy stał się szerszy. Młody kadet był nie tylko przepustką do miejsca, w którym przeczeka burzę, ale również nasionkiem *sarhg*, świeżym i niewinnym jak dziesięciolatek z zapadłej prowincji. Mogła go naciągnąć na coś do picia, na skręta i na jakiś posiłek, i to bez żadnego obłapienia. Gdyby zaś to ona jego dotknęła, chłopak pewnie by wybuchnął,

zanim w ogóle zdążyłby pomyśleć o pieprzeniu. Tym razem nie przewidywała żadnych problemów z gildią.

Wiatr przybrał na sile, a gdy zmierzali do Kivu, Dirisha czuła zapach nadciągającej ulewy. Dzięki towarzystwu Colina nie będzie musiała opędzać się od innych mężczyzn. Zje i wypije drinka w chłodzie i spokoju, nie zważając na tropikalną ulewę grzmocącą o dach wyłożony błękitnymi dachówkami i błyskawice skaczące między piorunochronami. Po burzy zaś odwdzięczy się za przysługę kilkoma pieśczętami albo pocałunkiem z małym numerkiem, a chłopak będzie w siódmym niebie. Niezły układ dla obu stron.

Zaczął padać. Wielkie krople deszczu tłukły w plaston, rozbryzgując się niczym małe bomby. Szara powierzchnia chodnika w mig pokryła się ciemnymi plamkami.

Dirisha pociągnęła Colina za ramię.

– Dalej, tygrysku, szybciej! Do środka!

Chłodne powietrze klimatyzatorów oziębiło skórę Dirishy, ale po całym dniu na zewnątrz, gdzie zwykle panowała temperatura wyższa od ciepłoty ludzkiego ciała, było to przyjemne uczucie. Poprowadziła Colina ku tyłowi wielkiego pomieszczenia, które służyło załogantom we Flat Town jako pub rekreacyjny.

Dirisha była świadoma spojrzeń, jakie przyciągało jej ciało. Choć miała piętnaście lat, była wysoka i szczupła, mogła się też pochwalić piersiami większymi od piersi matki i siostry. Wielu spośród tych ludzi – zarówno kobiet, jak i mężczyzn – chętnie zawlekłoby ją do łóżka. Jeden z nich, toporny olbrzym ubrany w kombinezon typowy dla pilota frachtowca, gapił się w nią tak intensywnie, że w wyobraźni niemalże czuła jego dotyk. Siedział w szerokim rozkroku, rozparty na krześle, popijając splasha. Gdy dostrzegł spojrzenie Dirishy, wsunął dłoń między nogi i pogładził genitalia. Wybrzuszenie w ich miejscu było zbyt wielkie, by mogło być prawdziwe. Dirisha odwróciła się i zerknęła na Colina.

Usłyszała za plecami śmiech pilota, ochrypliwy i ociekający żądzą. Chłodne powietrze nagle stało się zimne, a potem lodowate i Dirisha poczuła dotkliwe dreszcze. Znała mężczyzn tego typu aż za dobrze – nieraz słyszała o nich od matki i siostry. Doskonale wiedziała, czego pragną. Temu chodziło o gwałt, i to brutalny gwałt. Zafundowałyby jej dowolny rodzaj zboczenia – a najprawdopodobniej każde jak leci – a do tego jeszcze pięści i kopniaki dla

zabawy. Oczywiście w takim wypadku można było złożyć skargę w gildii lub, w ataku głupoty, zawołać gliny, ale tak naprawdę na podobnych ludzi nie było rady. Stanowili element gospodarki tego świata. W porcie kosmicznym takim jak Sawa Mji istniały dwie kategorie ludzi: ci, którzy korzystali, i ci, z których korzystano. Kobiety do towarzystwa otrzymywały zapłatę, ale sęk w tym, że w ten sposób trafiały do tej drugiej kategorii.

Dirisha jeszcze raz spojrzała na pilota, który nie spuszczał z niej oczu. Nagle odniosła wrażenie, że jej skąpa koszulka nie zakrywa tak naprawdę niczego, zupełnie jakby ten człowiek widział ją nagą. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Dotarli wreszcie do stolika. Dirisha usiadła jako pierwsza, co okazało się błędem, gdyż znalazła się naprzeciwko olbrzyma. Demonstracyjnie spojrzała w innym kierunku, a potem na Colina, zupełnie nieświadomego jej napięcia.

W pubie nie było kelnerów, a komunikator wbudowany w podniszczony, szary stół z plastyku od dawna nie działał.

– Przyniosę nam coś z baru – powiedział Colin. – Na co masz ochotę?

– Może być splash, ale nie ma pośpiechu.

Nie chciała, żeby ją zostawiał, gdyż była pewna, że olbrzym pożerający ją wzrokiem skorzysta z okazji i natychmiast do niej podejdzie. Ta myśl ją przeraziła. Być może jakoś by go splawiła, choć wydawało się to wątpliwe. Gdyby ten prostak postanowił użyć przemocy, nie dałaby sobie rady, a na Colina nie miała co liczyć.

– Zaraz wracam – rzekł chłopak i wstał.

O kurwa.

Dirisha rozejrzała się dookoła. Sześciu lub nawet ośmiu mężczyzn świdrowało ją wzrokiem, usiłując zwrócić na siebie uwagę, wliczając w to wielkiego brutala. Na nich nie miałyby co liczyć, gdyby przyszło co do czego. W odległości trzech stołów siedziała niziutka, raczej drobna kobieta wciągająca spirale *Kick-dustu*, dostrzegła też kilka miejscowych kobiet i mężczyzn do towarzystwa tulących się do klientów.

„Pospiesz się z tymi drinkami, Colin, ja jestem tu sama, naprawdę sama...

”

Pilot frachtowca powstał niczym ogromna bestia budząca się na żer. Ruszył w jej kierunku.

„Kurwa! Colin, pospiesz się!”

Z bliska mężczyzna wyglądał wprost ohydnie: brudny, w kombinezonie

poplamionym lubrykatorem i kurzem, nieogolony i do tego cuchnący. Pochylił się nad nią nisko, niemalże jej dotykając.

– Co powiesz na to, żebyśmy sobie gdzieś poszli, smakołyczku? Mam dla ciebie coś specjalnego, wielką niespodziankę, czaisz? Wielką.

Dirisha pokręciła głową, przestraszona.

– Nie przyszłam tu sama – ruchem głowy wskazała bar.

Olbrzym nawet nie zadał sobie trudu, by spojrzeć w tym kierunku.

– Mniejsza o dzieciaka. Jest wyższy rangą, nie będzie się przejmował kimś takim jak ja czy ty. No, chodźmy.

Dirisha poczuła, jak zasycha jej w ustach. Strach obezwładniał ją coraz bardziej.

– N... nie. Nie mogę.

– To co, mam cię może pogłaskać, smakołyczku? Lubię czułości.

Zacisnął palce w ogromną pięść i podsunął ją pod podbródek Dirishy.

Poczuła, że za chwilę ogarnie ją panika. Ten człowiek mógł ją uderzyć, może nawet pobić, nim ktokolwiek by zareagował, o ile oczywiście ktokolwiek ruszyłby tyłek. Dirisha przełknęła ślinę przez skurczone gardło i pokręciła głową.

– Nie. Pójdę z tobą.

Była tak przerażona, jakby miała się zaraz zsikać i zwymiotować, chciała wrzeszczeć i rzucić się do ucieczki. Jeśli mu dogodzi i doprowadzi do szybkiego, ostrego finału, może nie będzie się nad nią pastwił.

Nadzieja pierzchła, gdy Dirisha zobaczyła, jak olbrzym szczyrzy zęby w uśmiechu i poczuła palce zaciskające się na ramieniu z taką siłą, że z pewnością zostawiły siniaki.

– Co tu się dzieje?

Colin! Dirishę zalała fala ulgi. Jeśli będzie próbował zatrzymać osiłka, z pewnością nieźle oberwie, nie było co do tego dwóch zdań, ale może w międzyczasie uda jej się urwać. Chociaż ten podrostek pewno nie był aż tak głupi, żeby...

– Zjeżdżaj – warknął olbrzym. – Mam z tym mięskiem pewien interes do obgadania, co nie, smakołyczku?

Dirisha wytrzeszczyła oczy i gwałtownie pokręciła głową.

– Nie, ja...

W tej samej chwili ścisnął jej rękę z taką siłą, że aż krzyknęła.

Colin położył dłoń na ramieniu mężczyzny.

– Puść ją!

Olbrzym niespodziewanie wypuścił Dirishę i szybko, bez litości grzmotnął Colina pięścią w brzuch. Chłopak zgiął się wpół, próbując odzyskać oddech, ale nim się wyprostował, pilot frachtowca uderzył go w plecy potężnym przedramieniem. Colin wylądował na brudnej podłodze.

Dirisha próbowała umknąć, ale napastnik był szybszy. Zastąpił jej drogę, uśmiechnięty, szeroko rozstawiając ręce.

Zawróciła, rozglądając się za wyjściem, ale od razu zrozumiała, że jest w potrzasku.

Drobna kobieta, która wciągała nosem *Kick-dust*, spojrzała na nią znad stolika. Amfetamina błyszczała jej w oczach, gdy przyglądała się scenie. Przez ułamek sekundy Dirisha patrzyła jej w oczy, krzycząc bez słów o pomoc.

– Dalej, smakołycku. Już czas, żebyś zrobiła mi dobrze.

Dirisha znów się odwróciła, ale olbrzym ją złapał. Próbowała się wyrwać, przyciskając ręce do piersi.

– Ruszamy, powiedziałem!

– Spieprzaj, gościu – za plecami Dirishy rozległ się cichy głos. Dziewczyna odwróciła się i ujrzała tę drobną kobietę, stojącą na szeroko rozstawionych nogach, z uniesionymi rękami i palcami zakrzywionymi na podobieństwo szponów.

Pilot wybuchnął śmiechem.

– Mam spieprzać? Ja pierdołę, dobra! Niech będzie! Ale z dwoma gołąbkami zamiast jednego! – wypalił, szczerząc zęby, ale mina mu zrzedła, gdy napotkał spojrzenie nieznajomej. Dirisha też na nią patrzyła, zastanawiając się, jakie określenie najlepiej do niej pasuje, aż przyszło jej do głowy: bezczelna. Jakby nie znała strachu.

– Zjeżdżaj, zdziro – warknął olbrzym. – To nie twoja sprawa.

– Owszem, moja. Puść ją i znikaj.

Za kontuarem barman dzwonił po gliny, ale Dirisha wiedziała, że nie zdążą na czas. Złapała się na tym, że wstrzymuje oddech.

Pilot rozejrzał się. Nie było w pubie osoby, która by mu się nie przyglądała. Dirisha zauważyła, że mężczyzna zaciska zęby, mięśnie jego twarzy drżały.

– Pamiętaj, że sama tego chciałaś – wykrztusił.

Ruszył w kierunku kobiety, potężniejszy i zuchwalszy niż dotąd,

powrócił nawet jego uśmiech.

Który zniknął sekundę później, starty przez potężne uderzenie. Pilot rozdziawił usta i głośno jęknął. Wszystko wydarzyło się niezwykle szybko; Dirisha nie miała pewności, co tak na dobrą sprawę się stało, ale wyglądało na to, że nieznajoma poderwała nogę i kopnęła przeciwnika prosto między nogi. Głuchy dźwięk uderzenia rozszedł się echem po knajpie, w której zapadła pełna napięcia cisza.

Na twarzy olbrzyma wciąż malowało się zaskoczenie, gdy drobna kobieta znów się poruszyła.

Pewnego razu, gdy Dirisha była jeszcze bardzo mała, zabrano ją na wystawę fauny z innych światów, zorganizowaną w trakcie Targów Flat Town. Widziała tam jaszczurkę z jakiejś odległej planety, czerwonawe stworzonko niewiele większe od jej dłoni, wyglądające doprawdy nieszkodliwie i niegroźnie. Na jej oczach jeden z dozorców wpuścił do jej terrarium dorodnego szczura. Było to pokaźne zwierzę, niemalże trzykrotnie większe od nieszczęsnej jaszczurki. Dirisha wstrzymała oddech, bojąc się o życie zwierzątka. Widziała kiedyś, jak dwa podobne gryzonie przepędzają psa, bezpańskiego kundla, który, przymuszony głodem, potrafił zaatakować ludzkie dziecko.

Szczur dostrzegł ofiarę i zaczął się gotować do ataku, ale nie zdążył. Jaszczurka natarła pierwsza i wydarła z jego gardła kawał skóry i mięsa wielkości ludzkiego kciuka, a nim szczur uświadomił sobie, że został ranny, była już pół metra dalej. Jaszczurka uderzyła jeszcze trzykrotnie, zostawiając na ciele szczura głębokie rany, aż oszołomiony gryzoń potknął się, przewrócił i padł martwy. Dirisha, podobnie jak większość pozostałych widzów, była zdumiona do granic.

Teraz, dziesięć lat po tym wydarzeniu, oszołomiona patrzyła, jak drobna kobieta walczy z ogromnym pilotem w mniej więcej ten sam sposób. Jej dłonie i łokcie wbijały się w twarz brutala, kolana grzmociły w jego pachwiny, stopy w ciężkich butach uderzały w łydki i kostki. Olbrzym próbował się wycofać, ale kobieta nie odstępowała go ani na moment i nieustannie zasypywała gradem ciosów. Była jaszczurką, a on szczurem i pomimo swej siły i rozmiarów, nie miał najmniejszych szans. Wydawało się, że walka trwa całą wieczność, dopiero później Dirisha uświadomiła sobie, że zakończyła się w ciągu jakichś dziesięciu sekund. W końcu olbrzym padł jak drzewo powalone wicherem. Uderzył w podłogę z takim impetem, że ta aż

zadrzała pod stopami Dirishy. Więcej się nie poruszył.

Nieznajoma kucnęła obok pokonanego w komicznie wyglądającym przysiadzie, lecz ze sztywnymi dłońmi i rękami, gotowa do zadania kolejnych ciosów. Minęła chwila, nim się odprężyła i wyprostowała. Na jej twarzy widniała powaga. Odwróciła się i spojrzała na Dirishę.

– Dzień... dziękuję – zaczęła dziewczyna. – To było... to...

– To nic takiego, dziecko. Czy ty nie masz dla siebie żadnego szacunku? Co ty tu w ogóle robisz? Po co tu przyszedłaś? Czy ten facet nie mógł ci zapłacić czy co?

– Nie, mylisz się, ja nie zarabiam teraz...

– Nie? Na pewno? Coś mi mówi, że się już łajdaczyłaś, i to jak! Wiem też, że nigdy nie przestaniesz. Widywałam takie jak ty na dziesiątkach planet. Sama nie rozumiem, po co w ogóle od stołu wstawałam.

Z tymi słowami odwróciła się, by wyjść z pubu.

– Poczekaj! – krzyknęła Dirisha. – Ja... ja chcę... potrzebuję...

„Czego?”, zadała sobie pytanie w myślach. „Co takiego chcę powiedzieć? Przecież ona ma rację, no nie?”

„Nie!”

„Ależ tak”.

Gdy patrzyła, jak nieznajoma opuszcza pub, nagle zrozumiała. Ujrzała wizję swojego przyszłego życia. Zrozumiała, że będzie spotykać tego olbrzyma pod różnymi postaciami, a on będzie z niej korzystać tak, jak lubi najbardziej. Kto ją wtedy uratuje? Przyzwyczai się, jak starsza siostra i matka? Nauczy się bez słowa łykać prochy, gdy któryś z tych bydlaków z wielkimi fiutami pobije ją za mocno? Będzie rutynowo wysyłać skargi do gildii jak wielu innych? Dorobi się czworga lub pięciorga dzieci, by pomogły jej płacić czynsz, jak uczyniła to jej matka? Powoli wprowadzi córki w tajniki interesu, by zapewnić sobie spokój po dziesięciu, dwudziestu latach sprzedawania ciała każdemu, kto płacił?

Tak, takie właśnie życie ją czekało. To właśnie mogła i powinna robić, bo do niczego innego nie była przygotowana. To, do czego dążyła jeszcze przed kilkoma minutami, wydawało jej się teraz nieuniknione. Miała piętnaście lat i ujrzała swoją przyszłość. Niewyobrażalnie potworną przyszłość.

Niewyobrażalnie potworną.

Nie! Musiała się stąd wyrwać! Musiała uciec na inną planetę, nauczyć się czegoś...

Ale czego? I jak?

Spojrzała na leżących na ziemi mężczyzn, pilota i Colina. Nie ulegało wątpliwości, że ten drugi wciąż był dzieckiem, lecz właśnie z tego powodu łatwo będzie nim... Łatwo będzie nim kierować. Musiał istnieć jakiś sposób.

Musiał.

DZIEWIĘĆ

Dirisha wpatrywała się w sufit. Geneva leżała obok oparta na łokciu, delikatnie gładząc płaski brzuch kochanki.

– Co było później? – zapytała cicho.

Dirisha zamrugła i odwróciła lekko głowę ku kobiecie, która ją kochała. Westchnęła.

– Co było później? Pomogłam Colinowi wstać z podłogi, doprowadziłam go jako tako do porządku, a potem zabrałam do pewnej nory i tam uwiodłam. Myślę, że byłam trzecią kobietą w jego życiu, ale zdecydowanie najlepszą, postarałam się o to. Jego statek miał zostać na planecie miesiąc, tyle dostałam czasu, by wyciągnąć z niego to, czego potrzebowałam: wiedzę. Podwędził ze statku dysk z programem *Go Placid*. Nigdy nie zapomnę logo jego frachtowca, wyświetlało się za każdym razem, gdy holoprojektor otwierał ten pieprzony program. W ten sposób zdobyłam wykształcenie. Colin pomógł mi przy wprowadzaniu odpowiednich ustawień i rozpoczęciu nauki, ale minęły dwa lata czasu realnego, zanim zaczęłam zdawać testy na dziewięćdziesiąt procent. Colin oczywiście należał wtedy do przeszłości, ale został odpowiednio wynagrodzony za swoje wysiłki. A ja w wieku siedemnastu lat wiedziałam trochę więcej o galaktyce.

– A co robiłaś, żeby... Znaczy się, jak ci się udało...

– Przeżyć? Wstąpiłam do gildii i stałam się dziewczyną do towarzystwa, ale ze świadomością, że to chwilowe zajęcie. Gdy ukończyłam siedemnaście lat, opuściłam gildię i znalazłam pracę w lokalnym *dojo*. Otrzymałam wikt i opierunek w zamian za możliwość uczestniczenia w zajęciach. Rozpoczęłam naukę *oppugante*, mojej pierwszej Sztuki. Nie miałam forsy, więc dawałam dupy tu i ówdzie, ale zawsze unikałam naćpanych czy pijanych. Uczyłam się Sztuki, by wykupić sobie ucieczkę z planety. Nie zmarnowałam szansy. Czułam, że to się da zrobić – tej kobiecie, która uratowała mnie przed pilotem frachtowca, udało się bez problemów, więc dlaczego nie mnie? Byłam młoda, zdrowa i gotowa podjąć każde wyzwanie.

Dirisha umilkła, na nowo pograżając się we wspomnieniach.

DZIESIĘĆ

Mwalimu uderzył ją w twarz otwartą dłonią. Odrzuciło ją, ale powstrzymała okrzyk bólu. Cios był wyrazem pogardy i piekł jak cholera, lecz o wiele bardziej bolesny okazał się wstyd. Uderzył ją bowiem na oczach wszystkich.

– Głupia! – krzyknął Mwalimu. – Masz *fecalimo* zamiast mózgu! Ruszasz się jak krowa!

Dirisha skinęła głową.

– Tak, Instru’isto.

Zgodziła się z nim, ale nie przeprosiła. Nikt nie przeproszał Instru’isto.

Potężny mężczyzna odwrócił się do pozostałych adeptów. W *dojo* stłoczyło się ich aż dwudziestu i było ciasno, nawet pomimo tego, że siedzieli *seiza* – biodro w biodro, tuż obok siebie. Maty z plastikowej słomy były wystrzępione, wytarte i pokryte warstwą brudu ostatniej dekady. Dirisha nie miała szans ich doczyścić bez względu na to, jak długo by nie szorowała. Tanie, plastikowe lustra były wypaczone ze starości i pokryte rysami od niezliczonych zderzeń z końcówkami kijów, ostrzami noży i ludzkimi ciałami. W sali panował zaduch niemal równie dokuczliwy co na zewnątrz, pod gołym niebem. Po twarzach adeptów odzianych w brudnoszare kimona spływały krople potu, znacząc materiał ciemnymi plamami.

– Sami widzieliście, jak nieudolnie wykonała tę technikę! Powstrzymała mnie, ale jej pozycja była po prostu żałosna! Gdyby ustawiła się prawidłowo, rozwaliby mnie gładko! Nigdy nie róbcie tego tak jak Dirisha!

Instru’isto Mwalimu odwrócił się i ruszył w kierunku swojego kantorka, skrajnie zde gustowany otaczającym go światem.

Dirisha dostrzegła, że dwóch spośród adeptów uśmiecha się, ale dołożyła wszelkich starań, by jej twarz nie zdradziła żadnych emocji. Instru’isto czasami zwykł...

Mwalimu odwrócił się na pięcie z szeroko otwartymi oczami. Rozbawieni adepci usiłowali zamaskować reakcję i udać powagę, ale było za późno. Mwalimu uśmiechnął się, odsłaniając złamany ząb, którego nie miał czasu naprawić.

– Ach, Haleem i Mahimbo! Coś was rozbawiło?

– Nie, Instru’isto...

– Morda w kubek. Coś was rozbawiło.

Obaj adepci wydawali się porażeni strachem.

– T... tak, Instru’isto – odpowiedzieli chórem.

– Dobrze. Więc od tej pory to wy będziecie rozbawiać tę grupę idiotów. – Mwalimu uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Wstawać. Styl wolny. Krew lub kość.

Dziewiętnastoletnia Dirisha opanowała chęć przełknięcia śliny przez ściśnięte gardło. „Krew lub kość” oznaczało, że obaj mają walczyć ze sobą do chwili, gdy jeden z nich zacznie krwawić lub gdy pęknie mu kość.

Nie wolno było uśmiechać się na zajęciach dla zaawansowanych adeptów *oppugate* u Instru’isto Mwalimu. Pod żadnym pozorem.

Gdyby Instru’isto wrócił do kantorka, sesja typu k&k skończyłaby się dość szybko – jeden z walczących zadałby przeciwnikowi lekki cios w usta lub nos i popłynęłaby krew, co oznaczałoby zakończenie starcia. Tymczasem Instru’isto nie miał ochoty przegapić widowiska, a celowe zadawanie niegroźnych ciosów podczas sparingu kończyło się zazwyczaj sparingiem z nim samym. Trudno było wyobrazić sobie coś gorszego. Gdy Instru’isto stawał naprzeciwko adepta, słowo „brutalny” zyskiwało nowe znaczenie.

Zarówno Haleem, jak i Mahimbo dysponowali sporą siłą i nosili zielone tarcze na kimonach, co oznaczało, że nabyli już pewne umiejętności. Ukłonili się i rozpoczęli pojedynek.

Po pięciu minutach Haleem wymierzył celnego kopniaka w klatkę piersiową Mahimbo. Wszyscy usłyszeli chrzęst pękających żeber, a trafiony poleciał dwa metry w tył. Nie opuścił jednak pięści, a jedynie skinął na przeciwnika i powłóczęc nogami, ruszył w jego stronę. Nawet gdyby Dirisha nie usłyszała pęknięcia żeber, ból na twarzy Mahimbo zdradziłby jej wszystko.

– Dość – rzekł Instru’isto i machnął leniwie ręką. – Siadajcie.

Odwrócił się ku Dirishy, która nadal stała na szeroko rozstawionych nogach przed resztą grupy.

– Przecwicz Dziewięć Postaw, a potem dwadzieścia minut z ciężkim workiem. Sprawdź, czy żebro Mahimbo nie wymaga interwencji lekarskiej. Oczywiście po treningu z workiem.

– Tak, Instru’isto – kiwnęła głową Dirisha.

Mistrz w końcu poczłapał do kantorka.

Dirisha odczekała, aż zniknie w jego wnętrzu, po czym przywołała resztę grupy. Żal jej było Mahimbo, ale nie na tyle, by pozwolić mu wymigać się od

ćwiczeń. Kiedyś złamano jej sześć żeber – cztery po lewej, dwa po prawej – i dobrze wiedziała, jaką torturą jest dobrnięcie do końca ćwiczeń w takim stanie.

– Pierwsza Postawa – powiedziała.

Adepci posłusznie skoczyli na nogi, by przećwiczyć pojedyncze układy ataku i obrony. Ćwiczyli, jakby przyglądał im się Instru’isto we własnej” osobie – choć z drugiej strony mogło tak być, miał przecież zamontowane w kantorku lustro weneckie. Sesja typu k&k potrafiła w końcu zmiękczyć każdego, ale na krótką metę po prostu bolała jak cholera.

* * *

Wigilia Agosti – dwudzieste urodziny Dirishy – okazała się bardzo długim dniem. Dirisha jak zwykle wstała o świcie i przez trzy godziny uwijała się po *dojo*, pucując prysznicę, szorując maty, odkurzając i polerując broń Mwalimu, a w końcu sprząając jego kantorek. Bywało, że tam sypiał, a wtedy w pokoju panował niewyobrazalny bałagan. Nikt nie wiedział, gdzie Instru’isto mieszka. Zazwyczaj po prostu znikał po zajęciach, a jeśli miał jakiś dom lub rodzinę, to skutecznie ukrywał to przed wszystkimi bywalcami *dojo*.

Po sprzącaniu zjadła w pośpiechu śniadanie złożone z chleba wieloziarnistego i sera oraz soku warzywnego. Następnie przez dziesięć minut rozgrzewała się przed zajęciami dla początkujących. Przez kolejne dziewięćdziesiąt minut uczyła czworo adeptów, po czym następowała południowa przerwa. Potem przez godzinę ćwiczyła postawy i układy przed pojawieniem się adeptów z pierwszej grupy zaawansowanej, którą prowadził sam Instru’isto. Każdego dnia odbywały się dwa bloki zajęć dla grupy zaawansowanej, a ona musiała uczestniczyć w obydwu. Po ostatnich zajęciach spędzała trochę czasu z kilkoma innymi adeptami z brązowymi tarczami, trenując styl wolny lub walkę z bronią. Kolacja wypadła tuż przed wieczornymi porządkami, a potem miała trochę czasu dla siebie. Czasami wsuwała dysk w odtwarzacz i uczyła się, czasami spacerowała w dusznym powietrzu, ale najczęściej wyczerpana padała na posłanie i zasypiała.

Tego dnia walczyła długą włócznią. Już zamykała tylne drzwi po ćwiczeniach, gdy z kantorka wyszedł Instru’isto. Poza nimi w *dojo* nie było żywej duszy.

– Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt zmęczona – powiedział.

Dirisha spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Ponieważ nadszedł czas, byś przystąpiła do testu na czarną tarczę. Dziś wieczór. Teraz.

Dirisha nabrała głęboko tchu.

– Co takiego?

Instru'isto wyszczerzył zęby.

– Niech no zgadnę. Myślałaś pewnie, że będziesz się przygotowywać do tego etapami i przystąpisz do egzaminu wyspana i wypoczęta, na oczach dopingującego cię tłumu adeptów, co?

Dirisha nie odezwała się słowem. Cóż, częściowo miał rację, sądziła, że...

Instru'isto nie pozwolił jej dokończyć myśli.

– Techniczna różnica między brązową i czarną tarczą jest dość niewielka. Jeśli przejdiesz test, nie będziesz wiedziała o wiele więcej niż przed nim. Różnica polega na podejściu, na duchu. Nigdy nie wręczyłem czarnej tarczy niezasłużenie. Wręcz przeciwnie, robię to rzadko, ledwie pięciokrotnie w ciągu piętnastu lat. Lecz bez należytego podejścia, o którym mówię, otrzymanie czarnej tarczy jest całkowicie niemożliwe.

Dirisha czuła strach. Słowa Instru'isto przede wszystkim przeraziły ją. Nigdy dotąd nie słyszała, by odzywał się w tak... kulturalny sposób. Ten człowiek zawsze był lakoniczny i szorstki, a teraz ton jego głosu wydawał się prawie nierealny. Dokąd się udawał, gdy stąd wychodził? Kim się stawał, gdy nie był Instru'isto *oppugante* piątego kręgu z czarną tarczą?

– A więc, Dirisho, rozpoczynamy taniec. Pokażesz mi wszystko, czego się ode mnie nauczyłaś, wszystkie postawy i układy, każdą technikę. Jeśli zaprezentujesz je prawidłowo, wtedy zatańczymy w parze. Krew lub kość. Po tym wszystkim otrzymasz czarną tarczę lub tubkę ortomaści i opiekę medyczną. Zamknij drzwi.

* * *

Przedstawienie wszystkich układów *kata* i taktyk defensywnych zajęło jej trzy godziny. Demonstrowała podstawowe bloki i uderzenia, które stały się jej drugą naturą, cięła gorące, wilgotne powietrze *dojo* najrozmaitszymi starożytnymi sztukami broni – korbaczami, nożami, włóczniami, mieczami i kijami. Pokonała narastające zmęczenie i pod koniec pokazu złapała drugi oddech, ale nie miała pewności, czy dobrze jej idzie. Czuła, że wszystko jest w porządku, ale jak naprawdę wypadła?

Gdy skończyła, z jej kimona można by wykręcać pot, jakby przed momentem weszła pod gorący prysznic ze słoną wodą.

Instru'isto kiwnął głową. Ukłonił się, nie spuszczać jej z oczu, a potem przybrał postawę, unosząc dłonie tak, by w razie potrzeby zasłonić twarz i podbrzusze.

Dirisha odruchowo przybrała tę samą postawę.

Dzieliły ich trzy metry. Przyglądali się sobie w całkowitej ciszy. Dirisha ani przez moment nie wątpiła, że nieźle oberwie. Nie myślała już w ogóle o czarnej tarczy, skupiła się całkowicie na przetrwaniu.

Instru'isto przesunął się kilka centymetrów w przód. Był skoncentrowany, jego mięśnie napięte. Dirisha ze zgrozą stwierdziła, że nigdy dotąd nie wyglądał aż tak groźnie. Usiłowała narzucić sobie równy oddech, ale łyki powietrza były o wiele mniejsze, niżby sobie tego życzyła.

Wielki mężczyzna przysunął się jeszcze bliżej.

Dirisha ani drgnęła. Czekwała.

Nagle przeszedł do natarcia. Wymierzył niesamowicie szybkie kopnięcie w kolano.

Usunęła się i sama kopnęła prawą stopą w jego splot słoneczny.

Mwalimu uniknął ciosu i uderzył pięścią w jej skroń.

Dirisha zdołała się uchylić, a w następnym ułamku sekundy już mierzyła palcami w jego oczy.

Wtedy uniósł łokieć, by grzmotnąć ją w gardło.

Miała czas na unik. Zebrała się do odskoku, lecz w ostatnim momencie uświadomiła sobie, że tego ją właśnie nauczył, tego się po niej spodziewał. Zamarła i z całej siły wymierzyła prosty cios pięścią, angażując siłę barku i biodra. I wtedy doznała olśnienia, po prostu wiedziała, że jej fortel zadziała. Czas nagle zaczął biec wolniej, rozciągnął się niczym gorący plastik, lecz cios w rzeczywistości trwał jedynie ułamek sekundy.

Mimo to Instru'isto odwrócił się i prawie uniknął ciosu. Jego mistrzostwo było wprost niezrównane, niemalże mu się udało. Niemalże.

Dwa kłykcie trafiły go tuż nad lewym okiem. Głowa odskoczyła, a Dirisha dojrzała rozciętą skórę, z której już ściekała strużka krwi, zalewając oczodół.

Instru'isto cofnął się i ukłonił, niżej niż kiedykolwiek wcześniej. Gdy się wyprostował, na jego twarzy malował się uśmiech. Odpiął czarną tarczę od kimona i rzucił Dirishy, a ona złapała ją, zdumiona i przerażona jednocześnie.

– Witaj w klubie, Dirisho.

* * *

Nieznajomy był obrzydliwie tłusty, a twarz miał wymalowaną czterema odcieniami różu jak mężczyzna do towarzystwa. Tak naprawdę był jednak handlarzem diamentów z Mti, siostrzanej planety Dirishy, jedyne go nadającego się do zamieszkania świata w systemie Ndama. Siedział za suto zastawionym stołem w restauracji Danielle i opychał się drogimi kandyzowanymi owocami.

„Pasożyt”, pomyślała Dirisha. „Miękki i godny pogardy”.

Stanowił jednak jej cel i to, czym był, nie odgrywało aż takiej roli jak to, kim był. A jeśli Dirisha rozegra wszystko prawidłowo, ten tłusciuch zapewni jej przepustkę do innego świata.

Ochroniarz kupca, wielki, muskularny mężczyzna z zahartowaną twarzą, którą przez lata rzeźbiły ciosy wielu pięści, dostrzegł ją, gdy zmierzała w stronę stołu. Instru’isto miał okazję oglądać go w akcji i stąd Dirisha wiedziała, że facet polega głównie na sile mięśni, a nie na umiejętnościach. Kryło się w tym ryzyko, lecz całe jej życie było ryzykiem.

– Czego? – warknął ochroniarz.

– Chcę pogadać z twoim szefem, głąbie.

– Nie ma mowy. – Mężczyzna uniósł ogromną dłoń, chcąc odepchnąć Dirishę. – Najpierw mi to powiedz.

Tłusty handlarz diamentów uniósł głowę znad posiłku, umiarkowanie zainteresowany zajściem. Usta miał wysmarowane jakąś pomarańczową mazią, a oczy, niemal ginące między tłustymi powiekami, błyszczały od narkotyków.

Dirisha złapała rękę ochroniarza. Na Changa, ależ on był silny! Nawet pomimo dobrego punktu oparcia i szybkości, jego ręka ledwie drgnęła! Cóż, istniały inne metody.

Zanurkowała i wbiła łokieć w splot słoneczny. Tam również natrafiła na twarde mięśnie, ale cios rozluźnił przynajmniej rękę, której nie wypuściła ani na chwilę. Dobrze. Szarpnęła i przekręciła, jednocześnie odwracając całe ciało. Ochroniarz z głośnym stęknieniem przewrócił się na ziemię. Nie pomogła mu nadzwyczajna siła.

Kupiec ocknął się i poderwał z wytrzeszczonymi oczami. Dirisha uznała, że z pewnością ma wiele powodów, by bać się złodziei, a może nawet zabójców. Rozejrzał się, ale nie było sposobu, by uciec z lokalu, nie mijając Dirishy. Wbił bezsilny wzrok w ochroniarza.

Mężczyzna leżał na ziemi, uwięziony w jej chwycie. Mogła mu złamać rękę lub pozbawić przytomności jednym ciosem, był skazany na jej łaskę. Uśmiechnęła się do kupca.

– Cz... czego chcesz?

– Pracy – odparła.

– A... a co robisz?

– Jestem ochroniarzem.

– Mam już jednego – odparł kupiec.

– Marny jakiś, co nie, tygrysku? Powinieneś pozwolić mi go zastąpić.

Kupiec przyjrzał się czarnoskórej kobiecie, a potem muskularnemu osiłkowi, którego obezwładniła. Po chwili uśmiechnął się i Dirisha już wiedziała, że nie spędzi ani tygodnia więcej na planecie, której imię nosiła. Jej uśmiech był o wiele szerszy od tego, który pojawił się na tłustej twarzy jej nowego pracodawcy.

Wyruszyła w drogę. Nieważne dokąd, ważne, że dokądś, dokądkolwiek. Galaktyka stała otworem.

JEDENAŚCIE

Dłoń Genevy spoczywała nieruchomo na brzuchu kochanki.

– Przeszłaś przez piekło.

Dirisha pokiwała głową.

– Ale zahartowało mnie to, mała. Gdy tylko dotarliśmy na Mti, rzuciłam robotę u kupca i zatrudniłam się jako bramkarka w pubie. Wstąpiłam do Akademii *Atemi Waza* – Mwalimu zasugerował, żebym nauczyła się również zapasów, które mogłyby uzupełnić jego bokerski styl. *Atemi* opiera się na sprawności stawów, sporo tam rzutów, padów, przewrotów. Uczyłam się tego stylu całe dwa lata, a kolejne trzy studiowałam *kinzoku*, też na Mti. Zabawa ze stalą, głównie rzucanie strzałkami i nożami. Potem poleciałam na Greaves, gdzie wyuczyłam się *mkonosio haki* – Nieczystych Dłoni – kolejnego stylu ofensywnego. W międzyczasie zajmowałam się tym i owym, głównie na lewo. No i zaczęłam podążać Drogą.

– Drogą Musashiego – rzekła Geneva. – Rudzielec też nią podążał przez jakiś czas. A Khadaji wziął udział w turnieju.

Dirisha zaczerpnęła głęboko powietrza i powoli je wypuściła, a potem spojrzała na dziewczynę.

– Z początku bardzo to polubiłam. Współzawodnictwo, napięcie, dylematy w stylu: „Czy dam radę rozwałkować tego gościa? A może to on mnie rozłoży?”. Mocno się w to wciągnęłam. Wygrywałam. Zdarzało mi się przegrać. Są w grze ludzie, którzy całkiem się jej oddali, goście, którzy daliby popalić samemu Penowi. Ale ja usiłowałam odnaleźć w niej coś więcej, coś ponad to, czym naprawdę była, i nie znalazłam tego. Po jakimś czasie zaczęłam się zastanawiać, czy zostanę dzięki niej kimś więcej niż po prostu kolejnym starzejącym się graczem, roninem, który kiedyś ulegnie jakiemuś dzieciakowi na zadupiu podobnym do tego, z którego pochodzę.

– To dlatego tu trafiłaś?

Dirisha zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Częściowo chyba tak. Część mnie chce tu zostać i uczyć się od ciebie i Pena, a przy okazji przyswoić sobie kolejną Sztukę. Druga część nie wie, czego chce. Chyba tylko odpocząć, o niczym nie myśleć.

Obie kobiety leżały jakiś czas w ciszy, a potem Geneva nachyliła się i delikatnie ucałowała policzek Dirishy.

– To bez znaczenia, wiesz sama.

– Genevo, zabiłam ponad tuzin ludzi w walce wręcz i przynajmniej trzy razy tyle wysłałam do szpitala na rekonstrukcję medyczną, tak mocno oberwali. Jeśli chodzi o pomniejsze obrażenia, to przez ostatnie dziesięć lat poraniłam setki ludzi. Swego czasu to lubiłam. Nawet zabijanie.

– Ale przestałaś.

– Tak. Przestałam.

– To bez znaczenia. Nadal cię kocham.

Dirisha przetoczyła się na bok. Kiedy spojrzała kochance w oczy, Geneva uśmiechała się z oddaniem. Najbardziej na świecie pragnęła powiedzieć jej to samo i nie skłamać, ale nie mogła. Zbyt mocno wiązała ją przeszłość, zbyt dotkliwie czuła, kim była i czym się zajmowała. Nie powiedziała więc ani słowa i zamiast tego przytuliła Genewę, a potem leżały obok siebie przez długą, bardzo długą chwilę.

Zważywszy na okoliczności, było to najlepsze, co mogła zrobić.

* * *

Dirisha wyszła zza rogu korytarza prowadzącego do jadalni i niespodziewanie ujrzała Rudzielca przymierzającego się, by strzelić Genevie w plecy. Nie zastanawiając się ani chwili, poderwała spetsdöd i nabrała tchu, by wykrzyknąć ostrzeżenie. Były dwie przeciwko jednemu, ale tego nie zabraniała żadna reguła.

Nie musiała się jednak przejmować. Rudzielec wystrzelił, lecz w tym samym momencie jego córka padła na ziemię i pocisk przemknął tuż nad jej głową. Geneva przeturlała się na plecy i wymierzyła w ojca obie ręce. Korytarz wypełnił syk spetsdödów nastawionych na ogień automatyczny. Ręka Rudzielca odskoczyła, trafiona kilkoma strzałkami i jego własne pociski chybiły. Nie zdołał jej ustrzelić, stracił szansę na wzajemne trafienie. Geneva wygrała.

Kilku adeptów zbiegło się w korytarzu.

– ... widziałeś? Trafiła Rudzielca!... – mówił ktoś ściszym głosem.

– ... nigdy nie widziałem, żeby ktokolwiek potrafił się tak szybko poruszać...

– ... słodki Buddo, jak można tak celnie strzelać...

Dłonie Rudzielca pokryte były czerwonymi punkcikami w miejscach pożądlonych przez strzałki, ale mimo to mężczyzna uśmiechał się, patrząc na wstającą Genewę. Podszedł do córki i otoczył ją ramieniem. – < „

– To ci dopiero, mała!

Gdy szli korytarzem, Rudzielec niespodziewanie odwrócił się i spojrzał na Dirishę. Wydawało się, że w jego oczach błysnęły łzy, a Dirisha mogłaby się założyć, że ich przyczyną wcale nie jest ból. Rudzielec był jednym z najlepszych i właśnie został pokonany przez adepta – powód do smutku, ale z drugiej strony pokonała go własna córka, a to znaczyło coś zupełnie innego.

– Jest szczęśliwy – stwierdził ktoś za plecami Dirishy.

Był to Pen, któżby inny. Odgadłaby to, nawet gdyby nie rozpoznała głosu. Nikt inny nie potrafił się zakradać tak dyskretnie jak on.

Dirisha spojrzała na spowitego w szaty mężczyznę.

– Jest lepsza niż kiedykolwiek wcześniej – rzekł. – A przecież od dawna nie ma sobie równych.

– Wiem – Dirisha pokiwała głową.

– Skąd?

Nie miała pojęcia.

Pen spojrzał na korytarz.

– Przejdziemy się?

– Pewnie.

Ruszyła za nim na zewnątrz. Poprowadził ją przez sztuczny płaskowyż w kierunku zagajnika położonego około kilometra od szkoły. Przez ostatnie dni było chłodniej, gdyż zmiany w orbicie i nachyleniu Renault sprowadziły jesień na tę półkulę. Roślinność wokół Simplex-by-the-Sea zaczęła przybierać cieplejsze kolory i zieleni co rusz przetykały plamy czerwieni, żółci i brązu.

– Geneva zawsze była kimś szczególnym – zaczął Pen. – Ostatnio stało się to jednak jeszcze bardziej widoczne.

Dirisha milczała.

– Gdy przyjdzie jej czas, by opuścić to miejsce, otrzyma naprawdę ważne zadanie. Być może stanie się niewielkim kółkiem zębatym, które we właściwym momencie poruszy inne wielkie koło.

Drzewa zagajnika były coraz bliżej.

– Tak naprawdę każdy z adeptów mógłby się stać podobnym kółkiem.

Dirisha weszła między drzewa. Musnęła koniuszkami palców chropowatą korę najbliższego, które, ku jej zaskoczeniu, wydało się gorące.

– Niektórzy z nas mają mniejsze szanse od innych – powiedziała.

Pen podszedł bliżej. Jak zwykle sprawiał wrażenie nieprzeniknionego, ukryty w zwałach szarej szaty, lecz jego oczy błyszczały, jakby próbował

przeniknąć do głębi duszy uczennicy.

– Masz na myśli siebie?

Dirisha oderwała kawałek kory, przyjrzała mu się uważnie i odrzuciła go. Przeniosła wzrok na Pena i wzruszyła ramionami.

Ten zaś odwrócił się i zapatrzył w szkołę.

– Wiesz cokolwiek na temat integratyki?

– To jakiś rodzaj teorii socjobiologicznej, zgadza się?

– To coś więcej niż tylko teoria, to czysta praktyka. Rodzeństwo Całunu korzysta z jej dobrodziejstw od wielu lat. W ograniczony sposób, oczywiście.

– Znów skupił spojrzenie na Dirishy. – Na przykład zgromadzeni tu adepci nie zostali wybrani tylko ze względu na umiejętności, ale również ze względu na to, jak będą współżyć z innymi. Sporządziliśmy wyczerpujące profile psychologiczne każdego adepta i instruktora. Jeśli ktoś ma inklinacje, by kogoś nienawidzić, my chcemy to wiedzieć.

– A jeśli istnieje szansa, że ktoś się w kimś... zakocha – podjęła Dirisha – to też chcemy wiedzieć, tak?

Pen zaśmiał się pod nosem.

– W rozmowach z tobą najbardziej lubię to, że nie muszę się rozwodzić nad kwestiami oczywistymi. Tak, jasne, to też chcemy wiedzieć.

– Więc już wcześniej doszedłeś do wniosku, że Geneva poczuje do mnie pociąg.

– Zaskoczyło mnie tylko, że tak długo to trwało.

– A jaki jest cel tej drobnej intrygi?

– Już wiesz. Od chwili twojego przyjazdu Geneva jest bardziej... spełniona. Przekroczyła dotychczasowe bariery. Kocha inną osobę na sposób całkiem dla siebie nowy. Wcześniej miała tylko wyobrażenie, wizję Khadajego, mit, w który wierzyła. Teraz ma rzeczywistość. Ciebie.

Dirisha przesuwiała dłonią po pniu. Szorstka kora była miła w dotyku.

– Lubię Genewę – powiedziała. – Czuję się z nią o wiele lepiej niż z kimkolwiek kiedykolwiek wcześniej. To dobra dziewczyna, słodka, ale...

– Ale jej nie kochasz – dokończył Pen.

– Nie. I żałuję tego.

– To nie ma znaczenia. Wystarczy, że ona kocha ciebie.

– Sama też tak mówi. Chyba tylko ja tego nie kapuję.

– Kiedyś zrozumiesz. – Wokół oczu Pena pojawiły się zmarszczki uśmiechu. – Dobrze by było, żebyś porozmawiała z Mayli Wu.

Dirisha czuła się zakłopotana rozmową, jakby czaiła się w niej jakaś groźba, której nie mogła rozpoznać, lecz którą czuła. Postanowiła zmienić temat.

- Czy to prawda, że Siostrzyczka... że Mayli była kiedyś lekarzem?
- Ze specjalizacją w urologii.
- Dlaczego więc porzuciła to na rzecz kariery prostytutki?
- Odkryła, czym jest miłość. Nazwijmy to pracą w terenie.
- To jakiś żart?
- Nie, prawda. Sama jej spytaj.
- Spytam.

Pen milczał i Dirisha zaczęła się zastanawiać nad powodem ich wspólnego spaceru. Próbowwała doszukać się zamaskowanego sensu, przesłania, ale jeśli taki istniał, to zbyt głęboko ukryty. Tymczasem kontakty z Penem nauczyły ją, że ten człowiek niczego nie robi bezcelowo. Co mógł dla niej szykować?

Ku jej zdumieniu Pen oświadczył nagle:

- Cóż, dzięki za spacer. Do zobaczenia w szkole.

I ruszył w drogę powrotną.

Przez krótką chwilę Dirisha walczyła z pokusą, by wycelować w niego palec i wpakować mu strzałkę w plecy. Ledwie zdążyła o tym pomyśleć, Pen wysunął dłoń spomiędzy fałd szaty i pokazał własną broń.

Jasna cholera, czyżby był telepatą?! Musiał przewidzieć, co chciała zrobić! A w ogóle to o co w tym wszystkim chodziło?

Na skraju świadomości pojawiła się nowa, dokuczliwa myśl, usilnie próbująca przykuć uwagę Dirishy. Gdy wreszcie dopuściła ją do głosu, całą jej świadomość wypełniła jedna prosta prawda: pamiętaj o Heisenbergu, młoda! Skoro jesteś czynnikiem I wpływasz na kogoś takiego jak Geneva, stajesz się częścią owego integracyjnego tańca. Widzisz, co robisz, ale czy widzisz, jak to wpływa na ciebie? Czy widzisz, co robią tobie?

Dirisha raz jeszcze przyobiegała sobie, że zachowa czujność. Incydent na promie, a potem miłość, którą obdarzyła ją Geneva, nie stanowiły zbiegów okoliczności, nie miała co do tego złudzeń.

Cóż jeszcze Pen dla niej zaplanował?

Przyglądając się odległej już o kilkaset kroków sylwetce tego człowieka, poczuła, jak pośród jej myśli ożywa stare wspomnienie. Obudziła je ta sytuacja, jakieś ukryte, niedostrzegalne podobieństwo. W zasadzie chyba nie

powinno, bo tamto zdarzenie z przeszłości w niczym nie przypominało tego, ale wbrew jakimkolwiek regułom wspomnienie doszło do głosu. Dirisha patrzyła na odchodzącego Pena i wspominała...

* * *

Patrzyła na majaczącą w oddali sylwetkę, zadając sobie w myślach pytanie, jaka głupota przywiodła ją do tego miejsca. Vul, drugi księżyc Kalk, planety w systemie Svare, był jałowym, niegościnnym miejscem, gdzie życie istniało tylko dzięki Tarpom, którzy wzniesli nad swym osiedlem przejrzystą kopułę. Był to spory księżyc, bez wątpienia dość duży, by zapewnić mieszkańcom cztery piąte ziemskiego przyciągania, a do tego jeszcze ból głowy wywołany przez lokalne słońce, jeśli nie nosiło się filtrów na soczewkach. Dziura co się zowie i ostatnie miejsce warte odwiedzenia, chyba że człowiek przyszedł tu na świat. Choć rodzić się tutaj też nie było warto, za to Dirisha dałaby sobie rękę uciąć. W imię czego stała więc teraz po kostki w pomarańczowym pyłe, wpatrzona w samotną postać?

Uśmiechnęła się krzywo. Droga Musashiego zmuszała ludzi do odwiedzania najdziwaczniejszych miejsc, to prawda. Nawet takich dziur. Dowiedziała się od instruktora na Kalk, że mieszka tu pewna wojowniczką, która chwilowo ukrywa się przed innymi graczami lub nawet postanowiła wycofać się z gry; twarda zawodniczka, która pożera kamienie i sra żwirem dla samej zabawy. Droga obfitowała w plotki, legendy i półprawdy i gdyby choć jedna na sto była prawdziwa, istnieliby ludzie, którzy potrafili oddychać w próżni, powalać setki wrogów jednym kopnięciem lub znikać, pstryknąwszy palcami. Ta plotka miała jednak solidne podstawy – miejscowi wiedzieli, kogo Dirisha szuka i wypowiadali się o tej kobiecie z wielkim szacunkiem.

Po pięciu latach w grze na Dirishy trudno było zrobić wrażenie. Przegrała kilka walk, ale wygrała znacznie więcej. Zdarzyło jej się pokonać sześciu przeciwników naraz, wiedziała, że jest dobra.

Postać szła w jej stronę, ale rosła bardzo powoli. Dirisha nabierała pewności, że to kobieta drobnej postury, nic to jednak nie znaczyło. Pierwszej dotkliwej porażki zaznała za sprawą mężczyzny nieco wyższego od dziecka. Zlekceważyła jego umiejętności i siłę, a on sprzął ją do nieprzytomności.

Wiele się od tego czasu nauczyła.

Pomimo wszechobecnego pyłu i niższej grawitacji ruchy kobiety były

płynne. Dirisha spędziła cały tydzień, ćwicząc poruszanie się na tej planecie, zanim rzuciła nieznajomej wyzwanie. Zaniechanie takich przygotowań stanowiłoby przejaw głupoty.

Kobieta zbliżyła się na tyle, by Dirisha mogła dostrzec jej twarz. Co dziwne, ta wydawała się znajoma, choć Dirisha nie miała pojęcia skąd. Znała wielu spośród najważniejszych graczy, lecz twarzy tej kobiety nie odnajdywała wśród swoich wspomnień.

Tymczasem przeciwniczka od razu ją rozpoznała, musiała słyszeć o jej dokonaniach. Uśmiechnęła się, zęby błysnęły bielą na tle ciemnej skóry. Miała na sobie pyłoszczelny kostium zapięty ciasno wokół szyi, nadgarstków i kostek. Zatrzymała się trzy metry przed Dirishą.

– I co powiesz, siostrze?

Dirisha czuła, że jej mięśnie są napięte, „czuła się gotowa do ataku, do walki.

Kobieta westchnęła.

– Byłam pewna, że ktoś taki jak ty kiedyś się tu zjawi. Miałam nadzieję, że przynajmniej na tym świecie nie będę musiała nikomu wyrządzać krzywdy, ale jeśli się upierasz, jestem gotowa pokazać ci, jak to robię... siostrze – wycedziła po krótkiej pauzie.

Głos wszystko zdradził. Wcześniej Dirisha nie potrafiła przyporządkować tej twarzy do właściwych wydarzeń, ale głos nieznajomej przywołał wspomnienie miejsca, w którym się poznały. Musiała czymś zdradzić swoje zaskoczenie, bo kobieta uśmiechnęła się.

– Co się stało, siostrze? Ducha zobaczyłaś?

Dirisha nie potrafiła dłużej powstrzymać śmiechu.

– Jaszczurka!

– Co takiego, siostrze? Powtórz.

Dirisha pokręciła głową.

– Nieważne, to takie moje określenie, nie zrozumiałabyś. Znam cię. Byłaś kiedyś na Dirishy, jakieś dziesięć standardowych lat temu. We Flat Town.

– I co z tego? – Kobieta zbliżyła się odrobinę, rozstawiając stabilniej stopy pod warstwą kredopodobnego pyłu. Odwróciła się bokiem, by stanowić mniejszy cel.

– Skopałaś dupę pilotowi frachtowca, który dobierał się do młodej dziewczyny.

„Do dziecka”, poprawiła się w myślach Dirisha.

– Dawno straciłam rachubę, jeśli chodzi o knajpiane męty, które poustawiałam do pionu, siostró. Dawno temu.

Z tymi słowami przysunęła się o kolejnych kilka centymetrów.

Dirisha zrobiła mimowolnie krok w tył, ale zatrzymała się i zmusiła do odprężenia.

– To ja byłam tą dziewczyną. Uratowałam mi tyłek.

– Nic takiego nie kojarzę, czarnulko. Mam to gdzieś.

Pokręciła głową.

– Ale ja nie. To zdarzenie zmieniło moje życie.

– I co, zostałam graczem? – zaśmiała się kobieta. – Podążasz pieprzoną Drogą? Ja pierdołę... To kim byłaś wcześniej?

– Dziewczyną do towarzystwa.

– Niech mnie szlag, to niezła zmiana! Rzeczywiście, masz się czym pochwalić.

Znow się przysunęła i uniosła dłonie.

– Poczekaj – zatrzymała ją Dirisha. – Nie mogę z tobą walczyć. To ty pokazałaś mi drogę ucieczki. Pracowałam długie lata, by zostać kimś takim jak ty, kimś równie dobrym.

– Cóż, a zatem masz szansę sprawdzić, czy ci się udało, mała siostrzyczko. A może lepiej nazwać cię córeczką?

– Słuchaj, nie mam na to ochoty. Zapomnij, że mnie widziałaś.

– Niby jak? Przyniosłaś ze sobą tę pieprzoną historię. Byłam jednym z najlepszych graczy, gdy ty jeszcze szczałaś w pieluchy. I wciąż jestem.

– Nie zamierzam temu przeczyć.

– A wierzysz mi, czarnulko? Wierzysz, że byłam lepsza od ciebie wtedy w pubie i że nadal jestem lepsza?

Dirisha poczuła nieprzyjemne ukłucie urażonej dumy.

– Tak, wtedy na pewno byłaś lepsza. Wtedy. Kiedyś. Wiem, jak byłaś dobra, tysiące razy odgrywałam w wyobraźni twoje ruchy, ale...

– Ale teraz jestem stara i powolna, a ty młoda i szybka, tak?

W sercu Dirishy zapłonął gniew. Próbowwała dać tej kobiecie szansę na wycofanie się z walki, której nie chciała – a ona nie zamierzała z niej skorzystać?

– Co, nie myślę się, dziwko z aspiracjami?

W jednej chwili spokój i opanowanie wyparowały. Dirisha nabrała tchu.

– Nie mylisz się.

Jej przeciwniczka rzuciła się do ataku.

Piętnaście sekund później kobieta, która niegdyś uratowała Dirishy życie, leżała nieprzytomna w pyłe. Nie była martwa ani nawet poważnie kontuzjowana – w ten sposób Dirisha pokazała, jak bardzo nad nią góruje.

Nie udało jej się wtedy zrozumieć sensu tej walki.

* * *

Dirisha Zuri – pełne imię w jej ojczystym języku oznaczało „okno na piękno” – wpatrywała się w Matador Villę. Wspomnienie walki z kobietą, która wyświadczyła jej niegdyś ogromną przysługę, bolało za każdym razem, gdy je przywoływała. Zrozumiała, dlaczego nieznajoma postanowiła walczyć, lecz miało to miejsce o wiele później, gdy i ją zaczęła nużyć Droga. Zrozumiała wiele innych rzeczy. Gdyby była wówczas odrobinę mądrzejsza, wycofałaby się i oddała honor bohaterce z dzieciństwa. Mogła nawet walczyć i przegrać – udawać, że przegrywa – nie zaznałaby przecież więcej bólu niż podczas sparingów z Instru’isto. Ale nie okazała mądrości, młoda i zadufana w sobie. Stawiła czoła starszej kobiecie i pobiła ją tak, by już zawsze pamiętały, kto jest lepszym wojownikiem. Teraz wiedziała, że popełniła wielki grzech. Była mądrzejsza o kolejne doświadczenie.

A jakie doświadczenia będzie wspominać za rok, pięć lub dwadzieścia lat, przy założeniu, że przeżyje tak długo? Czy na pewno zmądrzeje? A może okaże się, że przez cały czas się oszukiwała?

Dirisha patrzyła na szkołę oparta o pień drzewa. Dręczyło ją więcej rozterek niż kiedykolwiek wcześniej. Cholera...

DWANAŚCIE

Talvo Sen, Najwyższy Prezydent i Umiłowany Władca Życia Wspaniałego Państwa Korporacyjnego Mhaza, uśmiechał się nerwowo wgapiiony w obiektyw kamery. Wielu spośród ośmiomilionowej rzeszy jego poddanych miało oglądać wystąpienie i oczywiście chciał zrobić dobre wrażenie.

Z Dirishą ta sztuczka nie mogła się udać. Sen należał do ludzi, którymi niezbyt się przejmowała, ale sprawował władzę. Najważniejsze, żeby przeżył holowystąpienie. Na ogół podobne wydarzenia nie budziły niczyjego niepokoju, gdyż pojawienie się w sieci audiowizualnej rzadko okazywało się śmiertelne, niemniej ktoś chciał Sena zamordować, a zadaniem Dirishy było pokrzyżować mu plany.

Stała po lewej stronie prezydenta, ubrana w miękkie, szary ortoskafander z elastycznej tkaniny. Oczywiście założyła również spetsdödy. Obserwowała, jak zespół techników w miarę upływu czasu coraz bardziej gorączkowo uwija się przy sprzęcie transmisyjnym. Pomieszczenie było spore, miało dobre osiem metrów kwadratowych – prezydent Sen nie mógł przecież wystąpić w mniej imponującym otoczeniu – i nawet czwórka techników, którzy rozłożyli wokół masę sprzętu, nie zdołała zatrzeć wrażenia wielkiej przestrzeni. Główne drzwi zabezpieczono aparaturą alarmową – skanerami osiowymi oraz wykrywaczami broni – natomiast wyjście awaryjne dało się otworzyć tylko od środka. Mógł to zresztą zrobić jedynie prezydent, przytykając do czytnika prawą dłoń. Podłoga i sufit były wykonane z ferropianki i wyposażone w liczne sensory.

Dirisha osobiście sprawdziła każdego technika, który wchodził do pomieszczenia. Przeprowadziła skanowanie w poszukiwaniu broni oraz skanowanie spec-chromatyczne w celu wykrycia ewentualnych trucizn kontaktowych. Cała czwórka okazała się czysta. Dowiedziawszy się o nagraniu, Dirisha w przyspieszonym tempie zapoznała się z tajnikami techniki transmisyjnej. Sprawdzając każdy element wyposażenia, który pozwolono wnieść do pomieszczenia, dokładnie wiedziała, co sprawdza i jak owo coś powinno wyglądać. Teoretycznie żaden człowiek uzbrojony w niebezpieczną broń nie miał wielkich szans, by dostać się do środka. Dirisha rozstawiła również kilka opancerzonych monitorów wokół budynku, więc jeśli ktoś planował sforsować obronę za pomocą broni ciężkiej, będzie miała

wystarczająco dużo czasu, by wyprowadzić Sena wyjściem ewakuacyjnym.

Była przekonana, że ma sytuację pod kontrolą.

Jeden z techników upuścił oprawę obiektywu. Drogi gadżet spadł z łoskotem na dywan i odbił się kilkakrotnie. Cały zespół zasługiwał na miano niezguł – już po raz drugi wypadał komuś z rąk element wyposażenia studia.

– Jedna minuta, prezydencie Sen – zakomunikował inny technik.

Władca pochylił się i ułożył dłonie płasko na stole, po czym wykonał coś na kształt mizernej pompki. Nawyk, który powtarzał, gdy był zdenerwowany.

„Cóż, trudno się dziwić”, pomyślała Dirisha. „Nie jest popularnym człowiekiem”.

W samym zeszłym tygodniu trzykrotnie próbowano wysłać go do krainy przodków i trzykrotnie Dirisha interweniowała, ocalając mu życie. Fanatyk z ręcznym miotaczem rzucił się na niego z tłumu, kucharka przyrządziła mu zatruty posiłek, a religijny przywódca wysłał grupę zamachowców z bombą. Dirisha powstrzymała ich wszystkich. Żadnych wpadek, przynajmniej na razie.

– Trzydzieści sekund – technik odmierzający czas spojrzął na ekran. – Kocia krew, Rimo, tylny reflektor stoi w kadrze. Chodź tu i przesun go natychmiast!

Wywołany po imieniu technik popędził, by przesunąć przeszkadzający sprzęt. Dirisha patrzyła, jak okrąża prezydenta od tyłu; trzymała spetsdödy w pogotowiu, gdyby tylko znalazł się choć centymetr za blisko. Mężczyzna przypadł do reflektora i szarpnął go, ale zawadził stopą o podstawę. Niemal upadł na twarz, próbując odzyskać równowagę i uderzył w drzwi wyjścia ewakuacyjnego. Odbił się od nich z jękiem.

– Rimo, dalej! Zostało dziesięć sekund!

Rimo uśmiechnął się zawstydzony i znów złapał za reflektor.

– Już dobrze, a teraz zjeżdżaj z kadru!

Wycofał się za holokamerę.

Dirisha spojrzała na głównego technika.

– Siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... Zaczynamy!

Prezydent Sen wyszczerzył zęby i w tej samej chwili operatorka niespodziewanie wyszarpnęła metalowe ostrze z podstawy kamery.

– Śmierć dyktatorom! – wrzasnęła i rzuciła się na Sena. Nie zdołała pokonać nawet pół metra, gdy w pomieszczeniu rozbrzmiały kaszlnięcia spetsdödów. Kilka strzałek trafiło operatorkę.

„Co za idiotyczny atak, przecież to nie miało szans powodzenia, dlaczego... „

Nagle rozległo się podwójne syknięcie innej pary spetsdödów. Dirisha błyskawicznie odwróciła się ku szarej postaci, którą dostrzegła kątem oka. Ktoś wybiegł z wyjścia ewakuacyjnego! Prezydent złapał się za policzek. Nim Dirisha uniosła rękę i odpowiedziała ogniem, kolejne strzałki wbiły się w jej brzuch. Cholera! Nie zdążyła ustrzelić drugiego z napastników, bo zanim nacisnęła spust, ten skrył się w wyjściu ewakuacyjnym. Strzałki niegroźnie przesyły powietrze.

Cholera, jasna cholera! Oboje byli martwi, zarówno Sen, jak i ona!

Dirisha wstała z przykłąku. Prezydent Sen wyglądał zza biurka, a operatorka z metalowym ostrzem poprawiała zmierzwione włosy.

Szara postać weszła do pokoju. Pen.

– Właśnie zabiłem twojego klienta – rzekł. – I ciebie razem z nim. Jak tego dokonałem?

Dirisha westchnęła. Krok po kroku odegrała ostatnie kilka minut symulacji w myślach i przypomniała sobie niezdarnych techników oraz drzwi otwierające się tylko od wewnątrz.

– Odcisk dłoni Sena na zamku.

Technik o imieniu Rimo uniósł prawą dłoń. Zerwał z niej cieniutką plastikową błonkę. Dirisha dostrzegła na niej cieniutkie linie i żłobienia. Pokręciła głową.

– Miałaś kilka ostrzeżeń, zgadza się? – Pen uniósł brew.

– Nawyk Sena, opieranie się o blat biurka – burknęła zde gustowana Dirisha.

– Co jeszcze?

– Niezdarni technicy. Ten sprzęt jest zbyt drogi, żeby mogła się nim bawić pierwsza lepsza fajtlapa. To wszystko miało służyć jako zasłona, by któryś z nich mógł się dostać do drzwi.

– Co jeszcze?

– Samobójczy atak. Nie było szans zamordować kogoś w ten sposób. Nawet Sen by się przed czymś takim obronił.

Pen pokiwał głową.

– Wyłączcie to.

Ściany „biura prezydenckiego” zaczęły tracić ostrość, aż wreszcie holograficzna symulacja wytworzona przez komputer przygasła i pozwoliła,

by do pomieszczenia na powrót wkradła się rzeczywistość. Wraz z pozostałymi adeptami i instruktorami Dirisha stała pośrodku ogromnej budowli zwieńczonej kopułą, całkowicie pustej, jeśli nie liczyć ich samych. Wiedziała, że adepci widzieli jej porażkę, a jeśli nie, to na pewno obejrzą później nagranie. Wzorowo zawałiła sprawę.

– Analiza faktów to świetna sprawa, ale czasami bywa na nią za późno – powiedział Pen. – Na szczęście to tylko scenariusz, a nie rzeczywistość. Wyciągnijcie wnioski z tego, co dziś widzieliście. Nikt nie powinien popełnić tej samej pomyłki. Nigdy nie wolno uznawać niczego za oczywiste.

Pen nagle urwał.

– Chciałbym zobaczyć osobę, która odpowiada za zaplanowanie ataku.

Drzwi się otworzyły i ktoś wszedł do pomieszczenia. Dirisha uśmiechnęła się i pokręciła smutno głową.

– Powinam była się domyślić.

– Przykro mi – powiedziała Geneva bez uśmiechu.

– Całkiem niepotrzebnie. To najlepsze, co mogłaś dla mnie zrobić. Ta lekcja kiedyś może uratować mi życie.

– Wiem. Tylko dlatego to zrobiłam.

Pen zwrócił się do publiczności.

– Jeśli chcecie uchronić klienta przed losem podopiecznego Dirishy, musicie nauczyć się myśleć tak jak zamachowiec. Jeśli przewidzicie metodę ataku, z pewnością znajdziecie również odpowiednią metodę obrony. W tej pracy nie ma drugiego miejsca ani srebrnych medali. Drugie miejsce jest równoznaczne z porażką. Dirisha ocaliła klienta przed trzema zamachowcami, ale nie przed czwartym. Śmierć oznacza śmierć. Nie zapominajcie o tym.

Pen odwrócił się i w swojej powłóczystej szacie ruszył długimi krokami do wyjścia, co wyglądało dość dramatycznie. Większość widzów podążyła w ślad za nim.

Dirisha spojrzała na Genewę.

– Dlaczego sama nie strzelałaś? Przecież to ty zaplanowałaś zamach...

– Dobranie odpowiednich ludzi do wykonania zadania to także element planu – odparła Geneva. – Pen nadawał się bardziej niż ja.

Dirisha przekrzywiła lekko głowę.

– Serio? Bo tak sobie myślę, że gdyby przyszło co do czego, wygrałabyś z nim walkę na spetsdödy. Widziałam was oboje w akcji.

– Do kogoś innego może bym strzeliła. – Geneva dotknęła ramienia kochanki.

Dirisha poczuła nawrót niepokojącego uczucia, które dręczyło ją, odkąd zbliżyła się do Genevy. Ta dziewczyna ją kochała, nie było co do tego wątpliwości. A wiedza, że Dirisha nie odwzajemnia miłości, niczego dla niej nie zmieniała. Cholera.

– Cóż, ja jestem następną – odezwała się Geneva, niszcząc nastrój chwili.
– Mnie pewnie dorwą za pierwszym razem.

* * *

Myliła się. Dziewięciu adeptów próbowało zamordować jej „klienta”, korpulentnego industrialistę z Ziemi. Geneva uległa dopiero wobec połączonych sił Pena i Rudzielca, lecz mimo to w ostatniej walce zdołała ustrzelić ojca i o włos chybiła Pena.

Nieco później Pen odnalazł Dirishę, gdy ta ćwiczyła układy sumito.

– Wiesz, dlaczego udało nam się zlikwidować klienta Genevy?

– Widziałam scenariusz. Zmylił ją...

– Nie. Nie o to chodzi. Zlikwidowaliśmy go, bo tak naprawdę w ogóle jej na nim nie zależało. Robimy to celowo, dajemy wam za klientów bufonów i idiotów, by przekonać się, czy pozwolicie odczuciom do klienta wpłynąć na jakość wykonanej pracy. Geneva nie lubiła podopiecznego i tak oto straciła czujność.

– Sprała nas dziewięć razy.

– Tak – przyznał Pen i dodał cicho: – Ale gdybyś to ty była jej podopieczną, sprząłaby nas po raz dziesiąty.

Dirisha przerwała ćwiczenie.

– Co to ma znaczyć?

Pen wydawał się nieprzenikniony jak zwykle.

– To znaczy, że twoje odczucia wobec klienta są bardzo ważne. Nawet w najdogodniejszych okolicznościach mężczyźnie czy kobiecie trudno zachować obiektywność – bez względu na to, co to słowo tak naprawdę oznacza – wobec ważnej sprawy. Gdy nie przepadasz za klientem, twoja praca jest jedynie pracą. Jesteś wobec niego obiektywna i tyle. Jeśli go lubisz, podświadomie zaczynasz się bardziej starać. Jeśli go kochasz i wciąż potrafisz wykorzystać profesjonalne umiejętności, klient otrzymuje wszystko, co masz do zaoferowania. Gdybyś to ty była klientką Genevy, ta dziewczyna przesuwalaby planety z miejsca na miejsce, żeby tylko zapewnić ci

bezpieczeństwo. Cała galaktyka nie dałaby jej rady, bo miłość jest potężniejsza od fanatyzmu. Pamiętaj o tym, Dirisho. To ważne.

Pen odwrócił się i odszedł, a Dirisha stała nieruchomo, patrząc na jego plecy. Czasami miała wrażenie, że wszystko, co mówi Pen, jest niejasne i pełne ukrytych znaczeń. Nagle stwierdziła, że właśnie usłyszała coś niebywale ważnego, ale...

Nie miała bladego pojęcia co.

TRZYNAŚCIE

Dirisha wpadła z wizytą do Mayli Wu. Kobieta, którą kiedyś знаła pod pseudonimem Siostrzyczka Imadło, siedziała w pozycji kwiatu lotosu na poduszce w pokoiku medytacyjnym. Jedyne elementy jej ubioru stanowiły nieodłączne spetsdödy. Choć miała zamknięte oczy, Dirisha wiedziała, że Mayli wyczuła jej obecność, gdy tylko wślizgnęła się do pokoju. Bywało, że natrafiała na podobne przykłady wymiany energii, zupełnie jak gdyby *ki* drugiej osoby wpływało i mieszało się z jej własnym. Wiedziała też, że gdyby teraz spróbowała ustrzelić pogrążoną w medytacji Mayli, sama zostałaby trafiona w tej samej sekundzie. Ów zmysł zwany *zanshin* był marzeniem wszystkich kroczących Drogą, częścią oświecenia, które rzekomo dawały Sztuki w chwili osiągnięcia mistrzostwa. Przez wszystkie lata treningu Dirisha doznała tego uczucia tylko kilkakrotnie, za każdym razem przelotnie. Prawdziwi mistrzowie ponoć z nim żyli.

Dziwne, że poczuła to akurat teraz.

Przyklękła i pogrążyła się w oczekiwaniu.

Po dziesięciu minutach Mayli Wu otworzyła oczy. Uśmiechnęła się.

– Siostrze. W czym mogę ci pomóc?

– Potrzebuję odpowiedzi.

– Jasne. – Mayli rozplotła nogi i rozprostowała je przed sobą. Pochyliła się, by dotknąć palców stóp, a potem uniosła nogi wysoko i objęła je rękami.

– Pytaj.

– Dlaczego porzuciłaś karierę lekarską dla pracy dziwki?

– Żeby uczyć się o miłości.

Dirisha pokręciła głową.

– Ja też za młodu robiłam w tym fachu. Nie nauczyłam się nic o miłości, a jedynie o żądzy i egoizmie.

– Twoje poszukiwania zmierzały w niewłaściwym kierunku.

– Odnalazłaś to, czego szukałaś?

– Tak. Natknęłam się na miłość nie raz, ale kilka razy.

Dirisha zastanowiła się nad jej słowami.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zatoczyła ręką łuk, jakby chciała wskazać całą Matador Villę. – Tak naprawdę?

– Pen ci powiedział – odparła z uśmiechem Mayli.

– Wybacz, ale prędzej uwierzę, że dam radę wzbić się w powietrze,

machając rękami, niż zaufam słowom Pena. Ten człowiek to mistrz manipulacji, a jego motywy są dla mnie naprawdę podejrzane.

– Dla ciebie każdy ma podejrzane motywy, siostró. Nikomu nie ufasz i nigdy nie ufałaś. W tym tkwi twoja największa siła.

– Dzięki temu jeszcze żyję.

Mayli pokręciła głową.

– Tak, to twój najsilniejszy atut, ale przy tym również największa słabość. Skaza w perfekcji.

– Co takiego?

Mayli dotknęła krawędzi plastikowej tkanki mocującej prawy spetsdöd do wnętrza dłoni, zdjęła go i ułożyła obok swojego uda. Z drugim spetsdödem zrobiła to samo.

Dirisha wstrzymała oddech. Od chwili przybycia do Villi ani razu nie widziała adepta czy instruktora bez broni. Przyzwyczyła się do widoku uzbrojonych ludzi tak bardzo, że patrząc na Mayli poczuła zimny dreszcz. Dopiero teraz instruktorka wyglądała naprawdę nago, wcześniej była jedynie rozebrana.

– Po co to zrobiłaś?

– Zastrzelisz mnie? Nie odpowiem ogniem, jestem bezbronna.

– Nie, nie zrobię tego. Ale dlaczego...

Dirisha urwała i przyjrzała się uważnie uśmiechowi Mayli.

– Skąd wniosek, że nie strzelę? Tak właśnie myślisz, zgadza się?

– Nie myślę. Ja to wiem.

Uniosła rękę i wycelowała w sam środek klatki piersiowej instruktorki.

– Wystarczy, żebym zgięła palec, a przekonasz się, że nie masz racji.

– Pewnie. Mogłabyś to zrobić bez trudu. Ale nie zrobisz.

Dirisha pozwoliła, by jej ręka opadła. Mayli miała rację. Nie strzeliłaby. Ale skąd ona mogła to wiedzieć?

– Skąd to wiem? – instruktorka wypowiedziała jej milczące pytanie. – Ponieważ ci ufam. Wierzę w twoją uczciwość i prawość. Poczucie sprawiedliwości. Wyszkolenie. Widzę twoją esencję lepiej niż ty sama i stąd wiem takie rzeczy. W tej chwili, w tym miejscu ufam ci całkowicie. Gdyby ktoś tu wszedł i zobaczył mnie bezbronną, na przykład jakiś adept, mógłby zapragnąć kilku łatwych punktów, ale to też jakoś mnie nie martwi. Wiesz czemu?

Dirisha poczuła, jak przepływa przez nią burza emocji, mieszanina

strachu, zdumienia i zaskoczenia. Odpowiedź na pytanie Mayli wydawała się pewna i mocna jak stal, jak blok skompresowanego ołowiu. Dlaczego nikt, kto przechodzi nieopodal, nie ustrzeli Mayli Wu? Bo ja ją ochronię. Dlaczego miałabym ją chronić? Ponieważ ona ufa, że to właśnie zrobię.

– Aha – rzekła Mayli. – Widzę, że rozumiesz. To wielki krok naprzód. Jeden z wielu, które musisz uczynić, ale zawsze jakiś początek. Nawet najdłuższa podróż musi się gdzieś rozpocząć.

Wstrząśnięta Dirisha przez chwilę milczała.

– A więc Pen mówił prawdę? – wykrztusiła, gdy w końcu udało jej się odzyskać głos.

– Oczywiście. Pen nie powiedział ci wszystkiego, ale to, co mówi o naszym wspólnym celu, jest świętą prawdą. Nigdy nie zostałąbyś wybrana i sprowadzona do Villi, gdybyś na swój sposób nie pasowała do jego planu. Konfed zdycha, a gdy wreszcie upadnie, pośród jego ruin zapanuje chaos. Ludzkość, chcąc się podnieść, napotka wielkie trudności. Dbanie o wartości moralne będzie jeszcze trudniejsze. My możemy to zmienić, jeśli zostaniemy należycie wyszkoleni i odpowiednio zmotywowani, a ponadto będziemy szczerze oddani misji. Tego właśnie się tu uczymy. Ale zanim kogokolwiek ocalisz, w pierwszej kolejności musisz uratować siebie.

* * *

Dirisha siedziała na skraju łóżka i opowiadała o całym zajściu Genevie. Miały na sobie tylko bieliznę i spetsdödy.

– Po prostu wiedziała, że do niej nie strzelę – powiedziała Dirisha, a jej kochanka wstała i podeszła do łóżka. – Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości, absolutnie żadnych. Nie rozumiem, dlaczego była tego taka pewna.

Geneva położyła dłonie na szyi kochanki i zaczęła masować koniuszkami palców twardy mięsień czworoboczny. Dirisha nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była spięta do chwili, gdy poczuła dotyk przyjaciółki. Kiepska sprawa, całkiem nieświadomie straciła kontrolę nad mięśniami. Nabrała głęboko tchu, przymknęła powieki i poddała się zabiegom uspokajającym.

Dłonie Genevy zamarły. Chwilę później Dirisha usłyszała cichy odgłos spetsdödów upuszczonych na łóżko. Otworzyła oczy i spojrzała na uśmiechniętą kochankę.

– Cholera – pokręciła głową. – Zaczynam się czuć osaczona.

Geneva podjęła masaż, wbijając palce głębiej w punkty *kiatsu*, jeszcze

bardziej rozluźniając mięśnie.

– Czy tak trudno uwierzyć, że ktoś ci ufa? – zapytała.

– Nie rozumiem po prostu, dlaczego miałabym to robić. Mogłam ją ustrzelić. Ciebie też.

– Pewnie. I wszystko byłoby w porządku.

– Jesteś beznadziejna.

Dotyk Genevy złagodniał i przeszedł w delikatną pieśczość.

– Dlaczego? Dlatego, że cię kocham? I że ci ufam?

Dirisha nic nie powiedziała. Znów ogarnęło ją poczucie zagrożenia, jak zawsze, gdy rozmowa lub rozmyślenia schodziły na temat miłości. Czego się właściwie obawiała?

* * *

Geneva spała w łóżku Dirishy wyczerpana miłosnymi igraszkami. Wyglądała jak małe dziecko. Dirisha nie mogła zmrużyć oka. Siedziała za biurkiem i przyglądała się kochance znad holoprojektora. Należała do tego wygodnego, przyjaznego świata od dawna, unosiła się w nim i pływała, nie kwestionując tak naprawdę rządzących nim praw – nie zaglądało się przecież darowanemu koniowi w zęby – ale czuła, że zbliżała się chwila, kiedy powinna to wreszcie zrobić. Otrzymała tu nie tylko wtajemniczenie w sumito i trening, dzięki któremu potrafiła trafić strzałką ważkę w locie. To, co dostała, przekraczało jej pierwotne oczekiwania i czuła, że musi zdobyć więcej informacji. W molekularnym mózgu komputera Matador Villi zgromadzono wiedzę, do której chciała się dostać i właśnie obmyśliła, jak tego dokona.

Wstała i podeszła do szafki. Otworzyła ją, przytykając kciuk do zamka, i wyciągnęła niewielki holoprojektor, który kupiła od handlarza w mieście. Nikt w szkole nie wiedział o tym urządzeniu. Nikt też nie zdawał sobie sprawy, że Dirisha spędziła mnóstwo czasu w archiwach, przeglądając ogólnodostępne dane. Oprócz holoprojektora wyciągnęła z szafki plastikowe opakowanie opatrzone podpisem „Gospodarki galaktycznej współczesnej doby”. W środku znajdowało się sześć uformowanych w próżni stalowych kul pamięciowych. Pięć rzeczywiście zawierało dane, które mogły zaintrygować jedynie studenta ekonomii, ale na szóstej zapisano coś jeszcze – dekodery haseł dostępu do osobistych informacji. Dirisha nie miała pewności, czy zadziała, wszystko zależało od stopnia zaawansowania zabezpieczeń komputera szkoły.

Przez moment kusiło ją, by uruchomić konsolę w pokoju. Geneva spała jak zabita i trzeba by eksplozji, by ją obudzić, przynajmniej dopóki Dirisha znajdowała się w pobliżu. Gdyby jednak mimo wszystko Geneva się obudziła, Dirisha musiałaby się tłumaczyć, a nie miała na to najmniejszej ochoty. Nie, lepiej zapewnić sobie odrobinę prywatności.

Było już późno i choć w Villi życie nigdy całkiem nie zamierało, szansa natknięcia się na kogokolwiek w części sypialnej wydawała się znikoma. Dirisha przemknęła cicho przez korytarze i zamknęła się w niewielkim gabinecie. Nikt jej nie widział.

Dopiero tam wdusiła przycisk on, uruchamiając konsolę. Nad niewielkim biurkiem pojawiły się trzy zasady, jak za każdym razem, gdy na terenie szkoły uruchamiano którykolwiek komputer. Słowa jarzyły się jasnym światłem, jakby tworzyły je neonowe rurki.

Dirisha pospiesznie skonfigurowała projektor i wsunęła kulę do czytnika. Usłyszała cichy szum, gdy projektor rozpoczął pracę. Dotknęła klawisza odtwarzanie, a potem zatrzymaj.

Powietrze przed konsolą zamigotało i pojawiła się animacja wyglądającego nieco upiornie Pena. Dirisha podregulowała obraz i postać nabrała wyrazistości. Wydawała się niemalże prawdziwa – zamarła z szeroko otwartymi ustami. Z tak niewielkiej odległości holoprojekcja nie zmyliłaby człowieka, ale mogła zmylić zdalnie sterowaną kamerę komputera. Dirisha spojrzała na zegarek. Zmierzyła czas trwania projekcji i przećwiczyła sekwencję kilka razy. Znów wcisnęła klawisz odtwarzanie, odliczyła trzy sekundy, a potem uruchomiła tryb dostęp w konsoli. Nabrała głęboko tchu. Komputer został skonfigurowany w taki sposób, by chronić prywatne dane. Istniały cztery główne sposoby blokowania dostępu – hasła, próbki głosu, identyfikacja wizualna lub odciski dłoni – lecz bywało, że stosowano połączenia kilku z nich. Większość adeptów i instruktorów poprzestawała na zabezpieczeniu danych głosem lub wizją. Kiedy komputer rozpoznawał osobę, udzielał jej dostępu do odpowiednich informacji na podstawie jej uprawnień. Nie udostępniłby, przykładowo, Genevie danych, które wyświetlał, widząc twarz Dirishy i vice versa. Proste, ale zazwyczaj dość skuteczne.

W powietrzu zajaśniał nowy komunikat: system aktywny.

Animacja Pena przemówiła:

– Dane osobiste.

Nagranie tych dwóch słów i przerobienie ich tak, by brzmiały naturalnie, zabrało Dirishy niemal dziewięć godzin. Teraz pora na odliczanie. Raz, dwa, trzy...

– Wstępna sekwencja identyfikacyjna zakończona. Identyfikacja głosowa i wizualna zakończona pomyślnie. Wymagane potwierdzenie.

Dirisha powoli wypuściła powietrze z płuc. Dopiero teraz zaczynały się schody. Zakładała, że Pen zabezpieczy dane w największym możliwym stopniu. Jak dotąd szło jak po maśle... Animacja Pena nachyliła się nad holoprojektorem i wyciągnęła dłoń w kierunku czujnika. W chwili, gdy powinna go dotknąć, Dirisha niespostrzeżenie przyłożyła do niego kciuk, na który uprzednio nałożyła cieniutką warstewkę plastyku z liniami papilarnymi Pena.

– Drugi etap identyfikacji zakończony. Proszę podać kod operacyjny.

Animacja zamarła. Dirisha uświadomiła sobie, że źle wyliczyła odstępów czasu między sekwencjami. Czy komputer uzna zwłokę za błąd? Czy istniał jakiś limit oczekiwania?

– Khadaji – rzekła animacja.

Dirisha znów wstrzymała oddech. Wyciągnęła rękę, by dotknąć przycisku zatrzymaj na projektorze. Wykorzystanie nazwiska dawnego właściciela „Nefrytowego Kwiatu” było strzałem w ciemno, oprócz niego nagrała jeszcze trzy inne hasła. Gdyby komputer uznał słowo „Khadaji” za błąd, animacja Pena podałaaby hasło „Matador”. Gdyby i to nie zadziałało, miała jeszcze „sumito” i „spetsdöd” w rezerwie. Po wyczerpaniu możliwości gra byłaby w zasadzie skończona, a Dirisha znalazłaby się po uszy w gównie. Program zabezpieczający na pewno powiadomiłby Pena o próbach uzyskania dostępu do jego osobistych plików.

Kto nie ryzykuje, ten nie je...

– Kod przyjęty.

Dirisha gwałtownie wypuściła powietrze z płuc. Ha! A więc nawet nieprzeniknionego Pena dało się czasem rozgryźć! Wyłączyła projektor i usiadła przed terminalem. Wpisała słowo indeks i zamarła w oczekiwaniu na sekrety, które się przed nią otworzą.

CZTERNAŚCIE

Osobiste archiwa Pena były ogromne – zawierały setki dokumentów, a w nich fascynujące szczegóły związane z biografiami adeptów, nazwiska przekupionych urzędników, spory materiał na temat sekretów pracy barmana, a nawet jeden tekst zatytułowany *Miłość*. Wszystko to stanowiło interesującą lekturę, ale nie ujawniało przyczyn istnienia szkoły. Poza tym, co Dirisha już wiedziała, nie znalazła niczego, co wskazywałoby na jakiś inny, tajny cel.

Siedząc przed terminalem, pospiesznie zapoznała się z zawartością kilkunastu plików. W pierwszej kolejności przeczytała własną biografię, częściowo spisaną przez wysłanników Pena. Sprawozdanie stworzone w oparciu o różne punkty widzenia agentów, przedstawiało okres od opuszczenia Khadajego na Greaves aż do przybycia na Renault. Oprócz tego Dirisha trafiła na sporządzone przez instruktorów oceny jej postępów opatrzone komentarzami Pena. Jak dotąd wyrażali się o niej dość pochlebnie.

Plik dotyczący Genevy zawierał podobne komentarze.

Znalazła też pliki Borka, Sleela, Siostrzyczki, a nawet Khadajego. Tych nie chciało jej się nawet czytać.

Nie mogła natomiast znaleźć pliku zatytułowanego „Pen”.

Cholera. Włamanie się do prywatnych zasobów Pena kosztowało ją tyle zachodu, a tu nic... Istniała jeszcze szansa, że ukrył coś ważnego w jakimś niewinnie zatytułowanym folderze – Dirisha przechowywała kulkę z kodami niemalże na widoku, kierując się zasadą, że najciemniej jest zwykle pod latarnią. Chcąc odnaleźć coś takiego, musiałaby jednak przejrzeć wszystkie dokumenty krok po kroku i liczyć na łut szczęścia. Tymczasem do szczęścia też nie miała zaufania.

Zerknęła na zegar w rogu holoprojeksi. Minęły prawie dwie godziny, odkąd rozpoczęła lekturę, a tymczasem ledwie liznęła temat. Cóż, znała już sposób na włamanie się do zasobów Pena, więc zawsze może powrócić do szperania. Z czasem pewnie przejrzy wszystkie pliki. Nie mogła się jednak oprzeć wrażeniu, że jej plan to kompletna strata czasu. Niczego nie znajdzie, choćby na głowie stanęła. Pen nie miał powodu podejrzewać, że ktoś ominie systemy bezpieczeństwa, by uzyskać dostęp do jego osobistych danych, ale jeśli chciał coś ukryć, raczej nie zapisał tego w pamięci ogólnodostępnego komputera.

Czyżby zatem mówił prawdę o powodach, jakie kierowały nim – oraz

Khadajim – gdy zakładali szkołę? Nie kryło się w tym nic więcej? Przecież to wydawało się zbyt proste...

Ciśnienie w pokoju nagle uległo zmianie. Wpatrzona w holoprojekcję Dirisha uświadomiła sobie, że ktoś otworzył drzwi. Drzwi, które zamknęła. Odwróciła się, unosząc rękę uzbrojoną w spetsdöd...

– Znalazłaś coś ciekawego? – zapytał stojący w progu Pen.

Przyłapał ją!

Obezwładniło ją poczucie winy, ale mimo to zmusiła się do uśmiechu.

– Nic godnego uwagi – wykrztusiła.

Pen podszedł do konsoli. Na oczach Dirishy wstukał jakiś kod.

– Wyświetl status identyfikacyjny Dirishy Zuri – powiedział.

– Polecenie przyjęte. Wyświetlam.

– Dobrze. Przydziel Dirishy Zuri otwarty kanał do wszelkich danych chronionych moim trybem bezpieczeństwa.

– Polecenie przyjęte.

Pen skasował zawartość ekranu.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Zostały mi dwa wyjścia: wprowadzić więcej zabezpieczeń, na przykład skanowanie siatkówki oka, skomplikowane kody i tym podobne, co zapewne powstrzymałoby cię przed wykradaniem informacji. Ale co bym dzięki temu zyskał? Zaczęłabyś myśleć, że naprawdę mam coś do ukrycia. Drugie wyjście to pozwolić ci oglądać wszystko, co chcesz. Kwestia zaufania.

Dirisha pokręciła głową.

– Zastanawiam się, dlaczego, do cholery, wszyscy wokół okazują mi tyle pieprzonego zaufania! Nie zasługuję na to!

– Może.

– Idealny przykład: właśnie włamałam się do twoich archiwów. Na twoim miejscu wkurzyłabym się, i to nieźle!

Wokół oczu Pena pojawiły się zmarszczki.

– Nie gniewam się. Twoje postępowanie wskazuje na próbę przejęcia inicjatywy.

– Kurwa... Skąd wiedziałeś, co robię?

– Zainstalowałem program, który informuje mnie o każdej próbie złamania zabezpieczeń.

– Powinnaś była się domyślić.

– Nie jesteś pierwszą osobą, która próbowała. Ani pierwszą, której się

udało.

To była zaskakująca informacja.

– Kilku dokonało tego przed tobą.

W pierwszym odruchu Dirisha chciała zapytać o imiona, ale się powstrzymała. Gdyby Pen uznał, że powinna je znać, sam by je wyjawiał.

– Takiego zachowania można się spodziewać – ciągnął. – Nie szkolimy tu robotów. Ludzie, którzy nie chcą wiedzieć więcej, niż im się mówi, prawdopodobnie nie sprawdzą się w terenie.

Dirisha wstała i wbiła wzrok w twarz Pena. Niemalże dorównywała mu wzrostem.

– A więc o co tu chodzi? Nie masz żadnych sekretów? Nie upychasz trupów po szafach?

– Może upycham. Każdy z nas ma swoje sekrety. Ale wszystko, co ci powiedziałem o naszych celach, to prawda. A poza tym musisz przyznać, że dobrze ci tutaj, czyż nie?

Dirisha zaczęła się zastanawiać nad odpowiedzią, ale nie trwało to długo. Uświadomiła sobie, że Pen ma rację – czuła się w szkole naprawdę dobrze. Może ten skryty mężczyzna był podstępny intrygantem, lecz wiele ją nauczył. I choć wciąż nie miała pewności, w co tak naprawdę została wciągnięta, musiała przyznać, że czuła się szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej. Czy było w świecie coś ważniejszego?

– Tak – odpowiedziała. – Dobrze mi tu.

Zmarszczki w kącikach oczu Pena stały się jeszcze głębsze.

– Dobrze. Coraz lepiej.

CZEŚĆ DRUGA

„Poznając rzeczy, które istnieją, poznajesz również i te, które nie istnieją.”

Miyamoto Musashi

*„Bywają bowiem trzy rodzaje umysłów:
jeden rozumie sam przez się, drugi rozumie to, co mu inni pokazują,
trzeci nie rozumie ani sam przez się, ani gdy mu inni pokazują. „*

Machiavelli

Niccolo Machiavelli, *Książę*,
przeł. Czesław Nanke, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2004.

PIĘTNAŚCIE

Dwóch spośród trzech nowych adeptów było bardzo dobrych, trzeci, Massey, znakomity. Dirisha przyglądała się, jak przechodzi Dziewięćdziesiąt Siedem Kroków i kiwała z aprobatą głową. Po tygodniu w szkole dotarł do jedenastego kroku. Przyuważyła go też rozebranego na siłowni i wiedziała, że ma doskonale rozwiniętą muskulaturę, nawet w porównaniu do adeptów, którzy spędzili w szkole długie miesiące. Dwóch pierwszych było całkiem niezłych, ale Massey miał naprawdę ogromny potencjał/Jeśli jego intelekt szedł w parze z możliwościami fizycznymi, zapowiadał się na niesamowitego Matadora.

Dirisha patrzyła, jak jeden z nowych potyka się na ósmym kroku. Uśmiechnęła się mimowolnie. Po czterech latach w szkole mogła przejść do końca z zawiązanymi oczami. Po czterech latach codziennych ćwiczeń osiągnęła mistrzostwo w wielu dziedzinach, wliczając w to Dziewięćdziesiąt Siedem Kroków. Gdyby przyszło jej powrócić na Drogę Musashiego, w przeciągu kilkunastu dni znalazłaby się w pierwszej dwunastce najlepszych wojowników. Nic jednak nie mogło sprawić, by to zrobiła.

Obserwowała jednego z najlepszych adeptów, jacy kiedykolwiek zagościli w szkole, kiedy podszedł do niej Pen.

Masseyowi udał się dwunasty krok. Dirisha niemalże potrafiła odczytać jego myśli, gdy usiłował tak obrócić ciało, by wykonać trzynasty. Wiedział, że musi istnieć jakiś sposób, przecież widział, jak inni to robią. Na pewno dało się postawić ten cholerny trzynasty krok!

– Co o nim sądzisz? – zapytał Pen.

– Jest bardzo dobry. A właściwie znakomity. Gdzie go znalazłeś?

– Na Ziemi. Podobno działał jako niezależny kurier przemysłowy z antykonfederacyjnymi przekonaniem.

Dirisha znała Pena zbyt długo, by przeoczyć najważniejsze słowo.

– Podobno?

Massey wykonał obrót, po którym niemalże stracił równowagę. Cudem uchronił się przed upadkiem i dopiął swego – wykonał trzynasty krok. Skorzystał z interesującej techniki – nieco niezdarnej, ale do przyjęcia. Uśmiechnął się.

Pen pokiwał głową. Jego oczy błyszczały w cieniu kaptura.

– Zebrał doskonałe opinie. Jeden z moich agentów przeprowadził

drobiazgowo dochodzenie w sprawie jego pochodzenia i wyszło na to, że facet jest czysty jak łąza. Urodził się w zwykłej ziemskiej rodzinie, ubogiej, ale uczciwej. Skończył szkołę, pomagając jednocześnie utrzymać się bratu i siostrze, gdyż jego biologiczni rodzice zginęli podczas zamieszek. Zwolennik politycznej niezależności, uniwersalistyczny eklektyk, pracowity człowiek, który toleruje Konfed tylko dlatego, że musi.

Massey podjął próbę wykonania kolejnego kroku, ale stracił równowagę i upadł. Wrócił na początek ciągu. Upadek na którymkolwiek etapie ćwiczenia oznaczał powrót do początku, nawet jeśli dobrnęło się do kroku dziewięćdziesiątego szóstego.

– Brzmi obiecująco – stwierdziła Dirisha.

Pen pokiwał głową, lecz nie skomentował uwagi. Najwyraźniej do czegoś zmierzał, ale ukryte znaczenie słów zawisło między nimi niewypowiedziane.

– A więc co z nim nie tak?

Uśmiechnął się. Jak zwykle ukrywał twarz za szarą szatą, ale dla kogoś, kto znał go tak długo jak Dirisha, jej wyraz zawsze był oczywisty.

– To szpieg.

Massey płynnie przeszedł dziesięć pierwszych kroków i zatrzymał się na moment przed jedenastym. Pozostali adepci dotarli najwyżej do ósmego.

– Szpieguje? Dla kogo?

– Dla Konfedu, rzecz jasna. Nie jestem jeszcze pewien, dla której agencji, ale przypuszczam, że należy do *Soldatutmarkt*. Przysłał go Wall.

Dirisha odwróciła się od ćwiczących i spojrzała Penowi prosto w oczy.

– Marcus Jefferson Wall?

Poczuła, jak po kręgosłupie przechodzi jej zimny dreszcz i niknie gdzieś w okolicy żołądka.

– Ten sam.

– Marcus Jefferson Wall – powtórzyła Dirisha. – Szara eminencja, władca marionetek sterujący poczynaniami Prezydenta Konfederacji, najprawdopodobniej najgroźniejszy i najpotężniejszy z żyjących obecnie ludzi.

– Cieszę się, że odrobiłaś lekcje.

– Twierdzisz, że Massey jest szpiegiem na usługach tego człowieka, a mimo to wpuszczasz go do szkoły?

Pen zerknął na Dirishę, a potem na Massey'a, który ponownie przymierzał się do czternastego kroku.

– Tak.

– Ale... dlaczego?

– Słyszałaś kiedyś powiedzenie, że lepsze zło znane niż nieznanne?

– Nie.

– Od czasu otwarcia szkoły wyszkoliliśmy pięćdziesięciu trzech Matadorów, nie licząc tych, którzy zostali z nami w charakterze instruktorów. Tych pięćdziesięciu trzech ludzi, mężczyzn, kobiet i mutków, pracuje teraz dla najpotężniejszych i najbogatszych mężczyzn, kobiet i mutków galaktyki, a wszyscy oni żywią przekonania antykonfederacyjne. Jak dotąd nasi Matadorzy udaremnili trzydzieści dziewięć prób zabójstwa. Nie stracili ani jednego klienta.

Massey poprawnie wykonał czternasty krok, co było wprost niezwykle. Dirisha odwróciła się do Pena.

– W interesie ludzi takich jak Marcus Wall leży zdobywanie wszelkim kosztem informacji o każdym istotnym wydarzeniu. Zabójstwa lub próby zabójstw wymierzone w osoby, które stać na kupowanie i sprzedawanie planet, z pewnością przyciągają jego uwagę. Nie było wątpliwości, że prędzej czy później zwróci na nas uwagę.

– Kapuję – skinęła głową Dirisha. – Ale czemu od razu szpieg?

– Ci, którzy sprawują władzę przy pomocy podstępnych metod, nie potrafią działać bezpośrednio. Poza tym, cóż... Zainteresował się nami również ze względów osobistych.

– Ha! Jak do tego doszło?

– Chciał wynająć Matadora, ale odrzuciliśmy ofertę.

– Odrzuciliście ofertę Walla? Na Changa, Pen, to przecież umożliwiłoby nam dokonanie przewrotu! Straciliśmy szansę umieszczenia pluskwy w jego uchu...

– Nie. Nie będziemy chronić Walla. Nigdy.

Dirisha ponownie skupiła się na obserwowaniu ćwiczeń Maseya. Był znakomity, ale nie miał szans na wykonanie kolejnego kroku, nie tego dnia. Znów się przewrócił.

– Nie przyjmujemy zgłoszeń od ludzi, którzy pragną zostać Matadorami – rzekł Pen. – Wall nakłonił więc jednego z moich agentów, by zaproponował Maseya jako kandydata, a do tego wybielił go w kategoriach, które biorę pod uwagę podczas ostatecznej selekcji.

– Jak się zorientowałaś?

Pen odpowiedział zagadkowym uśmiechem.

Dirisha zamrugła. Blask jej zielonych oczu przygasł, gdy przypomniała sobie prosty wierszyk o pchłach na grzbietach większych pcheł, stojących na grzbietach jeszcze większych i tak dalej, *ad infinitum*.

Czy istniało coś, co Pen pozostawiał przypadkowi?

– A więc pozwoliłeś, by tu przybył.

– Dopóki znajduje się wśród nas – odparł Pen – dopóty nie ma większych szans, by Wall przysłał kolejnego szpiega. Zapewne wychodzi z założenia, że w najgorszym wypadku wyszkoli sobie u nas własnego ochroniarza, a w najlepszym odkryje spisek zagrażający całej Konfederacji. Któż może wiedzieć, o czym ten człowiek myśli?

Dirisha nie spuszczała oczu z Maseya, który uparcie powracał na początek ciągu śladów. Nagle nabrała podejrzeń, że Pen doskonale wie, jakie myśli kotłują się w głowie Marcusa Walla. Może i był najpotężniejszym i najbardziej niebezpiecznym człowiekiem w galaktyce, ale mimo to nie życzyłaby mu wroga takiego jak Pen.

* * *

Sleel powrócił z San Yubi. Dirisha stała obok niego na strzelnicy i przyglądała się jego treningowi. Wyrzucał w powietrze pusty magazynek po ćwiczebnych pociskach i pruł do niego, trafiając osiem razy na dziesięć, co czyniło go nieco lepszym średniakiem wśród szkolnych snajperów. Irytowało go to niemożliwie, gdyż Sleel nienawidził być gorszy od kogokolwiek w czymkolwiek. Świadomość, że są lepsi, stwarzała mu w życiu kolejne cele. Nie zarzucał wysiłków aż do chwili, gdy osiągał w danej dziedzinie absolutne mistrzostwo.

– Jak wycieczka? – spytała Dirisha.

– W porządku. – Sleel wzruszył ramionami.

Wyszczrzyła zęby i sięgnęła po garść magazynków. Puste pojemniki z twardego plastiku zagrzechotały, a potem zawirowały, wyrzucone wysoko w powietrze. Dirisha bez namysłu poderwała obie ręce i otworzyła ogień ze spetsdödów. Wirujące magazynki podskakiwały, trafiane jeden po drugim. Pięć celów, pięć trafień.

Sleel obrzucił ją wrogim spojrzeniem, ale tylko zacisnął zęby.

Biedny Sleel, jakież on był przewidywalny! Dirisha dobrze wiedziała, że trzeba go w czymś pokonać, by go zmusić do gadania. Nie znosił porażek i gotów był zrobić cokolwiek, by się odegrać. Jak choćby zdradzić sekret,

który poznał jako pierwszy w całej Villi.

– Spędziłem trochę czasu z asystentem Rajeema Carlosa na San Yubi. W hotelu „Trzy Palce”, najbardziej ekskluzywnym kurorcie w systemie.

Dirisha głośno westchnęła, udając, że zrobił na niej wrażenie.

– Carlos jest szefem Unii Antag. Cel numer jeden dla sympatyków Konfedu.

– Serio? – Oczywiście dobrze o tym wiedziała, ale lepiej było poudawać ignorantkę, by Sleel mógł błysnąć wiedzą.

– Aha. I wygląda na to, że przydałby mu się Matador. Będę prowadził negocjacje, żeby go do nas ściągnąć. Przyjrzy się naszym metodom działania.

Dirisha znów poczuła ukłucie chłodu. Pen miałby pozwolić potencjalnemu klientowi oglądać Villę? Co tu się działo? Najpierw szpieg, a potem klient? Jeśli Penowi wciąż zależało na względach bezpieczeństwa, to takie decyzje wydawały się pozbawione sensu.

Sleel uśmiechał się, wyraźnie zadowolony z siebie.

– Dobrze wiedzieć – powiedziała. – Jeśli chcesz prowadzić celniejszy ogień, nie poruszaj rękami tak gwałtownie. Gdy strzelasz do wielu celów lub celów ruchomych, musisz wodzić ręką na podobieństwo fali.

Wyrzuciła kolejny magazynek i bez trudu trafiła go z lewej ręki.

Sleel przyglądał się uważnie jej ruchom i w końcu skinął głową, co było najbardziej wyszukaną formą podziękowania, na jaką potrafił się zdobyć.

Dirisha opuściła strzelnicę i skierowała kroki do pokoju. Za każdym razem gdy dochodziła do wniosku, że już rozgryzła tajemnicę szkoły, Pen wyskakiwał z czymś nowym, wprawiając ją w zdumienie. Może dzięki temu w Villi nigdy nie groziła jej monotonia? Z drugiej strony istniały jednak zagadki, które musiała wyjaśnić dla spokoju ducha. Szkoła stanowiła w końcu jej dom i nie życzyła sobie, by zachodziły w niej aż tak wielkie zmiany.

* * *

Geneva wyszła nago z odświeżacza. Uniosła ręce, a potem pochyliła się, by dotknąć palców stóp. Dirisha przywitała ją uśmiechem, gdy dziewczyna się wyprostowała.

– Słyszałaś o tej grubej rybie, która ma nas odwiedzić? Gość nazywa się Carlos.

– Skąd o tym wiesz? – Dirisha zmarszczyła brwi.

– Od Borka. Dowiedział się od Mayli, a ona od Sleela.

– Cholerne plotki są tu szybsze od radia.

– Nie wiedziałaś?

– Wiedziałam. Nie wiem tylko, po co to wszystko.

Geneva rzuciła się na łóżko, uniosła nogi i wykonała „sprężynkę”, znów stając prosto. Odwróciła się ku kochance.

– Wymasuj mi plecy, to ci powiem.

– Tyłek ci zaraz wymasuję! – Dirisha rzuciła się na Genewę, udając rozgniewaną.

– Aaaa! Tylko żartowałam! Krążą plotki, że Carlos rzeczywiście chce Matadora, ale postanowił wybrać go osobiście. Pen przekazał mu przez Sleela, że mamy dwudziestu trzech prawie gotowych do opuszczenia szkoły. Unia Antag nalega, by Carlos wybrał sobie najlepszego, bo facet ostatnio przeżył dwa zamachy. Drugi o mały włos zakończyłby się sukcesem.

– Dobra, połów się. Wymasuję ci te plecy.

Geneva znów rzuciła się na łóżko, tym razem lądując na brzuchu.

– Serio?

– Serio, mała. Co jeszcze obilo ci się o uszy? – zapytała Dirisha, ugniatając twarde mięśnie pleców kochanki.

– Ach, taaaak, właśnie o to chodzi... Co jeszcze? Nic więcej.

– Daj spokój. Po twoim głosie słyhać, że to nie wszystko.

Dirisha nagle poczuła, jak mięśnie Genevy lekko twardnieją.

– Pen uważa, że wszyscy Matadorzy powinni się zastanowić, czy nie chcą służyć Carlosowi. Chodzi przede wszystkim o najlepszych z nas, czyli instruktorów, bo zachowanie Carlosa przy życiu jest dla nas ważne. Bardzo ważne.

Dirisha wbiła koniuszki palców głębiej w ciało, ale sztywność mięśni nie ustępowała.

– Pen jeszcze z tobą nie rozmawiał, prawda?

Geneva przyciskała twarz do pościeli, przez co jej głos był bardzo cichy.

– Właściwie nie.

– Właściwie nie?

Uniosła się i oparła na łokciu, by spojrzeć na Dirishę.

– Zapytał, czy jestem gotowa ruszyć do akcji.

– I co odpowiedziałaś?

– Że nie.

„I nie będziesz gotowa, póki ja tu jestem”, pomyślała Dirisha.

Dobrze wiedziała, że tak brzmiał ów niewypowiedziany powód. Nie była osobiście odpowiedzialna za decyzję Genevy, choć z drugiej strony kto inny miał na nią wpływ? Geneva nie była dzieckiem snującym się za nią bez celu – była bystrą, atrakcyjną kobietą, najlepszym Matadorem, jaki ukończył szkolenie. Dirisha podejrzewała, że w pojedynku na spetsdödy pokonałaby każdego, włączając w to samego Pena. Osiągała najlepsze wyniki w symulacjach prób zamachów, przechodziła Dziewięćdziesiąt Siedem Kroków szybciej od kogokolwiek z wyjątkiem Pena i Dirishy, a ponadto budziła sympatię każdego człowieka, jakiego napotkała. Lecz jej miłość wiązała je mocno, nawet pomimo braku wzajemności.

– Nie wierć się, kiedy masuję.

Geneva uśmiechnęła się i ukryła twarz w pościeli. Wystarczyło tak niewiele, by zakochana kobieta znów stała się szczęśliwa.

Dirisha kontynuowała masaż, nie przestając kręcić głową. Miłość była dla niej skomplikowanym zjawiskiem. Zdawała sobie sprawę, jaki wpływ wywiera na kogoś takiego jak Geneva, doświadczała trosk, które się z nią pojawiały. Niemal wszyscy wiedzieli coś na temat miłości, nawet Pen, który zatytułował tak jeden ze swoich plików. Pamiętała też jego enigmatyczne uwagi o potędze miłości, która jest silniejsza nawet od fanatyzmu. Widziała działanie miłości, ale mimo to nie potrafiła jej pojąć.

„Miłość”, pomyślała. „Oto rzecz, której nigdy nie uda mi się zrozumieć”.

SZESNAŚCIE

Dirisha usiadła przed konsolą komputera. Do szkoły przybywał Carlos, co stanowiło wydarzenie bez precedensu. Nigdy wcześniej nie wpuszczono klienta do Matador Villi. Chciała się dowiedzieć na jego temat możliwie najwięcej. Wcisnęła klawisz uruchamiający komputer i weszła do prywatnego archiwum Pena.

Imię i nazwisko: Rajeem Marson Carlos

Wzrost: 190 cm

Waga: 96 kg wg standardów ziemskich

Włosy: rude

Oczy: niebieskie

Pochodzenie: Człowiek, Ziemianin. Pochodzenie rodziców: angielsko-irlandzkie/hiszpańskie

Data urodzenia: I stycznia 2323 wg kalendarza ziemskiego Szesnaście

Ojciec: Flannery Manuel Carlos, International Pharmaceutical

Matka: Jean Amis James Carlos, skrzypaczka, Baton Negro Symphony, Baton Negro, Zillia, SA

Rodzeństwo: siostra Celise, ur. 29 listopada 2334 roku wg kalendarza ziemskiego; brat Haldor, ur. 2320 roku wg kalendarza ziemskiego; siostra przyrodnia Jerrace (z nasienia ofiarowanego przez F. M. Carlosa), ur. 2323 roku wg kalendarza ziemskiego

Edukacja: Nowy Londyn, szkoła wstępna – lata 3-6

Oxford, szkoła przygotowawcza – lata 6-16

Oxford, uniwersytet – lata 16-19, praca magisterska z teologii

Dublin, Uniwersytet Teologiczny – lata 19-23, praca doktorska

Katolicki Unitarianizm Humanistyczny, wyświęcenie: 23 czerwca 2349, pełna prebenda

Kariera: Prebenda w Souva, Fiji, Republika Oceanii

Prebenda w Needles, Kalifornia, Zjednoczony Stan Światowy Ameryki

Prebenda w Barley, Tytan

Prebenda w Sparks, Mały Kontynent, Koji, system Heiwa

Rezygnacja z kariery duszpasterskiej w wieku lat 36

Wstąpienie do Konklawe Jeffersoniańskiego w wieku lat 38

Wstąpienie do Unii Antag w wieku lat 42

Objęcie urzędu Prezydenta Unii Antag w wieku lat 44

Dirisha wpatrywała się w rzędy danych. Niewiele potrafiła z nich wyczytać, to był zaledwie szkielet, na którym opierały się kariera, życie i osobowość Carlosa. Oczywiście, mogła wyciągnąć wnioski z interpretacji suchych faktów, lecz dokładność takiej analizy pozostawiałaby wiele do życzenia. Carlos był księdzem, ale zrezygnował z powołania i wstąpił do kilku organizacji, które stawiały – ostrożny i zgodny z prawem – opór dinozaurowi Konfederacji. Najprawdopodobniej należał do tych niezliczonych dobroczyńców-marzycieli, którzy chcieli, by było lepiej, ale nie mieli pomysłów, jak to zrobić, lub niezbędnych środków, by to zrobić. Wizjoner, a nie człowiek czynu, Dirisha wiele razy spotykała podobnych ludzi podczas swoich podróży. Co do jednego byli życzliwymi duszami zaprzątniętymi brukowaniem dróg prowadzących do ich własnego piekła. Cóż, nie miało to większego znaczenia – nie zamierzała przecież opuścić szkoły, by stać się jego opiekunem.

* * *

Zebrali się wszyscy, by powitać wielkiego człowieka. Dirisha stała na tyłach audytorium, nie spuszczać oczu ze szpiega Massey'a. Jeśli istniało jakiegokolwiek miejsce, w którym człowiek powinien czuć się całkowicie bezpieczny, to z pewnością była to Matador Villa, a Massey stanowił wielki znak zapytania. Co się stanie, jeśli zapragnie sprzątnąć Carlosa, wiedząc, że cała wina spadnie na szkołę?

Przywódca Unii Antag wszedł do audytorium uśmiechnięty, rozmawiając z Penem. Był potężnym mężczyzną z ognistymi rudymi włosami ułożonymi w konserwatywną fryzurę. Miał na sobie niczym niewyróżniającą się szarą bluzę mundurową, spodnie oraz proste buty dobrane do reszty ubioru. Spośród otaczających go ludzi Dirisha nie rozpoznała nikogo, co oznaczało, że wszyscy przybyli wraz z prezydentem. Czterech wyglądało na księgowych bądź doradców, pozostałych dwóch pełniło funkcję ochroniarzy. Dirisha skupiła na nich uwagę – byli to dobrze zbudowani, płynnie poruszający się mężczyźni nieustannie przeczesujący wzrokiem grupę sześćdziesięciu adeptów zgromadzonych w audytorium. Zachowywali wzmożoną czujność, a jeśli mieli przy sobie broń, to dobrze ukrytą. Żadni amatorzy, to pewne, ale sporo im brakowało do klasy Matadorów. Wyższy z nich był atrakcyjnym mężczyzną z osobliwie jasną karnacją. Bładość skóry i błękit oczu zupełnie nie pasowały do czarnych włosów. Cóż, Dirisha, która sama miała zielone oczy i czarną skórę, doskonale wiedziała, że geny potrafią płatać figle.

Gdy grupa przybyszów przeszła obok niej, zerknęła w bok, by odnaleźć wzrokiem Massey'a i niemalże przeoczyła drugą wskazówkę. Pospiesznie odszukała Carlosa, który pochylił się, by powiedzieć coś do Pena, ale popatrzył w stronę Dirishy. Ich spojrzenia na moment się spotkały. Carlos uśmiechnął się, a wokół jego zielonych oczu zadrżały drobne, urokliwe zmarszczki. Zarówno on, jak i Pen mogliby założyć interes i sprzedawać ludziom sekret tych cholernych zmarszczek...

Uśmiech Dirishy zbladł. Grupa zeszła na dół, na okrągłą platformę otoczoną rzędami ławek poustawianych na kolejnych stopniach. Pen przemówił. Nagłośnienie wzmocniło jego głos, który wypełnił całe audytorium. Dirisha słuchała jednym uchem, nie spuszczać oczu z czarnowłosego ochroniarza o błękitnych oczach.

– ... zaszczyt wizytą Rajeema Carlosa z Unii Antag. Wielebny Carlos przebył daleką drogę...

Zerknęła w bok i dostrzegła, że Massey wpatruje się w Carlosa. Odetchnęła z ulgą. Ich gościowi nie groziło żadne niebezpieczeństwo. A jeśli nawet się myliła, to przecież Pen znał prawdziwą tożsamość Massey'a. Nie wydawało się jednak, by popełniła błąd. Cóż, taką możliwość również należało wziąć pod uwagę, w końcu dostrzeżone przez nią sygnały były drobne, ledwo dostrzegalne, ale z gatunku tych, jakie lubił podsuwać Pen. Sztuczny pigment do skóry nie kosztował wiele, a soczewki potrafiły działać cuda. Niemniej wychodziło na to, że Pen popisuje się, urządza sobie na oczach adeptów komedię. Jeśli jej spostrzeżenia były słuszne, nie mogła pozwolić, by uszło mu to na sucho.

– ... będzie przyglądał się naszym treningom przez najbliższych kilka dni. Nie czujcie się w jego obecności skrępowani, rozmawiajcie i swobodnie zadawajcie mu pytania.

Pen zawiesił głos, jakby oczekiwał pytań właśnie w tej chwili. Dirisha wstała i zaczęła schodzić w dół, aż znalazła się kilka metrów przed platformą.

– Dirisha? – zwrócił się do niej Pen.

Tymczasem ona wbiła wzrok w rudowłosego mężczyznę.

– Nosi pan szkła kontaktowe, wielebny?

Carlos wyglądał na zaskoczonego.

– Co takiego? Nie, skądże. Dlaczego pani pyta?

Dirisha spojrzała na Pena i uśmiechnęła się. Dostrzegła, że nauczyciel odpowiada jej uśmiechem, a potem przeniosła wzrok na czarnowłosego

ochroniarza. Mężczyzna przyglądał się jej ze spokojem, a jego błękitne oczy błyszczały jakby z rozbawienia.

– A zatem chciałabym w imieniu adeptów powitać pana w Matador Villi. Kilku adeptów wybuchło śmiechem, zrozumiawszy, o co chodzi.

– Ilu z was domyśliło się prawdy przed wystąpieniem Dirishy? – zapytał Pen.

Dirisha odwróciła się. Nikt nie podniósł ręki.

– Ilu z was nadal nie rozumie?

Tym razem podniosło ręce jakieś dwadzieścia osób.

Pen skinął na Dirishę.

– Wskazówki?

– Najpierw te oczywiste – oczy i karnacja.

Pen zrobił trzy kroki w lewo i stanął przed ochroniarzem.

– Adepci i instruktorzy, oto wielebny Rajeem Carlos – wskazał czarnowłosego ochroniarza. – A ów uśmiechnięty dżentelmen to tylko ktoś, kto miał go udawać. Ilu z was czytało dossier pana Carlosa?

Kilka rąk.

– Dobrze. Nie spodziewałem się większego zainteresowania. Mimo to jestem rozczarowany, że nikt poza Dirishą nie przejrzał podstępu. Gratulacje, Dirisha.

Dirisha przyjęła komplement skinięciem głowy i przyjrzała się prawdziwemu Carlosowi. Dygnitarz uśmiechnął się szeroko i dziewczyna nagle stwierdziła, że coś w niej drgnęło. Był atrakcyjnym mężczyzną, może nie przystojnym, ale poczuła potężną falę jego *ki*. Zupełnie nie tego się spodziewała po przestudiowaniu danych. Miał na sobie dobrze dopasowane, obcisłe ubranie, więc od razu zauważyła rozbudowane mięśnie, co również ją zaskoczyło.

Galaktyka po prostu jest pełna niespodzianek. \ ^

* * *

Zimy w tej części Renault były łagodne i Dirisha narzuciła jedynie lekką kurtkę na ortoskafander, wychodząc na przechadzkę. Las znajdował się jakiś kilometr od szkoły i przez ostatnie kilka lat odwiedzała go wiele razy. Za każdym miała wrażenie, że spacer zwiastuje nadejście czegoś nowego. Tego dnia wyczuwała napięcie, jakby zbliżało się coś nieuniknionego. Wydawało się, że powietrze przesycone jest jonami, a lada chwila nadejdzie oczyszczająca burza.

Za zaroślami znajdowała się polanka otoczona nieregularnym kręgiem wiecznie zielonych, wysokich na dwa metry krzewów. Ich łagodna zieleń kontrastowała z nagim zimowym krajobrazem. Dirisha siadała tam czasem i medytowała, bo rosące ciasno jeden przy drugim krzewy zatrzymywały wiatr i wszelkie odgłosy napływające z zewnątrz, zapewniając odprężającą ciszę.

Tego dnia, ledwie znalazła się na skraju polanki, wyczuła obecność drugiej osoby, znajome *ki*. Nie była zaskoczona widokiem Pena siedzącego w pozycji *seiza* w samym środku zagajnika. Nie wątpiła ani przez chwilę, że właśnie na nią czekał.

Stała przed nim w odległości półtora metra i przyklękła, opierając ciężar ciała na piętach. Naśladowała jego postawę. Czekala.

– Widziałś Carlosa, zanim opuścił szkołę – odezwał się Pen po chwili. To nie było pytanie, a stwierdzenie.

– Tak. Przyglądał się Twispowi i Kanyon na strzelnicy. Rudzielec prowadził zajęcia z unieszkodliwiania napastników w wojskowym modelu pancerza drugiej klasy. Carlos udawał, że jest pod wrażeniem umiejętności bezbłędnego trafiania w szpary między częściami pancerza.

– Udawał – powtórzył Pen. Znow nie było to pytanie.

Dirisha nabrała głęboko tchu.

– Tak. Jest tu od trzech dni, włązi na zajęcia, kiwa głową z mądrą miną, czegokolwiek by nie usłyszał, na wszelkie sposoby daje do zrozumienia, że jest pod wrażeniem. To wszystko to jakaś wielka ścierna, no nie?

Pen zignorował pytanie.

– Co o nim sądzisz?

– Nie jest tym, kogo się spodziewałam.

Przez krąg krzewów przedarł się samotny podmuch wiatru i lekko poruszył szatą Pena. Nauczyciel nie spuszczał błękitnych oczu z Dirishy; pomimo zimnego wiatru ani razu nie mrugnął.

– Carlos to niezwykle ważny człowiek – odezwał się w końcu. – O wiele potężniejszy, niż sądzisz. Konfed powoli przegrywa walkę o utrzymanie kontroli, sama zresztą o tym wiesz, ale jego upadek jest o wiele bliższy, niż wydaje się większości z nas. System runie niebawem, a Rajeem Carlos będzie jednym z najpotężniejszych, którzy wyłonią się spomiędzy ruin – o ile przetrwa upadek. Istnieją setki, tysiące ludzi, którzy mogliby powstać z popiołów i ponieść światło dla narodów, ludzi, którzy potrafiliby

poprowadzić nas inną drogą, nauczyć pokojowej egzystencji i skłonić do wyrzeczenia się przemocy, lecz pośród nich wszystkich Carlos to człowiek najwybitniejszy. Nie wolno nam go stracić.

– Rozumiem, co mówisz – odparła Dirisha – ale nie dociera do mnie puenta.

– Nic nie rozumiesz, Dirisho.

Dirisha patrzyła na Pena, ale nie widziała go, pogrążona w myślach. Miała pewność, że zrozumiała przynajmniej część wywodu, który właśnie usłyszała.

– Carlos dokonał już wyboru. Cała ta bieranina po szkole to tylko gra pozorów.

Pen skinął głową.

Dirisha nabrała tchu, próbując uspokoić żołądek skręcający się z niepokoju, lecz nieprzyjemne uczucie bynajmniej nie ustępowało. Istniał tylko jeden powód, dla którego Pen pojawił się w tym miejscu i rozmawiał z nią zagadkami. Pokręciła głową.

– Nie jestem zainteresowana.

Pen nic nie powiedział, ale nie spuszczał z niej oczu.

– Nie jestem najlepszym Matadorem. Jeśli bardzo tego chcesz, wyślij z nim Genewę.

Ten pomysł również nie przyniósł jej ulgi. Może i nie kochała Genevy, ale przywiązała się do niej bardziej, niż zdawała sobie z tego sprawę.

– Genevie nie udało się przejrzeć fortelu.

– Czy to naprawdę zrobiło na nim takie wrażenie? Pen, to był zwykły fuks, miałam szczęście i...

– Nie, to nie był fuks. To był element... planu.

Dirisha uniosła się z klęczek i odwróciła od Pena, by spojrzeć na otaczającą ją zielen. To miejsce stało się jej domem, nie chciała go opuszczać, nie miała ochoty na zmiany. Tu odszukała bezpieczeństwo większe niż kiedykolwiek wcześniej, tu znalazła przyjaciół. Jeśli wyjedzie, straci to wszystko. Nie mogła tego zrobić. Nie.

Odwróciła się.

Pen zniknął.

Poczuła ukłucie strachu. Przebiegła polanę, wszędzie się za nim rozglądając, ale nie było po nim śladu. Przez moment obawiała się, że rozmowa z nim stanowiła jedynie wytwór wyobraźni, gdy jednak dotknęła

ziemi, gdzie przed chwilą siedział, wyczuła ciepło.

Jeszcze długo stała na polanie, pogrążona w zadumie. W głowie miała istny mętlik. Co rozumiał przez to, że jej szczęście stanowiło element planu? To prawda, coś ją ciągnęło do Carlosa, zupełnie jakby był kimś dobrze znanym, w tajemniczy, niezrozumiały sposób przynoszącym spokój i bezpieczeństwo, ale przecież nawet macki Pena nie sięgały tak głęboko. Nigdy wcześniej nie spotkała Carlosa, a przed zapoznaniem się z jego dossier nigdy o nim nie czytała ani nie słyszała. Nawet Pen nie był w stanie przewidzieć przyszłości i założyć, jak jeden człowiek zareaguje na drugiego. A może potrafił i to? Przypomniała sobie rozmowę, jaką odbyli na temat Genevy tego dnia, gdy udali się razem na spacer. Przecież był pewien, że Geneva zakocha się w niej, nieprawdaż? Cholera, co ten człowiek planował? Na czym polegała podstępna gra, w którą ją zaangażował? Nie odstępowało jej przekonanie, że jest tylko kukielką, i ktoś przez cały czas ostrożnie, lecz z wprawą pociąga za sznurki. Czego by nie zrobiła, Pen i tak będzie się tego spodziewał.

Cholera!

SIEDEMNAŚCIE

Napastników stworzonych przez komputer było dziewięciu, każdy uzbrojony po zęby Stanowiło to maksimum możliwości komputera odpowiedzialnego za kreowanie sztucznej rzeczywistości strzelnicy, a zarazem maksimum możliwości ludzkich. Nikt nigdy nie pokonał dziewięciu przeciwników naraz.

Dirisha wykonała unik, przetoczyła się, wystrzeliła, skoczyła, wystrzeliła kilka razy, znów skoczyła. Powietrze wypełniły kaszlnięcia spetsdödów. Była dobra, ale niewystarczająco. Po trafieniu siódmego przeciwnika uskoczyła przed ciśniętym nożem i nagle poczuła mrowienie w miejscu, gdzie oberwała pociskiem. Pokonała siedmiu z dziewięciu, ale nie wygrała. Śmierć to śmierć, nic więcej. Niezadowolona wyłączyła symulację. Nie, to nie było niezadowolenie, lecz gniew, który szybko przeradzał się we wściekłość. Trzęsąc się ze złości, stanęła przy panelu kontrolnym z zamiarem zaprogramowania kolejnych napastników, tym razem nieuzbrojonych. Chciała po prostu w coś przywalić. Albo w kogoś.

Ledwie dotknęła klawiszy, uświadomiła sobie, że ktoś ją obserwuje. Geneva. Dirisha odwróciła się od konsoli, by spojrzeć na przyjaciółkę i kochankę.

– Zakładam, że już słyszałaś? – spytała.

Geneva kiwnęła głową. Na jej twarzy widniała powaga.

– Daj sobie spokój z tą ponurą miną, mała. Nigdzie się nie wybieram.

Blondynka skinęła w stronę strzelnicy.

– To skąd te emocje?

No właśnie, skąd? Dirisha zastanawiała się nad tym praktycznie cały czas od rozmowy z Penem na polanie. Nie umiała wytłumaczyć nerwów, ale postanowiła spróbować je wyrazić.

– Pen to podstępny intrygant – odezwała się. – Mam dziwne wrażenie, że przewidział moją reakcję. Wiedział, że przejrzę podstęp z zamianą ochroniarzy i że to mnie Carlos wybierze na opiekuna. Co więcej, wydaje mi się, że ciągle dzieją się tu rzeczy, których nawet nie zaczęłam rozumieć. Czuję się jak pionek na szachownicy, który nie ma najmniejszego rozeznania w strategii gry.

Geneva podeszła bliżej i pogładziła kochankę po twarzy drżącymi palcami. W jej oczach zalśniły łzy.

– Myślę, że powinnaś pojechać – rzekła.

Dirisha oniemiała. Geneva była ostatnią osobą, po której się spodziewała tych słów.

– Chcesz, żebym... żebym wyjechała?

Łzy skapnęły z rzeź i spłynęły po policzkach.

– Nie, och, nie! To ostatnie, na czym mi zależy. Chcę cię tutaj!

– Ale...?

– Ale Pen rozumie rzeczy, o których obie nie mamy bladego pojęcia. To wszystko – machnęła niedbale ręką – odgrywa ważną rolę w jakimś większym planie. Tyle wiem. Skoro Pen twierdzi, że Rajeem Carlos jest tak cenny, że muszą go chronić najlepsi, to istnieje ku temu dobry powód.

Dirisha dotknęła ramienia Genevy.

– Kochanie, ale to nie ja jestem najlepsza! Ty jesteś najlepsza...

– Nie – przerwała jej Geneva. – Może strzelam nieco celniej i szybciej, ale jest w tobie coś, czego ja nie mam, Dirisha! Jakaś... jakaś głębia...

– Gównno prawda!

– Prawda. Pen umie to dostrzec.

Dirisha odwróciła się i zapatrzyła na strzelnicę. ‘ Po chwili znów spojrzała na płaczącą bezgłośnie Genevę. Łzy płynęły strumykami po jej policzkach i skapywały na podłogę.

– Rozmawiał z tobą? Pen?

Geneva pokiwała głową.

– Niech go szlag! I teraz masz mnie przekonać, żebym odleciała z Carlosem!

– Powiedziałam, że z tobą porozmawiam.

Dirisha miała ochotę wrzeszczeć. To, że Pen wykorzystał Genevę w ten sposób, było wprost niepojęte! Wiedział, że Geneva ją kocha i zrobi wszystko dla jej dobra! Jasna cholera, tym razem przekroczył granicę!

Przytuliła dziewczynę.

– Uspokój się, kochanie. Mam zamiar uciąć sobie pogawędkę z Penem, po prostu nie martw się o nic, dobrze? Po prostu się nie martw.

* * *

Gdy Dirisha wpadła do biura, Pen siedział za biurkiem i bawił się zakrzywionym nożem. Broń miała kształt banana, wykonano ją z wygładzonej do połysku stali, wypolerowanego mosiądzu oraz drewna o gęstym słoju. Przypominała kiel, stalowy pazur wyrwany jakiemuś

mechanicznemu potworowi.

– Ach – rzekł na jej widok. – Spodziewałem się ciebie. Siadaj.

– Postoję – odparła Dirisha, ledwie panując nad wściekłością.

Pen nie przestawał obracać noża w dłoniach; od ostrza odbijało się światło, refleksy migotały na ścianach. Po chwili uniósł go wyżej, nie przestając mu się przyglądać.

– To był element szkolenia Khadajego. Lekcja z podstaw o tym, jak ważne bywają proste rzeczy. – Przeniósł wzrok z ostrza na Dirishę i odłożył nóż na biurko. – Pamiętasz, jak weszłaś tu po raz pierwszy?

– Pamiętam. Słuchaj, nie podoba mi się to, co zrobiłeś Genevie...

– Powiedziałem ci wówczas, że znajdziesz tu coś, czego nie znalazłaś na Drodze – ciągnął, ignorując słowa Dirishy. – Upłynęło prawie pięć lat. Miałem rację?

Czuła, że lada chwila wybuchnie, lecz mimo to sztywno skinęła głową.

– Przecież sam wiesz, że miałeś.

– Jesteś tu szczęśliwa, prawda?

– Tak, do cholery, ale...

– A czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, co większość ludzi w galaktyce myśli na temat własnego życia? Zastanawiałaś się, czy oni też są szczęśliwi? Czy wszechobecny strach przed potworem Konfederacji zamienia ich sny w koszmary? Nie, nie sądzę, żebyś zaprzętała tym sobie głowę. Emile Khadaji nigdy nie przestał o tym myśleć i był gotów spędzić całe życie, próbując to zmienić. Stał się inspiracją dla bojowników ruchu oporu w całej galaktyce, był człowiekiem, który samotnie stawiał czoła armii.

– Wiem to wszystko, Pen, ale...

– A my siedzimy sobie tu w wygodzie, niczego nam nie brakuje, podczas gdy zło bezkarnie się pleni. Bezczyność jest niemoralna, Dirisho. Przez ostatnie pięć lat cieszyłaś się spokojem i wygodą, przez pięć lat odpoczywałaś i ćwiczyłaś. Nie sądzisz, że nadszedł czas na spłatę długu? Czas, by wykorzystać wyszkolenie i umiejętności?

Dirisha poczuła, jak gniew wyparowuje. Zdarzało się jej myśleć o tym, co powiedział teraz Pen. Trafiała do rajy, gdzie płacono jej za to, by stała się lepsza, szybsza i szczęśliwsza. Czy naprawdę uważała, że na to zasługuje, że może otrzymać to wszystko i nie dać niczego w zamian? Nie, tak to nie działało. Na wszystko trzeba zarobić.

– Możesz tu pozostać, jak długo chcesz – ciągnął Pen. – Zastanawiam się

jednak, czy to zrobisz, wiedząc, że gdzieś indziej mogłabyś działać coś istotnego, coś ważnego? Że mogłabyś po raz pierwszy w życiu przejść samą siebie i pomóc ludziom odnaleźć drogę inną od tej, po której zmuszono ich kroczyć?

Dirisha podeszła do jedyne go wolnego krzesła w biurze i usiadła. Przecież musiała trzymać się własnych zasad, a wśród tych naczelnego miejsca zajmował honor. Nie należy zapominać o długach, trzeba zapłacić za wszystko, co się dostało. Nie miała ochoty wyjeżdżać z Renault, traktowała to miejsce jak dom, którego nigdy nie miała, ale nadszedł czas, by wreszcie się za to odwdzięczyć. Pen uderzył we właściwą nutę i Dirisha zrozumiała, że nie może zignorować jego apelu.

„Jesteś naszą dłużniczką”, mówił, „i nadszedł czas zapłaty”.

Dobra. Dobra.

– Myślę, że tym, co zrobiłeś Genevie, przeszedłeś samego siebie. Myślę, że tak bardzo przywykłeś do manipulowania ludźmi, że uważasz się za jakiegoś boga, bo na dłuższą metę nie jest istotne, w jakim celu robisz to wszystko. Myślę, że nie zależy ci już na niczym ani na nikim, dbasz tylko o swoją pokrętną grę.

Przez chwilę Dirisha widziała ból w oczach Pena i wydawało się, że wreszcie przeniknęła przez szatę, którą nosił wśród ludzi. Nie trwało to jednak długo i zaraz potem znów ujrzała nieporuszony wzrok, ten sam co zawsze.

– Ale przyjmiesz zlecenie?

– Niech będzie. Wezmę tę cholerną robotę.

* * *

Niedługo później odbyło się coś na kształt ceremonii ukończenia szkoły. Dirisha uczestniczyła w dziesiątkach podobnych i nigdy nie przyszło jej do głowy, że kiedyś to ona wejdzie na scenę. Na początku szkolenia może i o tym marzyła, ale wszystko się zmieniło, odkąd poczuła, że Matador Villa to jej nowy dom. Cóż, to tylko zwykła szkoła, nie żadna wielka akademicka.

Tak czy owak, w tej małej uroczystości było coś poruszającego. Matadorzy z reguły kończyli szkolenie pojedynczo, gdyż każdy zdobywał wiedzę i nowe umiejętności w innym tempie, a Pen słynął z zamięłowania do dokładności w ocenianiu każdego aspektu szkolenia. Szkołę opuścić można było tylko wówczas, gdy zarówno adept, jak i Pen zgadzali się, że nadeszła odpowiednia pora.

Stojąc na scenie przed zgromadzonymi adeptami, Dirisha uświadomiła sobie, że oboje z Penem już dawno uznali jej umiejętności za wystarczające. W swym rozwoju nie osiągnęła tylko etapu, w którym sama mogłaby się zdecydować na odejście.

Na scenę wkroczył Pen, poruszając się jak zwykle płynnie i ubrany w to, co zawsze. Dirisha miała na sobie nowy ortoskafander, nowiutkie buty oraz spetsdödy. Taki strój nosił Khadaji podczas kampanii na Greaves i choć nie istniały żadne zasady regulujące ten zwyczaj, nie było Matadora, który na uroczystość zakończenia szkolenia założyłby cokolwiek innego. Skojarzenia, jakie miało to wywoływać, wydawały się oczywiste – wynajmując Matadora, wynajmujesz kogoś ulepionego z tej samej gliny co Emile Antoon Khadaji, Człowiek, Który Nigdy Nie Chybiał. Zdaniem Dirishy, był to całkiem trafny pomysł marketingowy. Jedyne odstępstwo stanowiła naszywka na ramię wielkości dłoni – jaskrawoczerwona holograficzna plama przypominająca niewielką płachtę. Zza tej płachty wychylała się postać ubrana w strój przypominający obcisły kombinezon. *Traje de luces*, jak zwał go Pen, strój noszony przez prawdziwych matadorów na Starej Ziemi.

Pen stanął obok Dirishy. Cisza wśród zebranych na sali adeptów była głęboka, jakby w oczekiwaniu na słowa nauczyciela nie mieli odwagi nawet oddychać.

– Wszyscy znacie Dirishę – zaczął Pen, patrząc na zebranych. – Wszyscy też dobrze wiecie, że od dawna jest gotowa, by wejść do akcji jako Matadora. Nadszedł czas, by nas opuściła.

Dirisha odszukałam wzrokiem Genewę. Po policzkach dziewczyny płynęły łzy, ale jej twarz ozdabiał ciepły uśmiech.

– Klientem Dirishy będzie ważna osobistość. Człowiek ten otrzyma do dyspozycji najlepszego ochroniarza w całej Matador Villi. Będziemy za nią tęsknić.

Pen odwrócił się do Dirishy. Z fałd szaty wyjął biomedyczny implant wielkości koniuszka palca i wręczył go uczennicy. Było to wirus PJZ, który dostawali wszyscy adepci opuszczający szkołę.

Dirisha podziękowała skinieniem głowy.

Pen wydobył kolejny przedmiot z zakamarków szaty, kostkę walutową. Dirisha dysponowała sporą sumą pieniędzy jeszcze przed przybyciem do Villi, lecz teraz stawała się naprawdę zamożna. Do swoich oszczędności mogła doliczyć pensję za pierwszy rok służby – klient zawsze płacił z góry, a

kwota ulegała zwrotowi, jeśli rezygnował z usług Matadora bądź tracił życie.

Pen wyciągnął rękę po raz trzeci, trzymając ostatni przedmiot, jaki wręczano adeptom kończącym szkołę. Tak naprawdę były to dwa przedmioty – spetsdödy załadowane ostrą amunicją. Od tej pory strzałki z tępyimi końcówkami należały do przeszłości, a Dirisha przestawała być celem ataków adeptów i instruktorów. Gdyby teraz do kogoś strzeliła, toksyczne strzałki może by nie zabiły pechowca, ale na pewno zadałyby obrażenia o wiele poważniejsze od pocisków stosowanych w codziennych pojedynkach.

Wyciągnęła magazynek z prawego spetsdöda i zastąpiła go nowym, z ostrą amunicją. Podświadomie spodziewała się, że podczas wymiany Pen poczęstuje ją pożegnalną salwą – zrobił taki numer pewnemu adeptowi, który szykował się do opuszczenia szkoły, po czym zatrzymał go na kolejne trzy miesiące, ponieważ ten nie odpowiedział ogniem należycie szybko. Tymczasem Pen ani drgnął. W przeciągu kilku sekund ćwiczebne magazynki zostały zastąpione nowymi, zawierającymi amunicję bojową.

Dirisha podrzuciła kilkakrotnie spetsdödy, jakby chciała je zważyć lub rzucić nimi niczym kośćmi do gry. Naszywka Matadora na ramieniu wydawała się błyszczeć, *traje de luces* na tle ostrej czerwieni migotał jak tysiące drogocennych klejnocików. Dirisha nagle poczuła łomotanie serca, jakby odnalazła w sobie pokrewieństwo ze starożytnymi matadorami. Amunicja, naszywka i wirus – wszystko to stanowiło namacalny dowód, że Dirisha Zuri nie należy już do grona adeptów.

Zacisnęła mocno dłoń na plastikowych pojemnikach, a potem wyrzuciła je wysoko w górę, nad głowy zgromadzonych. Szkoła istniała dopiero od kilku lat, ale już miała swoje tradycje: powiadano, że ci, którzy złapią puste magazynki, opuszczą ją jako następni. Dziesiątki rąk wystrzeliło ku górze, cisza ustąpiła śmiechom i radosnym pokrzykiwaniom.

Dirisha uśmiechnęła się, jednocześnie rozradowana i smutna. Zerknęła przelotnie na Pena, a potem znów na tłum przyjaciół. Jeden z magazynków złapał Barthal Jinks, adept, który wstąpił do szkoły trzy miesiące temu. To tyle, jeśli chodzi o tradycję. Drugą osobę trudniej było odnaleźć, a gdy ją wreszcie dostrzegła, przeżyła wstrząs. Jej uśmiech zamarł, a żołądek momentalnie zaczął się kurczyć.

Drugi magazynek trzymała śmiertelnie poważna Geneva.

* * *

Podczas imprezy pożegnalnej Sleel urznął się voremhöltsem i próbował

rzucić Borkiem przez cały pokój, co okupił naderwaniem mięśnia lędźwiowego. Mayli wykonała taniec erotyczny, w rezultacie czego połowa imprezowiczów udała się na poszukiwanie ustronnych miejsc, by zaspokoić rozbudzone żądze. Rudzielec wciągnął potężną dawkę *kick-dustu* i zorganizował pokaz strzelania precyzyjnego. Ułożył piramidę z zapalek i po kolei usuwał strzałkami wskazane zapalaki, ani razu nie trafiając w niewłaściwą. Udało mu się również uniknąć zarysowania gładkiej powierzchni stołu.

Impreza trwała w najlepsze i prawie wszyscy doskonale się bawili.

Dirisha chodziła po sali, otoczona gwarem wesołych rozmów, uśmiechając się i dziękując wszystkim, którzy życzyli jej powodzenia, przez cały czas świadoma spojrzeń Genevy. Podświadomie marzyła, by ta impreza nigdy nie dobiegła końca, by trwała wiecznie, bo każda spędzona tu chwila odwlekała moment, który ją przerażał – moment, gdy zostanie sam na sam z kochanką.

Bork niemalże zmiądzzył ją w pożegnalnym uścisku.

– Będzie mi cię brakowało, Dirisha! Bez ciebie nie będzie tu już tak samo.

Mayli ucałowała ją jak nauczyciel adeptkę, siostra siostrę i przyjaciółka przyjaciółkę.

– Ucz się radości – przykazała jej.

Nawet Sleel miał spore trudności z wymyśleniem właściwych słów pożegnania i w końcu wykrztusił z siebie swój oklepany żart:

– Zostało ci już niewiele czasu, Dirisha, ledwie parę minut. To twoja ostatnia szansa, by dowiedzieć się, czym jest rozkosz!

Kusiło ją, by przystać na propozycję choćby po to, żeby zobaczyć, jak sobie poradzi z naderwanym mięśniem, ale ostatecznie zadowolona się mocnym uściskiem i prawie braterskim pocałunkiem.

Nigdzie nie było Pena.

Gdy impreza miała się ku końcowi i ostatni adepci ruszyli do wyjścia, Dirisha uświadomiła sobie, że stoi na wprost Genevy. Oczy blondynki były suche i zaczerwienione, a uśmiech wymuszony. Dirisha wyciągnęła dłoń, a Geneva chwyciła ją i przycisnęła do piersi, jakby złapała linę, stojąc na krawędzi przepaści.

– Chcesz wrócić do pokoju?

Geneva pokręciła głową.

– Nie... Nie sędę, by było mnie teraz stać na cokolwiek.

Dirisha próbowała się uśmiechnąć, ale nie potrafiła. Wyraźnie widziała wysiłek, z jakim Geneva zachowywała pozory.

– Mała, przykro mi. Szkoda, że nie ma sposobu, by ci to ułatwić. Stałaś mi się bliższa niż ktokolwiek inny w całym moim życiu, stałaś się dla mnie kimś o wiele ważniejszym niż tylko kochanką. Będę tęsknić za tobą o wiele bardziej niż za całą resztą.

Geneva nabrała tchu.

– Ja też wyjeżdżam – powiedziała łamiącym się głosem, z trudem powstrzymując szloch.

Dirisha zamruwała. Co takiego?

– Pen znalazł mi klienta. To ambasador Teiki z Hadzi. Spędzę sporo czasu na Ziemi, w Zjednoczonych Ambasadach Konfederacji.

– To dobrze – odparła Dirisha, choć w rzeczywistości poczuła smutek. Wiedząc, że Geneva zostanie w szkole, byłoby jej łatwiej odejść, bo nie pogodziła się jeszcze z myślą o wyjeździe. Zawsze wiedziała, że większość z nich kiedyś stąd wyjedzie, ale jakoś nigdy dotąd nie wydawało się to realne.

Trzymały się za ręce, same w pustym pokoju. Przez dłuższą chwilę milczały.

– Zawsze będę cię kochać, Dirisha – odezwała się w końcu Geneva. – Nawet z odległości tysiąca lat świetlnych nigdy nie przestanę cię kochać.

Dirisha otoczyła ją ramionami i mocno przytuliła, wdychając zapach pięknych, złotych włosów.

„Ja też będę tęsknić, mała, tak jak nigdy za nikim ani za niczym nie tęskniłam”.

– Zawsze będziesz w moim sercu, Geneva. Zawsze.

* * *

Zmierzając w stronę wagonika szynowego, Dirisha przyglądała się szkole z obcą sobie intensywnością; niemalże wchłaniała jej widok. Jak dziwnie było wyjeżdżać, może nawet na zawsze. Nadal nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Kilku adeptów ćwiczyło w chłodnym powietrzu poranka Dziewięćdziesiąt Siedem Kroków. Wyglądało na to, że żaden z nich nie zwraca uwagi na Dirishę. Nikt też nie wyszedł, by się z nią pożegnać, co wyjątkowo jej odpowiadało. Doskwierający jej smutek nie potrzebował nowej pożywki, bez łzawych pożegnań wyjazd ze szkoły był wystarczająco

trudnym przeżyciem.

Cały dobytek spakowała do tej samej torby, z którą przybyła tu prawie pięć lat temu, przynajmniej to się nie zmieniło. Zmieniło się natomiast wiele innych rzeczy. Nie była już kobietą, która pięć lat temu po raz pierwszy postawiła stopę na terenie szkoły.

Pojazd szynowy zatrzymał się kilka metrów przed nią. Westchnęła i podeszła do drzwi. Lepiej zrobić to szybko, po prostu wsiąść i odjechać, zanim znów dopadną człowieka wciąż żywe emocje. Wrzuciła torbę do środka i pochyliła się przed drzwiami.

– Dirisha – doleciał ją głos zza pleców.

Odwróciła się.

Stał za nią Pen, spowity w szarość, z oczami błyszczącymi w cieniu kaptura. Była zaskoczona, głównie tym, że w ogóle pozwoliła sobie na zaskoczenie. Nic z tego, co robił Pen, nie powinno budzić niczyjego zdziwienia.

– Żegnaj. I powodzenia.

– Dzięki, Pen – powiedziała, kręcąc głową. – Jakoś dam sobie radę.

Wtedy zrobił coś, czego się nie spodziewała. Podeszedł i uściskał ją.

– Uważaj na siebie. Jesteś kimś o wiele cenniejszym, niż ci się wydaje.

Gdy wagonik opuszczał Matador Villę, Dirisha patrzyła przez tylne okienko na samotną postać Pena i jego szatę targaną wiatrem. Stał przy torach i odprowadzał ją wzrokiem, aż jego postać zaczęła się zamazywać, o wiele wcześniej, niż powinna, zupełnie jakby Dirisha patrzyła oczami, które nagle przestały właściwie funkcjonować.

„Pewnie coś jest nie tak z soczewkami”, pomyślała, ocierając policzki. „Bo to na pewno nie łyzy”.

OSIEMNAŚCIE

Gdy prom kosmiczny leciał ku terminalowi zawieszonemu na wysokiej orbicie, Dirisha poczuła, że zaczyna ją swędzieć całe ciało. Całe. Wrażenie to nie było dla niej czymś nowym, doznała go już podczas zabiegu rozbudowy mikrotermicznej, ale nie czuła się przez to wcale lepiej. Swędzenie wywołała obecność namnażających się kolonii zmodyfikowanych genetycznie bakterii neurologicznych. Symbiotyczna flora tego rodzaju po dotarciu do krwiobiegu znacznie zwiększała szybkość działania neuroprzekaźników nosiciela. Zazwyczaj podobne bakterie, wspomagające refleks, dostępne były tylko dla specjalnych oddziałów sił zbrojnych Konfederacji, ale, podobnie jak inne towary objęte zakazami, szybko trafiły na czarny rynek. Co prawda sporo kosztowały, ale dało się je kupić. Pen nawiązał kontakt z handlarzem i tak oto, kończąc szkołę, każdy Matador otrzymywał zastrzyk z bakteriami wspomagającymi. Substancja nosiła długą chemiczną nazwę, ale ktoś dowcipny ochrzcił ją mianem PJZ, czyli: „Patrz, Jak Zapierdalam”. Kolonie nie rozrastały się w nieskończoność i z czasem wymierały, więc zastrzyk należało powtarzać raz lub dwa razy do roku.

Dirishy dokuczało swędzenie, ale zanim dotarła na orbitę i ruszyła ku terminalowi, gdzie oczekiwał statek lecący na Wu w systemie Haradali, zaczęła się do niego przyzwyczajać. Wu był głównie rolniczym, rozwijającym się światem, na którym znajdowała się kwatera główna Unii Antag, gdzie rezydował Carlos. Dirisha przyjęła porcję wiedzy na temat Wu drogą iniekcji wirusowej, dzięki czemu wiedziała na temat planety wszystko, co do tej pory opublikowano.

Rajeem Carlos był już na miejscu i oczekiwał na przybycie Matadory.

– Kosmiczny terminal Renault – oznajmił mechaniczny głos nad głową Dirishy. – Dokowanie za pięć minut.

Dirisha dotknęła płaskiego przycisku pod rzutnikiem wbudowanym w siedzenie przed nią. Wyświetliło się holograficzne menu. Dotknęła kontrolki, przerzucając rozmaite kanały, aż pojawiła się symulacja planety Renault – glob wielkości piłki do koszykówki unoszący się nad jej kolanami. Spowitą w delikatne chmury błękitną planetę przecinała czarna szrama łańcucha wygasłych wulkanów, które wyrastały z rozległej równiny zakrzepłej lawy. Gdzieś tam, na południu, znajdowało się Simplex-by-theSea, z tej odległości tak drobne, że wręcz niewidzialne – zdawać by się mogło, że zasiedlone

przez mikroby.

Dirisha westchnęła i wyłączyła projekcję. Opuszczenie Renault okazało się trudniejsze, niż początkowo sądziła. Gdy jednak myślała o Carlosie, ogarniało ją napięcie, aż czuła łaskotanie w dole brzucha. Oczywiście cieszyła się również na myśl o pracy i szansie, by wykorzystać swe umiejętności w praktyce, a nie tylko podczas szkolnych treningów.

– Dokowanie za dwie minuty – znów rozległ się głos.

Odepchnęła wspomnienia, chcąc zapanować nad narastającym napięciem, a potem podniosła torbę i niewielki czytnik. Za kilka godzin znajdzie się daleko w kosmosie, w drodze na planetę odległą o miliardy kilometrów.

– Dokujemy w porcie kosmicznym Renault. Proszę nie wstawać z miejsc do chwili zakończenia manewru dokowania i równania ciśnień. Życzymy państwu przyjemnej podróży i dziękujemy za wybranie Połączeń Międzyplanetarnych Renault.

* * *

Statek kosmiczny wyposażony w Naginacz przypominał od środka liniowiec transoceaniczny, ale z zewnątrz wyglądał jak z grubsza ociosana bryła stali niemająca wiele wspólnego z aerodynamiką. W zasadzie nie należało się temu dziwić, statki tego typu nie wchodziły w atmosferę. W wymiarze, który przemierzały, nie istniały nawet najmniejsze atomy mogące powodować tarcie, więc kształt statku nie miał żadnego znaczenia.

Dirisha spędzała podróż głównie na okrętowej siłowni i strzelnicy. Czasami zrzucała ubranie – za wyjątkiem spetsdödów, oczywiście – by raz za razem przemierzać długość basenu. Przez pierwsze trzy dni rejsu odrzuciła dziewięć ofert łóżkowych, sześć zaproszeń na obiad i jedną propozycję małżeństwa na czas określony. Podobnie jak podczas poprzednich rejsów, na pokładzie dostrzegała głównie sporo znudzonych bogaczy, urzędników Konfederacji i podróżników, którzy nigdzie nie potrafili zagrzać miejsca.

Dwukrotnie dostrzegła wojowników podążających Drogą Musashiego, którzy usiłowali niepostrzeżenie ją śledzić. Żaden nie zdobył się jednak na to, by rzucić jej wyzwanie. Uśmiechnęła się – nabyte umiejętności i sztucznie wzmocniony refleks czyniły ją nader niebezpieczną, a ci byli na tyle dobrzy, by to zauważyć. Kusiło ją co prawda, by wyzwąć kogoś na pojedynek, ale szybko wytknęła sobie, że zachowuje się jak dziecko. Taka walka błyskawicznie przerodziłaby się w rzeź, a to nie sprawiłoby jej przyjemności. Poza tym zrezygnowała z gry, nie interesowały jej mniejsze stawki. Ów

wniosek brzmiał zaskakująco nawet dla niej, ale poprawił jej samopoczucie. Miała teraz o wiele większe wyzwania i drobne uciechy nie należały już do jej świata.

Wyprawa trwała trzy tygodnie czasu ziemskiego i nim statek powrócił do zwykłej przestrzeni kosmicznej, Dirisha była gotowa rozpocząć nową pracę. Ba, wręcz kipiała entuzjazmem.

– Ty pewnie jesteś Dirisha Zuri – burknął niechętnie mężczyzna.

Dirisha skinęła głową.

– Tak.

Przypomniała sobie, gdzie go wcześniej widziała – należał do grupy ochroniarzy, która towarzyszyła Carlosowi podczas wizytacji Matador Villi. Był potężnym mężczyzną, twardym i niebezpiecznym, tym bardziej teraz, gdy wyczuł zagrożenie.

Stali przed rzędem szafek magnetycznych na parterze terminala promów kosmicznych. Drzwi prowadzące na zewnątrz były otwarte na oścież i do środka wpadał ze świstem ciepły wiatr, przynosząc całą gamę nowych, obcych zapachów.

Dirisha postanowiła od razu przejść na stopę zawodową. Umowa wynajmu Matadora zakładała, że ponosi on całkowitą odpowiedzialność za klienta, a reszta personelu bezpieczeństwa ma się podporządkować jego rozkazom.

– Kto pilnuje wielbnego Carlosa?

Olbrzym przeżuwał pytanie przez dłuższą chwilę, aż wreszcie wykrztusił:

– Sterburta. Grandle Diggs.

Z pewnością chodziło o faceta, który wcielił się w rolę wielbnego podczas wizyty w szkole. Sterburta? Ciekawa ksywa.

– W takim razie ty jesteś Bakburta?

Olbrzym pokiwał głową.

– Nazywam się Tork Ramion.

– Niech no zgadnę: ty zawsze pilnujesz lewego, a Sterburta prawego boku Carlosa?

– Aha – przytaknął zaskoczony Bakburta.

Dirisha pokręciła głową. Założyłaby się o cały majątek, że te dwa klauny to zwykli, kiepsko wyszkoleni ochroniarze, którzy trzymają się prostych, niezmiennych reguł i rutynowych działań. W tej sytuacji niemalże zakrawało na cud, że Carlos jeszcze żyje. Nie omieszkała poinformować o tym

Bakburty.

– Słuchaj no, siostrzyczko, strzeżemy go od trzech lat i włos mu z głowy nie spadł...

– Każda religia uzna to za cud. A teraz ty posłuchaj, Bakburta. To, czy utrzymasz tę posadkę, zależy teraz od tego, czy będziesz mnie słuchał. Wystarczy, że raz coś zjebiesz, potkniesz się czy choćby zrobisz kwaśną minę, wylatujesz na zbity pysk, jasne? Są ludzie, którzy chcą głowy Carlosa, ale póki ja tu rządzę, nikt nie ma prawa jej dostać.

Bakburta wyglądał, jakby miał ochotę poczęstować nową przełożoną sierpowym. Dirisha przez moment chciała, by to zrobił, ale błyskawicznie doszła do wniosku, że zbędny akt agresji to nie najlepszy sposób imponowania przełożonemu. Obiegła go, nim zdążył wykonać jakikolwiek ruch. Momentalnie zadziałał przyspieszony refleks, przez co Bakburta wydawał się poruszać w zwolnionym tempie. Pchnęła go lekko łufą spetsdöda tuż pod siódmym kręgiem grubego kręgosłupa, pozostawiając na skórze małe kółko. Zamarł.

– Ciężkie strzałki odurzające – oznajmiła. – Wystarczy jedna, żebyś spędził dwie cholernie nieprzyjemne godziny, błagając, by ktoś cię dobił, Bakburta. Zostałam wynajęta, ponieważ w tej branży jestem jedną z najlepszych. To nie ścierna, a fakt. Rozumiemy się?

Usłyszała, jak ochroniarz przełyka ślinę. W końcu kiwnął głową.

– Tak, Fem Zuri.

Dirisha cofnęła rękę.

– W porządku. Zaprowadź mnie do szefa.

* * *

Dirisha była wprost przerażona tym, jak łatwo dostali się do Carlosa. Minęli wyprężonego na baczność strażnika uzbrojonego w karabin maszynowy Parkera, a następnie przeszli przez drzwi ze szkła, które byle człowiek czy mutek wyważyłby mocnym kopniakiem. Strażnik obrzucił ich spojrzeniem i machnął ręką, by szli dalej. Nie zaszczycił ich ani jednym słowem, nie wspominając o skanie bezpieczeństwa. Dirisha poczuła, jak z nerwów kurczy się jej żołądek. Istniało tyle sposobów wtargnięcia do środka, że nawet nie zwracała sobie głowy ich liczeniem. Wiedziała, że nim nastanie wieczór, cały ten system trzeba będzie postawić na głowie.

Główną kwaterę Unii Antag, czteropiętrowy moloch zbudowany ze szkła i odrobiny betonu, otaczał wieniec mniejszych budynków. Jeden terrorysta z

bombą próżniową zrównałby to miejsce z ziemią równie łatwo co skupisko szałasów. Na Changa, czy ci ludzie potrafili logicznie myśleć?

Przy głównym wejściu do lobby siedział kolejny strażnik, tym razem starsza kobieta z zabytkowym pistoletem. Nie mogli jej dać choćby strzelby czy ręcznego miotacza? Strażniczka skinęła na Bakburte i nawet nie spytała, kim jest Dirisha. Na bogów...

Weszli do windy i ruszyli na drugie piętro, po czym przeszli korytarzem ku zwykłemu, niczym niewyróżniającym się drzwiom. Cóż, przynajmniej tutaj zastosowano klasyczną metodę kamuflażu – klient został ukryty. Cały efekt psuł jednak potężny, znudzony mężczyzna siedzący pod drzwiami, który w jednej chwili ściągnąłby uwagę potencjalnego zamachowca. Oto Sterburta. Uśmiechnął się, lecz mina mu zrzędała, gdy ujrzał wyraz twarzy Bakburty.

– Jest w środku? – spytał Bakburta.

– No. Chyba że polazł do sracza.

– Pamiętasz Fem Zuri? Chciał się z nią zobaczyć, gdy tylko ją przyprowadzę.

– Aha. Właźcie do środka.

Pierwsza myśl Dirishy, by zachować Bakburte i Sterburte przy Carlosie, właśnie ustąpiła kolejnej: ci dwaj nienawidzili jej z całego serca, a ponadto byli niekompetentni, co dla klienta stanowiło śmiertelnie groźną kombinację.

Wielebny Rajeem Carlos stał przy oświetlonej kabinie przestrzeni *betydelse* i energicznie mrugał. Prawdopodobnie właśnie zakończył sesję – świadczyło o tym oszołomione spojrzenie, z jakim operatorzy często wychodzili z kabin.

Promienie zachodzącego słońca wpadały przez okno zajmujące całą ścianę, malując pokój ciepłymi pastelami. Obok kabiny znajdowało się biurko, terminal komputerowy, krótka kanapa i szafka na segregatory.

Carlos miał na sobie szary biznesowy kombinezon. Nie nosił butów i jego gołe stopy odcinały się wyraźnie od grubego, brązowego dywanu.

– Przyprowadziłem ją – powiedział Bakburta, siląc się na uprzejmość.

Carlos raz jeszcze zamrugał, jak nocne stworzenie nieprzywykłe do światła dziennego, a potem zmrużył oczy. Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Ach, Fem Zuri! Z niecierpliwością oczekiwałem na pani przybycie!

Dirisha wykonała sztywny wojskowy ukłon.

– Możemy porozmawiać na osobności, wielebny?

– Mów mi Rajeem. Jasne. Nie będziesz miał nic przeciwko, Tork?

Bakburta odwrócił się bez słowa i wyszedł.

Dirisha pokręciła głową z niedowierzaniem, patrząc na rozpromienioną, uśmiechniętą twarz Carlosa. Wyglądał na autentycznie szczęśliwego. Zrobiło jej się przykro, że za jej sprawą ów uśmiech zaraz zgaśnie, ale nie miała wyboru, musiała wykonywać swoją pracę.

– Wielebny... To znaczy Rajeem. Gdybym była zamachowcem, nawet takim o doświadczeniu gówniarza, który ledwo wylazł z piaskownicy, już byś nie żył. Twoi ochroniarze i służba bezpieczeństwa to kpina z gatunku tych mało zabawnych. Mogłabym przyprowadzić tu Bakburtę na muszce – po drodze nikt nas nawet nie zatrzyma! do kontroli! Zdeterminowany zabójca nie bawiłby się w szczegóły i po prostu wyrębałby sobie drogę do twojego gabinetu. Co za problem zdmuchnąć przystojniaczka przed bramą, a po nim prababcię z wielkim pistoletem? Zanim do mózgu czekającego pod drzwiami Sterburty dotarłaby informacja, że czas ruszyć dupę, przeszedłbyś do historii, a zabójca byłby w połowie drogi do domu. To okno, przed którym stoisz... Natychmiast od niego odejdz! W odległości kilometra czy dwóch ktoś mógłby ustawić działko sterowane radiem lub po kablu, zdolne rozwalić ten pokój albo nawet cały budynek.

Jeśli Dirisha sądziła, że przerazi lub rozzłości klienta, to myliła się całkowicie. Carlos uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Tak, droga pani... – posłusznie odsunął się od okna. – Miło znów cię widzieć.

Na krótką chwilę Dirisha poczuła się zakłopotana. Jak mogła się złościć na kogoś takiego? Carlos był w końcu sługą swej religii, a nie Matadorem, a co więcej, miał zaraźliwy uśmiech. Z trudem zachowała pokerową twarz.

– Chyba nie jest aż tak źle? – spytał.

Pod powierzchnią wypowiedzianych z pełną powagą słów kryła się wesołość, jakby chciał z niej zadrwić. Nie było w tym złośliwości, ale odniosła wrażenie, że wielebny ukrywa przed nią jakiś niezwykle zabawny sekret. Zupełnie jakby znowu poddawano ją testowi.

Dirisha nabrała podejrzeń.

Podeszła do okna i stuknęła w nie łufą spetsdöda. Dźwięk potwierdził jej domysł – okna nie wykonano ze szkła czy plastiku, ale ze skondensowanego kryształu o grubości przynajmniej dwóch centymetrów. Przejrzystość materiału oraz fakt, że nie załamywał promieni słonecznych, jak najlepiej świadczyły o jego jakości. Mogła sobie darować groźby o terroryście z

działkiem, pocisk z lepszej broni nie przebiłby takiego okna.

Czuła, że to nie wszystko. Człowiek, który ma wystarczająco dużo oleju w głowie, by zainstalować kryształ i wynająć Matadora, nie pozostawia niczego przypadkowi. Odwróciła się do Carlosa, czując napływ rozgoryczenia.

– No a brama?

– Pod napięciem. Dodatkowo wyposażona w ładunki wybuchowe. Zatrzyma każdy pojazd naziemny, chyba że to ciężarówka klasy drugiej. W budce strażnika znajduje się wystarczająca ilość elektroniki skanującej, by wychwycić odcięty paznokieć na chodniku.

– A ta babcia?

– Pistolet nie jest tym, czym się wydaje na pierwszy rzut oka. To ręczny miotacz o dużym zasięgu. Razem z... babcią nad bezpieczeństwem czuwają trzy młode kobiety udające sekretarki. Ponadto przyciski windy zostały celowo pozamieniane – znajdujemy się na trzecim piętrze, a nie na drugim.

– W takim razie zgaduję, że Bakburta i Sterburta nie są, jak wcześniej zakładałam, aż tak przymuleni i obrażalscy?

– To znakomici aktorzy. Jestem pewien, że ich prawdziwe osobowości przypadną ci do gustu.

– Ale to nie wszystko, co?

– Pen słusznie twierdził, że jesteś najlepsza. – Carlos pokiwał z uznaniem głową. – Ja sam nieźle sobie radzę w kung-fu, osiągnąłem pierwszy stopień mistrzostwa.

Dirisha przeanalizowała ostatnią porcję informacji.

– To wszystko wydaje się bardzo zmyślne i dopracowane. Kto za tym stoi?

Uśmiech Carlosa powrócił.

– Tak sądziłam – stwierdziła. – W takim razie po co Pen mnie tu wysłał, skoro zapewnił ci to wszystko?

– Czy gdybyś znała szczegóły systemu bezpieczeństwa, udałoby ci się obmyślić jakiś sposób, by się do mnie dostać?

– Z czasem tak – odparła bez wahania. – Każdy system da się złamać.

– I właśnie dlatego Penowi zależy, żebyś mi pomagała. Powiedział, że sama rozgryziesz system, bez moich wskazówek.

Dirisha pokręciła głową. Cholera, wyglądało na to, że Pen wie wszystko o wszystkim. Dzieliły ich całe lata świetlne, a mimo to miała wrażenie, że

stoi tuż za nią w swojej szarej szacie i cicho się śmieje.

Carlos wyciągnął dłoń, a ona chwyciła ją bezwiednie i nagle poczuła dreszcz, jakby w jej żołądku całe stado motyli zerwało się do lotu. Ten człowiek miał w sobie coś, co przyciągało ją i poruszało do głębi. Nie było też wątpliwości, że Pen zdawał sobie z tego sprawę. Co ten człowiek knuł tym razem? Dlaczego chciał, by strzegła Rajeema Carlosa? Cóż, tak naprawdę nie miało to znaczenia. Nie była niczyją zabawką i samodzielnie dokonywała wyborów, to również nie ulegało wątpliwości. Nie musiała brać udziału w gierkach Pena, nie miała na to ochoty. Problem, jak to zwykle bywało w przypadku Pena, leżał jedynie w tym, że nie miała pojęcia, na czym te gierki polegają.

– Chodź – powiedział Carlos. – Oprowadzę cię.

Dirisha kiwnęła głową.

DZIEWIĘTNAŚCIE

W drożenie procedur bezpieczeństwa okazało się łatwiejsze, niż Dirisha z początku sądziła. Pen opracował doskonały system, a zarówno Bakburta, jak i Sterburta byli w swojej dziedzinie profesjonalistami. I choć Konfed z radością powitałby wieść o śmierci Rajeema Carlosa, to nie wykonywał w tym kierunku żadnych jawnych posunięć. Carlos wyjaśnił jej to, gdy jedli śniadanie u niego w domu.

– Konfed jest do tego stopnia zajęty tropieniem większych szcurów, że nie znajduje już czasu ani energii na mniejsze, zwłaszcza tak niegroźne jak ja. Ci na górze mają teraz sporo zamętu w głowach, jak sędzę.

Ugryzł kawałek miękkiej bułki, przeżuł i przełknął.

– Co więcej. Unia Antag ma wysoko postawionych sojuszników. Jak dotąd Konfed nie prowadził przeciwko nam żadnych działań. Jeśli kiedykolwiek uporają się z dziesiątkami wojenek w całej galaktyce – a wiele z nich bez wątpienia zostało zainspirowanych postawą Khadajego – być może zajmą się drobiazgami. Póki co moim jedynym zmartwieniem pozostają wolnomyśliciele usiłujący zdobyć nieco rozgłosu naszym kosztem oraz fanatyczni zwolennicy Konfederacji.

– Wygląda na to, że tych ostatnich nie brakuje – stwierdziła Dirisha, popijając gorącą herbatę ziołową z filiżanki.

Carlos uśmiechnął się promiennie.

– Nie ma co do tego dwóch zdań. Tak czy owak, teraz mam ciebie i to ty będziesz się martwić...

Komunikator zainstalowany w ścianie nad stołem cicho zabrzączał.

– Tak? – spytał Carlos.

– Dotarliśmy do portu – odezwał się kobiecy głos, mocny i wyraźny. Dirisha stwierdziła, że należy do kobiety, która doskonale wie, czego chce. – Będziemy za jakąś godzinę.

– Świetnie – odparł Carlos. – Nie mogę się doczekać. – Pociągnął łyk soku z cytrusów, po czym odpowiedział na niezadane jeszcze pytanie: – To Beel. Odpowiada za fundusze Unii Antag. Najmądrzejsza kobieta w naszej organizacji, jeśli nie w całym systemie. I moja małżonka.

Dirisha poczuła ucisk w żołądku. Uniosła filiżankę i wzięła zbyt łapczywy łyk. Gorący napój sparzył jej usta. Przecież wiedziała, że jest tu zakontraktowana. Dlaczego więc wiadomość o przybyciu małżonki Carlosa

tak bardzo wyprowadziła ją z równowagi?

– Beel wpadnie razem ze Stenelle i Akeemem, którzy właśnie zakończyli galaktyczną przygodę. Nie widuję ich tak często, jak bym sobie tego życzył – ciągnął. Przez moment wydawał się nieco przygnębiony, lecz po chwili jego twarz znów rozjaśnił uśmiech. – Mam ich hologramy, chcesz obejrzeć?

– Pewnie – odparła Dirisha ze słabym uśmiechem.

Hologram ukazał uderzająco piękną kobietę z czarnymi włosami poznaczonymi kolorowymi pasemkami oraz dwoje nastolatków. Rudowłosy chłopak miał około trzynastu lat – wypisz, wymaluj Rajeem, pomyślała Dirisha. Dziewczyna wydawała się starsza jakies dwa lata, choć wzrostem ledwie dorównywała bratu. Włosy miała ułożone w zielone loki.

– Bardzo atrakcyjna – stwierdziła Dirisha.

– Wiem – uśmiechnął się Carlos.

Nie miała pojęcia, co jeszcze w tej sytuacji powiedzieć, ale przedłużająca się cisza była wyjątkowo niezręczna, niemalże nie do wytrzymania.

– Przywieźli nowy system czujników. Jeszcze dzisiaj zabiorę się za instalację i testowanie. Chciałabym jednak, żebyś rozważył mój pomysł przeniesienia biura do innego pomieszczenia, którego łatwiej będzie bronić.

Carlos machnął ręką.

– Najważniejsza jest moja praca, a tę mogę wykonywać równie dobrze tutaj.

– Jeśli interesuje cię moje zdanie w tym temacie, to pracujesz za dużo. Regularny sen i prawidłowe odżywianie są niezbędne do utrzymania optymalnego stanu zdrowia – oznajmiła chłodno Dirisha.

– Zabawne – zaśmiał się Carlos. Dokończył sok i wstał. – To co, zabieramy się do pracy?

Dirisha również wstała.

– Ty pierwszy, tygrysku.

* * *

Upłynęło kilka tygodni. Pewnego dnia, zaraz po tym, gdy Carlos wszedł w przestrzeń *betydelse*, Dirisha odebrała meldunek od strażnika przy bramie.

– Trzech gości do wielebnego, małżonka i dzieci. Wpuścić?

– Nie wygłupiaj się – powiedziała Dirisha. – Jasne.

Odwróciła się i spojrzała na Carlosa, który z wprawą, obiema rękami, obsługiwał potrójny tryb komunikacyjny. Strażnik – w myślach nadal przezywała go Przystojniaczkiem – otrzymał rozkaz meldowania o każdym

gościu, który chce się widzieć z Carlosem. Nawet jeśli polecenie nie przypadło mu do gustu, stosował się do niego przykładowo. Dirisha zadała sobie pytanie, co by się stało, gdyby zabroniła mu wpuszczać rodzinę Carlosa. I jakie zalety posiadała Beel Carlos, że mąż darzył ją tak wielkim szacunkiem i uczuciem? Pomijając fakt, że opiekowała się dziećmi...

Do pokoju zajrzał Bakburta.

– Przyszła Fem Carlos.

– Wpuść ją.

Beel okazała się kobietą średniego wzrostu, nie tak dobrze zbudowaną jak Dirisha, ale na pewno nie drobną. Miała na sobie zwykłą białą tunikę, spodnie oraz jedwabne pantofle perłowego koloru. Była sama, bez dzieci.

Uśmiechnęła się i uniosła rękę, zwracając dłoń w stronę Dirishy w miejscowym geście pozdrowienia. Dirisha odpowiedziała w taki sam sposób.

– Fem Zuri. Wiele o tobie słyszałam. Bardzo mi miło wreszcie cię poznać – szczerze słowa bez śladu pobłażania czy protekcjonalności. Dirisha pochylila lekko głowę.

– Moje uszanowanie, Fem Carlos.

– Mów mi Beel.

– Ja mam na imię Dirisha.

Beel zerknęła na męża.

– Co z nim? Wygląda na zmęczonego.

– Pracuje zbyt ciężko.

– To prawda. Twierdzi, że sam da radę wszystko załatwić, nie ma w zwyczaju przydzielać obowiązków podwładnym. Cieszę się, że się ze mną zgadzasz. Może we dwie jakoś go zmusimy, żeby trochę przystopował.

Uśmiech pojawił się na twarzy Dirishy z opóźnieniem, ale był szczery. Beel troszczyła się o Rajeema, przebijało to z jej gestów i słów. Dirisha podejrzewała, że polubi tę kobietę.

– Wydawało mi się, że przyleciałaś z dziećmi?

– Są w sali rekreacyjnej. Kochają ojca, ale niezbyt pociąga ich jego praca.

Beel odwróciła się w stronę męża.

„Ale tobie to nie przeszkadza, co?“, pomyślała Dirisha. Bezwiednie taksowała Beel wzrokiem, czyniąc kolejne spostrzeżenia. Ładna kobieta, dobrze umięśniona i ze zgrabną figurą; bez wątpienia inteligentna i dobroduszna. Nie dostrzegała w niej niczego, co mogłoby wywołać niechęć.

„Cholera, o co mi chodzi? Skąd te myśli? Dlaczego niby miałabym jej nie

lubić? To żona mojego klienta, a on nie jest nikim szczególnym!”

Głęboko w zakamarkach umysłu rozległ się cichy śmiech.

„Naprawdę?”, wydawał się pytać nieznany, szyderczy głos. „Kto tu próbuje oszukać kogo, dziecko? Przecież on jest kimś szczególnym!”

Dirisha zdusiła tę myśl, ponownie całkowicie skupiona na Carlosie. Miała pracę, miała umiejętności, miała siebie; miała wszystko, czego kiedykolwiek potrzebowała i nie potrzebowała niczego więcej.

„Ale czy tego akurat naprawdę chcesz, dziecko?”, spytał głos.

* * *

Spacerowali we troje po jednym ze starannie pielęgnowanych terenów kompleksu Unii Antag.

Carlos i Beel trzymali się za ręce, pogrążeni w rozmowie. Co rusz wybuchali śmiechem. Dirisha rozglądała się dookoła, poszukując na niebie i ziemi wszelkich śladów zagrożeń. Nie lubiła przebywać na otwartej przestrzeni, ale jak miałyby zmusić Carlosa, by nie wyściubiał nosa z biura?

Minęli kilka starych, prawie trzystuletnich drzew; żadne nie miało więcej niż dwa metry, ale wszystkie charakteryzowały się swoistymi, poskręcanymi w fantazyjne wzory gałęziami. Zielona trawa o odcieniu tak głębokim, że wydawał się niemal purpurowy w blasku południowego słońca, tworzyła pod ich stopami gęsty dywan. Beel i Carlos śmiali się z jakiegoś dowcipu, a Dirisha marzyła, by znaleźć się gdzieś indziej. Uczono ją, że dobry Matador staje się elementem wyposażenia wewnątrz; że klient może zrobić i powiedzieć absolutnie wszystko, nie bojąc się, że ochroniarz coś skrytykuje bądź potępi; że w końcu nic z rzeczy wypowiedzianych w obecności Matadora nie może zostać przekazane dalej. Dirisha świetnie o tym pamiętała i usiłowała robić to, czego ją nauczono. Ale ciekawości poskromić nie potrafiła.

– Dirisha? – odezwała się Beel.

– Tak?

– Skoro obie się zgadzamy, że Rajeem pracuje o wiele za ciężko, może powinniśmy go namówić na krótkie wakacje? Moim zdaniem powinien gdzieś wyjechać i odpocząć.

– Zaraz, zaraz... – wtrącił się Carlos.

– Cicho. Co o tym myślisz?

Dirisha nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

– Święta prawda. Wakacje to doskonały pomysł.

– Skoro już skończyłyście decydować o moich planach...

– Nie skończyliśmy – ucięła Beel. – Damy ci znać, kiedy skończymy – dodała twardo, po czym znów zwróciła się do Dirishy: – Unia ma pewną starą posiadłość na Południowych Rubieżach, miejsce wprost idealne. Z dala od ruchliwych szlaków, większość ludzi nie ma nawet pojęcia o istnieniu tej posiadłości. Kilka tygodni na odludziu robi mu naprawdę dobrze.

Dirisha zastanowiła się nad propozycją. Przewidywała pewne problemy z systemem bezpieczeństwa, ale jakoś by sobie z nimi poradziła. Jej praca polegała na ochranianiu klienta przed zamachowcami, ale także, o ile było to możliwe, na dokładaniu wszelkich starań, by sam sobie nie wyrządził krzywdy. Tymczasem ten człowiek był wykończony i zdecydowanie potrzebował wypoczynku.

– Brzmi nieźle – stwierdziła.

– Nie chcę się wtrącać, ale...

– To się nie wtrącaj – Beel raz jeszcze usadziła męża. – Spędzę tu trzy dni przed moim spotkaniem na Tatsu z Grupą Mistunashi. Odpocznimy, przygotujemy się, a potem wyruszysz razem z Dirishą do posiadłości Perkinsów. Nie rób takiej urażonej miny, możesz przecież zabrać przekaźnik, dzięki któremu będziesz z polityką na bieżąco. O ile rzecz jasna Dirisha obieca mi, że cię przypilnuje. Nie chcemy przecież, żebyś przesadził.

Carlos wyszczerzył zęby i rozłożył ręce w geście kapitulacji.

– Cóż mogę powiedzieć? Dwie przeciwko jednemu. Poddaję się.

Beel zachichotała. Objęła Carlosa i przyciągnęła go do siebie, uśmiechając się do Dirishy. Coś w jej spojrzeniu sprawiło, że Dirisha poczuła się jak uczestniczka konspiracji, której co prawda nie rozumiała, ale wspierała ją z ochotą.

* * *

Pomimo uwag Beel Carlos pracował niczym fanatyk. Wstawał o świcie, ćwiczył przez godzinę układy kung-fu, brał prysznic, jadł śniadanie i szedł do pracy. Rzadko robił sobie przerwę na lunch, zwykle pracował dwanaście, czasem nawet piętnaście godzin z rzędu. Pisał, dzwonił, przyjmował gości, zawierał umowy, przemawiał i udzielał wywiadów. Starał się spędzać nieco czasu z Beel i dziećmi, ale nigdy nie dłużej niż godzinę dziennie. Wydawał się nieustrudzony.

* * *

Carlos wyskoczył i opuścił gwałtownie ręce, wyrzucając przed siebie prawą nogę. Maksymalnie wyciągnął stopę i podkurczył palce. Opadł miękko

na trawę i znów wyskoczył w powietrze, powtórzył kopnięcie, a potem uniósł dłonie, złączył je i wbił wyprostowane palce w splot słoneczny wyimaginowanego przeciwnika. Opadając, gwałtownie rozłączył dłonie w geście przypominającym rozrywanie ludzkiego ciała. Wylądował, podniósł prawą nogę i zamarł w pozycji żurawia. Prawa dłoń wykonała płynny półokrąg i zatrzymała się na wysokości prawego biodra, lewa gotowa była uderzyć...

Dirisha przyglądała się ćwiczeniom okiem profesjonalistki. Carlos był niezły; na pewno nie świetny, ale też nie beznadziejny. Nie licząc kilku drobniejszych potknięć, poruszał się płynnie. Wykonywany przez niego układ nazywano Niedźwiedziem po pewnym ziemskim drapieżniku. Wiele z układów *kata* nosiło nazwy zwierząt, prawdziwych lub mitycznych. Dirisha nie wiedziała wiele o niedźwiedziach, lecz ruchy Carlosa wskazywały, że było to nieco ociężałe, choć potężne stworzenie.

Oczywiście układy *kata* nie mówiły wiele o tym, jak wykonujący je człowiek zachowałby się w walce. Zresztą Dziewięćdziesiąt Siedem Kroków również nie wydawało się szczególnie skuteczne jako element sztuki walki. Carlos jednakże nie musiał się już o to martwić.

Wyskoczył, a jego ręce prawie migotały, gdy wyprowadzał krótkie, oszczędne ciosy. Wykonał półobrót, nachylił się i wbił pięść w łędzwie niewidzialnego przeciwnika.

* * *

– ... wyniki międzysystemowej ankiety pokazują, że popularność Konfedu spada w czterech sektorach...

– ... kontrybucje wzrosły o szesnaście procent...

– ... na księżycu Ago wybuchło powstanie...

– ... nie da się przeładować towarów oznaczonych jako nielegalne...

Głosy i hologramy wypełniły pokój informacyjny znajdujący się obok biura. Dirisha słuchała jednym uchem, nie spuszczać wzroku z Carlosa, który ze skupieniem analizował wiadomości. Wyraźnie widziała, jak dzięki nim rósł, rozkwitał, potężniał. Wprost emanował energią – jego *ki* było skupione, a ruchy równie precyzyjne jak podczas treningów kung-fu. On to naprawdę kochał, nie miała co do tego wątpliwości. Był człowiekiem, który doprowadzał rzeczy do końca, a ona zawsze to podziwiała; był człowiekiem potężnym i pewnym siebie, a jego kompetencja urzekała ją i przyciągała, tak jak poszukującego przyciąga charyzmatyczny kaznodzieja. Żadna z jego cech

z osobna nie zasługiwała na wyróżnienie, lecz wszystkie razem tworzyły pociągającego mężczyznę.

* * *

Zorganizowanie wycieczki zabrało sporo czasu, ale wreszcie na pokładzie hoppera wyruszyli w stronę Południowych Rubieży. Carlos usiadł naprzeciwko Dirishy i przez całą drogę przyglądał się przez okno niezmiernym puszczołom, nad którymi przelatywali. Nawet w trakcie lotu Dirisha wciąż była w pracy, choć w tej chwili i w tej sytuacji niewiele miała do roboty. Pojazd został gruntownie sprawdzony przez elektromechaników, towarzyszył mu myśliwiec eskortowy naładowany uzbrojeniem aż po końce skrzydeł – prawdziwa latająca armata – a za sterami zasiadał najlepszy pilot, jakiego udało się znaleźć ludziom z Unii Antag. Jeśli wierzyć papierom, kobieta potrafiła latać nad kanałem tak nisko – bez zamoczenia kadłuba! – że dało się wyławiać siecią płotki z wody. Bakburta i Sterburta wraz z zespołem techników czekali już na miejscu.

– Naprawdę sądzisz, że to dobry pomysł? – odezwał się nagle Carlos, przyciągając uwagę Dirishy, która wyliczała w myślach niezbędne środki bezpieczeństwa.

– Tak. Beel troszczy się o ciebie. Jesteś ważnym człowiekiem dla mnóstwa ludzi, Rajeem. Tu nie chodzi tylko o pracę, którą możesz osobiście wykonać. Jesteś elementem czegoś o wiele większego. Jesteś symbolem. Jak Khadaji.

– Do pięt mu nie dorastam. Ale dziękuję.

Dirisha poprawiła się na fotelu.

– Może dorastasz, może nie. Nie widzę przyszłości tak jak Pen, o wiele bardziej skupiam się na tu i teraz. Ale wiem, że jeśli o siebie nie zadbasz, to nie będziesz w stanie kontynuować pracy i przestaniesz być symbolem. Proste.

– I rozsądne – Carlos pokiwał głową, po czym znów przeniósł spojrzenie na lasy rozpościerające się osiem kilometrów w dół.

Dirisha odwróciła wzrok zadowolona z siebie. Ten człowiek nie był głupcem. Bez fałszywej skromności godził się z koniecznością zadbania o zdrowie. Co więcej, pytał ją o zdanie, jak gdyby naprawdę mu na nim zależało. Pen uczył ich, że klienci z czasem zaczną ufać Matadorom i opierać się na ich opinii. Był to zresztą element wielkiego planu, obojętne, o co w nim chodziło. Tak czy owak podobało jej się, gdy Carlos pytał ją o zdanie,

podobało jej się, że uważnie słuchał odpowiedzi, zupełnie jakby była jednym z najważniejszych kontaktów, który ma istotne wieści do przekazania. Czuła się przez to potrzebna. Doceniona. A mimo to podobne sytuacje budziły w niej niepokój. Była profesjonalistką i wykonywała pracę, do której przygotowywała się latami, powinna więc podchodzić do zadania obiektywnie...

Nagle oczami wyobraźni ujrzała Pena rozprawiającego o konflikcie obiektywizmu z subiektywizmem. Co on wtedy powiedział? Że nikt nie potrafi być w pełni obiektywny, gdy chodzi o rzeczy ważne. Nie rozumiała wówczas tych słów i nie miała pewności, czy rozumie je teraz, ale gdzieś na skraju jej umysłu tańczyła jakaś natrętna myśl, płąsała i dokazywała niczym sufi ogarnięty demencją. Widziała ją tylko przez krótką chwilę, ale nie spodobało jej się to, co zobaczyła. Myśl skakała i groziła jej palcem.

– Marionetka! – oznajmiła szyderczo.

Marionetka.

Dwadzieścia

Dirisha przyglądała się Carlosowi pracującemu w przestrzeni *betydelse*. Istniały dwie rzeczy, które wciąż nie przestawały jej zdumiewać: on sam oraz to, jak szybko zmieniała zdanie na jego temat. Po wielu latach spędzonych na Drodze Musashiego i kolejnych, które poświęciła na naukę w Matador Villi, po wielu latach ćwiczeń i doświadczeń wciąż nie doceniała ludzi. Z początku sądziła, że Carlos okaże się rozpolitykowanym grubasem, fanatykiem religijnym lub człowiekiem oddanym sprawom ulotnym i mało istotnym, mężczyzną z poczuciem misji, ale bez pomysłu, jak ją doprowadzić do końca. Tak bardzo się myliła...

Zamknięty w przestrzeni *betydelse* Carlos wykonał prawą ręką serię szybkich, oszczędnych gestów. Wiedziała coraz więcej o jego sposobach pracy, zdawała sobie sprawę, że programuje odpowiednie sygnały, ale nadal nie potrafiła ich odczytać. W tej samej chwili przesunął lewą rękę do przodu i do tyłu, kreśląc palcami jakiś skomplikowany wzór. Kod matematyczny. A nie dość, że każda z jego rąk przemawiała do nadajnika odrębnym językiem, to ustnie przekazywał trzeci zestaw instrukcji. Przypominał wirtuoza grającego na jakimś ezoterycznym instrumencie, a uroku dodawał sytuacji fakt, że jego melodia była niezwykle skomplikowana, choć Dirisha nie mogła jej ani usłyszeć, ani zrozumieć.

Uniosła rękę i chwyciła niewielki przedmiot z czarnego plastiku, zawieszony między jej piersiami na cienkim pasku. Dotknęła jednego z klawiszy, a wtedy nad małym modulem pojawiły się miniaturowe holograficzne litery. Czysto, głosił napis.

Puściła modul. Setki czujników rozmieszczonych po całej rezydencji były obecnie jej oczami i uszami, które nie widziały ani nie słyszały niczego podejrzanego. Nie oznaczało to bynajmniej, że można spocząć na laurach – Dirisha wiedziała, że nie wchodzi to w rachubę, ale raport świadczył, że obecność zabójcy czyhającego na swoją szansę jest niezwykle mało prawdopodobna.

Odwróciła się, by spojrzeć na Carlosa – lub Rajeema, jak bez przerwy kazał się nazywać. Niezwykły człowiek. Silny, szybki, inteligentny i troskliwy, imponował Dirishy jak żaden inny mężczyzna. Nie dorównywał mu ani Khadaji, ani Pen. Nikt mu nie dorównywał.

Carlos zakończył potrójny przekaz w przestrzeni *betydelse* szybkim machnięciem ręki. Migotliwe, lśniące powietrze przygasło, gdy odszedł od

czytnika. Zamrugał, powoli opuszczając trans, a wtedy dostrzegł Dirishę i uśmiechnął się do niej.

Serce niespodziewanie podskoczyło jej do gardła. Poczowała całkowicie irracjonalny przyływ radości, że zdołała sprawić mu przyjemność.

– Nie słyszałem, jak wchodziłaś – oznajmił.

– Dobrze. To by oznaczało, że tracę formę – odpowiedziała uśmiechem na uśmiech.

Przez chwilę stali naprzeciw siebie i szczerzyli zęby niczym para idiotów. Wymianę spojrzeń przerwał Carlos, kręcąc głową.

– Tyle jest do zrobienia, Dirisho. Chyba z dziesięć spraw, których muszę doglądać, mnóstwo ludzi, z którymi muszę się zobaczyć, tyle informacji do przemyślenia...

– Hej – przerwała mu. – Przybyliśmy tu, żebyś odpoczął, pamiętasz? Sam i tak nie dasz sobie z tym wszystkim rady.

Na chwilę z jego twarzy znikła powaga.

– Święta racja – oznajmił, po czym objął Dirishę i poprowadził w kierunku werandy. – Co powinni robić ludzie, którzy chcą odpocząć?

Dirisha wyraźnie poczuła ciepło bijące od jego ramienia, nawet pomimo grubej osłony ortoskafandra. Poczowała muskulaturę, twardość, siłę... Na Changa, przecież musiała jakoś położyć temu kres! Był jej klientem i nie powinien być nikim więcej bez względu na swoją atrakcyjność. Poza tym jego los nierozzerwalnie wiązał się z losami całych światów, może nawet galaktyki! Tymczasem ona była jedynie doskonale wyszkolonym ochroniarzem.

Rajeem Carlos pociągał ją, a Dirisha pomimo wyszkolenia nie potrafiła się przed tym obronić.

„Nachodzą cię głupie myśli, dziewczyno, bardzo głupie. Przecież on nic do ciebie nie czuje. Ma żonę, dzieci, pracę... Nie idź tą drogą”.

Gdy wyszli na werandę, Carlos podniósł ręce i przeciągnął się, podziwiając bujną roślinność porastającą patio aż po kamienny mur. Powietrze było świeże, pełne tlenu i aromatów wiecznie zielonych roślin, a promienie słońca przegnały już nocny chłód, nie nagrzewając jeszcze zbytnio porannego powietrza. Według Dirishy było to piękne miejsce, tym piękniejsze, że przebywali w nim z Carlosem jedynie we dwoje. Bakburta i Sterburta patrolowali strefę wraz z innymi strażnikami kilka kilometrów od zabudowań.

– Wiesz coś o tym miejscu? – zapytał Carlos.

Dirisha wiedziała tylko to, co wyczytała z dysku informacyjnego, więc pokręciła głową. Wolą, żeby to on jej wszystko opowiedział.

– Ta posiadłość należała niegdyś do rodziny Perkinsów. Swego czasu była to jedynie baza wypadowa dla myśliwych, rzecz jasna preferujących bezkrwawe łowy. Taki domek myśliwski, zresztą nadal widać jego rustykalny charakter. Perkinsowie przybywali tu, by podchodzić welwy i półtrogi i strzelać do nich pociskami usypiającymi. Potem wracali do posiadłości, by odpocząć. Tutejsze ogrody zostały uznane za najpiękniejsze na planecie.

Carlos machnął ręką, wskazując całą posiadłość.

– Masz ochotę na spacer? Mówiono mi, że są tutaj piękne ścieżki.

Dirisha pokiwała głową. Obejrzała je wszystkie podczas zakładania czujników. Rzeczywiście były piękne, nawet tam, gdzie kwiaty zaczynały dziczeć, a chwasty pieniały się na miejscu starannie wystrzyżonych grządek i klombów.

Szli po ścieżkach, które wiły się łagodnie między drzewami i krzewami. Wytyczono je w taki sposób, by spacerujący mógł ujrzeć jak najwięcej piękna nawet podczas krótkiej przechadzki.

Dirisha skupiała się jednak bardziej na śledzeniu Carlosa niż podziwianiu scenerii. Przywódca Unii Antag wydawał się odprężony po raz pierwszy od wielu miesięcy. Znikło napięcie z twarzy, a ramiona, z reguły uniesione i spięte, opadały swobodnie. Przyglądała się temu z przyjemnością, lecz owej przyjemności towarzyszył lęk. Przecież nie powinna przejmować się aż do tego stopnia! Och, to właśnie z tego względu nigdy nie potrafiła sobie odpuścić, to dlatego nie była w stanie całkiem się odprężyć z kochankiem, nawet z Genewą. Takie odprężenie oznaczałoby emocjonalną nagość, ukazanie słabości. Zaufanie komuś do tego stopnia wiązało się z ryzykiem. Nie miała pojęcia, czy było ją w ogóle stać na takie odprężenie po tylu latach zachowywania bezpiecznego dystansu do całego świata. Jej największa siła, jak rzekła Mayli Wu. I największa słabość. Rozumiała to teraz doskonale, ale nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić.

Coś zaszeleściło w ukwieconych krzakach na prawo. Dirisha w okamgnieniu znalazła się przed Carlosem i zasłoniła go własnym ciałem. Odruchowo uniosła prawy spetsdöd.

– Wyłaż stamtąd powoli, tygrysku, bo przeleżysz następne sześć miesięcy

w paraliżu!

Przez ścieżkę przemknęło drobne zwierzątko z długimi uszami. Dirisha odprowadziła je lufą spetsdöda, powstrzymawszy się od wystrzelenia dosłownie w ostatniej chwili.

Carlos zaśmiał się za jej plecami.

Spojrzała na niego.

– Królik – powiedział. – Czy raczej jego lokalna wersja. Niegroźny roślinożerca.

Dirisha opuściła rękę. Nastawiła czujniki na wychwytywanie obiektów cięższych niż dziesięć kilogramów, co wyjaśniało, dlaczego królik nie został przez nie zauważony. Może i był niegroźny, skąd miała o tym wiedzieć? Dane na temat planety, które przejrzała, nie zawierały żadnych informacji na temat małych zwierząt.

– Dziękuję – powiedział Carlos, tym razem z poważną miną.

– Za co? – spytała zdumiona. – Przecież nic ci nie groziło.

Podszedł bliżej, niemalże się dotykali.

– Ale mogło. Woliałś przyjąć uderzenie na siebie, byle zapewnić mi bezpieczeństwo.

Dirisha uniosła spojrzenie. Była wysoką kobietą, ale Carlos przerastał ją o pół głowy. Jego ciało również robiło wrażenie, ważył przynajmniej dwadzieścia kilo więcej. Nie dorównywał może Borkowi, ale i tak należał do wyjątkowo dobrze zbudowanych mężczyzn.

– Na tym polega moja praca, Rajeem.

Dotknął jej ramion i wolno przesunął dłonie w dół.

– Tak.

To, co Dirisha ujrzała w jego oczach, można było nazwać zwykłym pożądaniem. Pożądał jej tak samo jak ona jego. Ale czy chodziło tylko o seks? Fizyczne pragnienie podsycone wyimaginowanym niebezpieczeństwem, któremu właśnie stawili czoła? A może kryło się w tym coś jeszcze?

Pochylił się i pocałował ją. Ich rozchylone usta połączyły się delikatnie, z łagodnością, tak czule, że niemal niewyczuwalnie. Pocałunek był jednak realny, temu akurat nie dało się zaprzeczyć. Dirisha przez całe życie słuchała i czytała opowieści o iskrze, która przebiega w takich chwilach między kochankami, ale nigdy dotąd sama czegoś takiego nie doznała. Aż do teraz.

Cofnął się, by na nią spojrzeć.

I nagle uświadomiła sobie, że widziała już podobne spojrzenie. Tak patrzył Bork na Mayli Wu, gdy poprosiła go, by ją pocałował. Bork patrzył na Mayli tak samo jak Rajeem na nią. Zdumiało ją to tak bardzo, że nie potrafiła wykrztusić ani słowa.

Nabrała szybko tchu, czując, jak jej serce próbuje wyrwać się z piersi. Pociągał ją, obezwładniał, oszałamiał. Wszystkie dni wypełnione milczącym, tłumionym pożądaniem nagle zbiegły się w tej jednej chwili. On też jej pragnął. Ale czy przez cały czas? Przecież ona pragnęła go od początku, choć usiłowała tłumić to uczucie, nie mając żadnych nadziei, że kiedykolwiek da mu upust.

Minęła wieczność. Dirisha czuła, jakby znów z dziewczyny stawała się kobietą; oszołomiona patrzyła, jak obrazy całego życia przemykają jej przed oczami. Widziała w nich siebie taką, jaką była kiedyś, i taką, jaką mogła być. Miała przed sobą wiele dróg i musiała wybrać tę, którą będzie podążać. W jej głowie pojawiła się raptem myśl, która leżała zagrzebana pośród innych tak długo, że uwolniła się z największym trudem. Dirisha przyglądała się, jak ta myśl rośnie i pęcznieje, a potem wstrząśnięta zrozumiała jej przekaz – nie trzeba z niczego rezygnować! Niczego nie straci, jeśli ustąpi przed mocą uczucia i pokocha tego mężczyznę, pozwalając mu pokochać siebie.

Niczego nie stracisz, a jedynie zyskasz!

Ale jak do tego doszło? Była Matadorą, jej zadanie polegało na chronieniu klienta, niczym więcej!

Miała wrażenie, że słyszy śmiech Pena, gdy wreszcie uświadomiła sobie, co tak naprawdę tym razem osiągnęła. Nareszcie zobaczyła wyraźnie to, czego dotychczas, jak ostatnia idiotka, nie potrafiła dostrzec. Wykorzystał ją w swojej intrydze, pchnął w ramiona innego, tak jak wcześniej pchnął ją w ramiona Genevy! Oto Pen, kosmiczny swat!

Ale dlaczego? Czy chodziło tylko o to, by Rajeem Carlos otrzymał najlepszego ochroniarza w myśl teorii Pena o subiektywizmie i obiektywizmie? A może chodziło o coś więcej? Może Pen usiłował dać jej coś, czego jej brakowało, tak jak uczynił to w przypadku Genevy? Niech go szlag! Czy ten człowiek ubzdurał sobie, że jest bogiem i może manipulować ludźmi wedle własnego widzimisię? Cholera, przecież nie musiała tańczyć, jak Pen jej zagrał! Mogła po prostu odwrócić się i odejść! Ale...

Właśnie – ale. Czuła do Rajeema coś pięknego, coś wykraczającego poza fizyczne pożądanie; teraz chodziło o coś więcej niż tylko wykonanie dobrej

roboty. Owo uczucie było potężne, bez wątpienia najpotężniejsze, jakiego doświadczyła od wielu lat. Pochwyciło ją na podobieństwo stalowych szponów i nie puszczało, choć dobrze wiedziała, że doprowadził ją tu Pen, zupełnie jakby była ślepa. Uformowanie tego słowa przyszło jej z trudem i nie zabrzmiało tak, jak sądziła, że zabrzmieć powinno, ale w końcu się pojawiło. Miłość. Potężniejsza od fanatyzmu, jak utrzymywał Pen. Dirisha wiedziała, że to prawda, nie dało się temu zaprzeczyć.

Nie była pewna, czy upłynęła milisekunda, czy raczej żywot jakiegoś boga. Mayli powiedziała, że jej największa siła to zarazem jej największa słabość, lecz z chwilą, gdy Dirisha uświadomiła sobie, czym jest miłość, słowa Mayli przestały mieć sens. Odrzuciła lęk przed utratą własnej tożsamości, odrzuciła gniew na Pena, a okazało się to równie łatwe jak uśmiech.

Zauważyła, że Rajeem dostrzega jej przemianę, a jego twarz nabiera blasku. Pochylił się, by pocałować ją raz jeszcze.

Dirisha zarzuciła mu ręce na szyję i z pasją odwzajemniła pocałunek. Zapragnęła tego mężczyzny jak nigdy wcześniej nikogo innego. Pieścił jej plecy i pośladki, budząc w niej nowe pokłady namiętności. W odpowiedzi wtuliła się w jego ciało, jakby chciała się złąć z nim w jedno.

Muskał jej szyję ustami i językiem, a ona, przechyliwszy głowę, zaśmiała się. Dłonie Rajeema ujęły zapinki jej ortoskafandra, rozpięły go, zsunęły spodnie; musnęły piersi, brzuch, uda. Poczwała, jak drżący język napiera na łechtaczkę, jak usta lekko ssą wargi sromowe. Och, tak! Drżały jej kolana, ale wciąż stała, trzymając dłonie w jego włosach. Nagle Rajeem chwycił ją za pośladki i pociągnął ku sobie. Wiedziała, że nie może stracić panowania nad sytuacją, okolica była zbyt niebezpieczna. Pomimo namiętności wciąż pamiętała o otoczeniu. Pozwoliła mu, by kontynuował jeszcze przez moment, a potem kazała mu wstać.

– Nie spiesz się – powiedziała, po czym sama ześlizgnęła się w dół. Ściągnęła mu spodnie, wsunęła do ust jego członka i zaczęła rytmicznie poruszać głową. Dotyk jej języka sprawił, że Rajeem jęknął. Pochylił się i chwycił ją pod ramiona, a potem uniósł z taką łatwością, jak dorosły mężczyzna podnosi dziecko. Trzymając dłonie na jej pośladkach, podźwignął ją wyżej, aż jej podbródek znalazł się nad jego głową, a potem powoli i delikatnie opuścił. Wchodził w nią, aż stali się jednością w najbardziej pierwotny sposób. Nie puszcżając, zaczął poruszać biodrami, a Dirisha

odwzajemniła się tym samym.

Gdy kończył, miała wrażenie, że ugną się pod nim kolana i upadnie. Zadrżał, ale ją utrzymał. Czowała, jak jego członek pulsuje w jej wnętrzu. Pocałowała go w szyję i przytuliła mocno, nie chcąc, by z niej wychodził. Stał w bezruchu jeszcze długą chwilę.

Nagle Dirisha wybuchła śmiechem.

– O co chodzi?

Odchyliła głowę, by widzieć jego twarz.

– Pen – powiedziała. – Pen przewidział, że do tego dojdzie. Że odnajdziemy w sobie pasję i razem dotrzemy do tego miejsca.

Znów się roześmiała. Tak naprawdę nie miało to żadnego znaczenia. Gdy znów ujrzy Pena, ucałuje go i podziękuje za wszystkie podstępne machinacje. Sukinsyn. Uwielbiała go.

Rajeem również się roześmiał.

– Tak, doskonale by się dogadał z Beel.

Dirisha poczuła, jak ogarnia ją nowe uczucie.

Strach? No tak, co pomyśli o tym Beel? Jakiej natury był ich związek? Monogamiczny?

– Będzie z siebie niezwykle zadowolona po wszystkich tych podchodach – ciągnął Rajeem.

Odchyliła głowę, nadal go obejmując.

– Co takiego?

– A jak myślisz, dlaczego wysłała nas tu samych? Zna mnie, a ciebie lubi. I to bardzo. Zorientowałem się już podczas waszego pierwszego spotkania.

Ścisnął jej pośladki, wciąż uśmiechając się promiennie.

– Masz coś przeciwko kobietom? Albo trójkątom?

– Nie.

– Dobrze. Mam wrażenie, że ty i Beel świetnie się dogadacie.

– A co powiesz na to, żebyśmy weszli do środka? Na pewno będzie mi się łatwiej odprężyć, wiedząc, że nic nie wyskoczy na nas z krzaków, podczas gdy twój szalony język będzie robić to, co do niego należy.

Dirisha zaskoczyła samą siebie. Pen znów miał rację, przecież nadal była profesjonalistką, nic się nie zmieniło. Obiektywizm, subiektywizm? Nic nieznaczące słowa. Umiejętności Matadory nie zniknęły tylko dlatego, że uwolniła tę część swojej osobowości, która pozostawała spętana przez całe dorosłe życie.

– Cokolwiek sobie życzysz – rzekł Rajeem i ruszył w stronę domu, niosąc kochankę, która wciąż oplatała go nogami.
Zaśmiała się, bo wiedziała, co ją czeka.
Zapowiadała się niezła zabawa.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Rajeem jeszcze spał, gdy Dirisha naga wyszła z łóżka. Uśmiechnęła się na jego widok i bezszelestnie wślizgnęła do pokoju komunikacyjnego. Nastął świt i przez okno wpadało blade, łagodne światło. Podeszła do pulpitu systemu bezpieczeństwa. Wszystkie czujniki milczały, a raporty nocnego zespołu ochrony niczym się od siebie nie różniły – brak podejrzanej aktywności.

Klęknęła na pozbawionym oparcia fleksifotelu i dotknęła klawisza uruchamiającego moduł komunikacji zewnętrznej, aż ekran zaczął się rozjaśniać. Musiała wysłać pewną wiadomość. Do Genevy.

Łuna bijąca od ekranu rozrzedziła półmrok pokoju.

Gotów do transmisji. Kod dostępu?

Geneva była już pewnie na Ziemi, gdzie ochraniała ambasadora. Dirisha nie znała miejscowych kodów, ale mogła wysłać wiadomość do Matador Villi, Pen z pewnością przekaze ją dalej. Nie miała wątpliwości, że stary mistrz oczekuje na jakiś znak życia.

Istniały miliony rzeczy, które chciałaby powiedzieć Genevie, ale żadna nie była niezbędna. Całą treść musiała zawrzeć w kilku prostych zdaniach. Wprowadziła kod dostępu Pena w Matador Villi, lecz po chwili zmieniła zdanie. Nie chciała niczego pisać, wolała przekazać wiadomość ustnie:

– Pen, prześlij tę wiadomość Genevie. Tobie też chcę coś przekazać. Chcę ci podziękować. Trochę to trwało, ale wreszcie się połąpałam.

Chrząknęła.

– Cześć, mała. Wiem, że czasami wolno kapuję, ale nawet mimo tego, że dzielą nas całe lata świetlne, chciałam ci powiedzieć, że w końcu wszystko sobie poukładałam. Kocham cię, Geneva. Potrzebowałam kogoś, kto by mi uświadomił, jak bardzo byłam skrepowana przez całe życie. Jego też kocham, ale odkryłam, że miłości nie można ograniczyć. Uważaj więc na siebie, żebym kiedyś mogła ci to powiedzieć osobiście.

Dirisha uśmiechnęła się do ekranu.

Wiadomość przyjęta, pojawił się komunikat. Czy utworzyć kopię?

– Nie – powiedziała. Nie musiała tego oglądać.

Do pokoju wszedł Rajeem – usłyszała ciche kroki na jedwabnym dywanie – i stanął za komputerem. Położył dłonie na jej ramionach i przesunął je niżej, na nagie piersi.

– Dzień dobry, Rish – ziewnął. – Co się dzieje?

Odwróciła się, by na niego spojrzeć.

– Musiałam się zająć starymi problemami. Dokończyć kilka ważnych spraw.

– Aha. Dobrze. A co powiesz na powrót do łóżka? Jest coś jeszcze, co warto dokończyć.

– Taaa?

– Cóż, jeśli nie wrócisz, to nigdy się nie dowiesz, o co mi chodzi.

– Jak mogłabym się oprzeć tak błyskotliwej logice?

Rajeem nachylił się i pocałował ją w szyję.

* * *

Dirisha wpatrywała się z zachwytem w zmierzwiłone, rude włosy Rajeema, gdy wtem rozbrzmiała melodia komunikatora ściennego.

– Tak? – spytał Rajeem.

– Dzień dobry, drogi małżonku – odpowiedziała Beel, a holoe ekran ukazał rozpromienioną twarz. – Masz coś przeciwko przejściu na wizję?

Rajeem zerknął na leżącą obok Dirishę, która uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Włączyć wizję – polecił.

Gdy Beel ujrzała męża w jednym łóżku z Dirishą, na jej twarzy rozlał się jeszcze szerszy uśmiech. Dirisha usiadła, a prześcieradło zsunęło się z jej ramion, odsłaniając nagie ciało.

– A niech mnie! – wykrzyknęła Beel, udając przerażoną.

– O cholera! – roześmiał się Rajeem. – A teraz powiedz, że nigdy by ci to do głowy nie przyszło.

Beel usiłowała zachować powagę.

– Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że... – zaczęła, lecz nie wytrzymała i wybuchła śmiechem. Minęła chwila, nim zdołała się opanować. – Rozumiem, że zadbałaś, by się zbytnio nie przepracowywał, Dirisha?

– Zafundowaliśmy sobie odrobinę relaksu.

– Świetnie. Załatwiłam już wszystkie interesy, a dzieciaki wróciły do szkoły. Nie przeszkadzałyby wam dodatkowe towarzystwo?

Rajeem znów zerknął na Dirishę, a ona puściła do niego oko.

– Wręcz przeciwnie – powiedział. – Z miłą chęcią powitamy dodatkowe towarzystwo, zwłaszcza twoje.

– A zatem do zobaczenia wieczorem.

– Tak dla zaspokojenia mojej ciekawości – odezwała się Dirisha, gdy Beel przerwała połączenie. – Często to robicie?

– Nie. Jesteśmy bardzo wybredni, jeśli chodzi o ludzi, którymi się dzielimy. Ty jesteś szczególna, Dirisho. Nie ma wielu osób, z którymi czuję się bezpiecznie lub swobodnie, nie mówiąc o takich, które na dodatek mogą obdarzyć zaufaniem bądź miłością. To samo dotyczy Beel. W kwestii dzielenia się sobą i swoim czasem bywamy bardzo skąpi. Obie te rzeczy są zbyt cenne, by dawać je byle komu.

– Dziękuję ci – rzekła Dirisha i pochyliła się, by pocałować kochankę w ramię.

– To wszystko, na co cię stać?

Rajeem zaśmiał się i Dirisha ponownie go pocałowała. Okazywanie uczuć wcale nie było takie straszne. Jak to możliwe, że kiedykolwiek się tego bała? Pen – niech go szlag trafi! – jak zwykle miał rację. Doskonale rozumiała, co chciał jej przekazać, kiedy mówił, że Geneva dla miłości popędziłaby kota całej galaktyce. Roztaczał się przed nią całkowicie nowy wymiar, w którym nigdy dotąd nie postawiła stopy, a było to miejsce wspaniałe. Zrozumiała kolejną cechę Pena, o której rozmyślała od dłuższego czasu – ten człowiek traktował każdego adepta w inny sposób. Nie każdy otrzymałby to, co przypadło jej w udziale, ponieważ nie każdy miał te same mocne i słabe strony. Niczym ogrodnik, który hoduje rzadkie, egzotyczne rośliny, Pen podlewał i nawoził każdego z nich tak, by rozwijał się prawidłowo i wspaniale rozkwitał. Zarówno w jej przypadku, jak i przypadku Genevy najwłaściwszą glebą okazała się miłość. Dla innych mogło to być coś zupełnie innego. Pokręciła głową. Tak, Pen był mistrzem wśród ogrodników...

* * *

Dirisha stała ze Sterburtą na werandzie za budynkiem. Na zachodnim niebie wzbierał sztorm. Ciężkie, szare cumulonimbusy ciemniały, a między nimi migotały błyskawice. Dirisha odliczała w myślach sekundy, nasłuchując gromu. Wyliczyła, że burza znajduje się w odległości dwudziestu kilometrów. Lada chwila dotrze i tutaj. Odwróciła się od nadciągających strug deszczu ku Sterburcie.

– Opowiedz raz jeszcze – poprosiła.

– Wyglądali na parę szczeniaków, którym zachciało się pobaraszkować w krzakach i postanowili znaleźć dogodne miejsce. Ładna para, nie ma co.

Przylecieli tu starym flitterem na miejscowych numerach. Sprawdziłem je, flitter jest zarejestrowany na imię, które podał mi ten koleś. Sprawdziłem pozostałe dane i okazało się, że to miejscowy, pracuje w pobliskiej agrokomunie jako technik. Nie zauważyłem żadnego ukrytego sprzętu, skanery poszukujące broni również niczego nie wykryły.

Dirisha pokiwała głową. Przez cały ten tydzień nikt inny nie zbliżył się do posiadłości. Za jakąś godzinę miała tu przybyć Beel, ale przecież ona była poza wszelkimi podejrzeniami.

– Do agrokomuny jest stąd zaledwie piętnaście kilometrów – powiedziała. – Nie aż tak daleko, jeśli człowiekowi zależy na ustronnym zakątku. Były przecież ślady, że ludzie zakradali się tu przed twoim przybyciem, prawda? Puszki po piwie, śmieci po pikniku?

– No – Sterburtą przygryzał dolną wargę.

– Ale coś ci nie pasuje?

– Uhm – kiwnął głową. – Tylko że nie wiem co. Coś mnie gryzie. Szkoda, że nie mamy jeszcze kilku elektronicznych gadżetów przy bramie. Poczulbym się o wiele lepiej, gdybym mógł smarkacza potraktować wykrywaczem kłamstw.

Dirisha zastanawiała się nad dalszymi krokami. Prawdopodobnie chodziło o fałszywy alarm, ale z drugiej strony dobra Matadora nigdy nie zostawia niczego przypadkowi.

– Weź ze sobą jakieś wsparcie z nocnej zmiany i sprawdź to. Pogadaj z miejscowymi gliniarzami, potwierdź słowa chłopaka. Dowiedz się wszystkiego o dziewczynie. Jak będziesz w agrokomunie, możesz zresztą zrobić zakupy. Poczujesz się wtedy lepiej?

– No.

– To do roboty. Aha, weź duży poduszkowiec.

Sterburtą odszedł i Dirisha znów spojrzała na odległe chmury. Ich podbrzusza były już prawie purpurowe, widziała też zacinające strugi deszczu tak grube, że tworzyły wręcz ciemnoszarą ścianę. Chłodny wiatr targnął drzewkami bonsai i kwiatami. Burza bez wątpienia zmierzała w ich kierunku, czas między błyskawicą a grzmotem zmniejszał się z każdą chwilą. W powietrzu pełnym jonów wisiało napięcie. Deszcz z całą pewnością rozreguluje cały system sensoryczny, nawet pomimo zastosowania pełnych filtrów. Musiała zmniejszyć ich moc do poziomu, w którym będą marginalnie skuteczne, czujniki ruchu staną się natomiast bezużyteczne. Niezbyt jej to

odpowiadało. W tej sytuacji jedyne rozwiązanie polegało na zorganizowaniu kolejnych patroli. Wiedziała, że nie zdobędzie sympatii ludzi, każąc im sterczeć na ulewnym deszczu nie wiadomo jak długo, ale nie знаła innego wyjścia. Mogła sobie wyobrazić ich marudzenie: to tylko strata czasu, przekroczenie systemu płotów lub przejście przez bramę graniczy z cudem, tylko skończony idiota lata podczas burzy i tak dalej. W duchu przyznawała im rację, ale wyszkolono ją zbyt dobrze, by mogła zaniechać jakichkolwiek środków ostrożności. Ryzykowała życie klienta, a nigdy nie wierzyła, że coś jest niemożliwe. Lepiej zadbać o wszystkie szczegóły, by zapewnić sobie i klientowi bezpieczeństwo.

* * *

Beel dotarła na miejsce dosłownie w ostatniej chwili. Burza rozpętała się nad posiadłością i huk deszczu niemalże zagłuszył wołanie strażnika:

– Fem Carlos, sama, hopper z wypożyczalni!

– Nie każ jej sterczeć na deszczu! – poleciła Dirisha.

Przerwała połączenie i odwróciła się ku Rajeemowi, który obserwował ulewę przez okno. Domem wstrząsnął silny powiew wiatru. Mignęła błyskawica i niemalże natychmiast dołączył do niej grzmot. Blisko. Budynek był osłonięty polem Faradaya, co wykluczało możliwość bezpośredniego trafienia, ale mogło się zdarzyć, że przewróci się nań trafione błyskawicą drzewo.

Dirisha podeszła do Rajeema, który objął ją w pasie i położył dłoń na jej biodrze.

– Uwielbiam patrzeć na burzę – powiedział. – W dzieciństwie mieszkałem na Ziemi w rejonie półtropikalnym, gdzie burze z wyładowaniami nie były niczym rzadkim, zwłaszcza latem. Czasami nie chowałem się nawet w domu. Stałem pod okapem dachu lub otaczałem się polem ochronnym i wchłaniałem potęgę natury.

– Nie bałeś się błyskawic?

– Nie. Byłem na to zbyt głupi. Wydawało mi się, że jestem niezniszczalny i że będę żyć wiecznie.

Odwrócił się od okna i uśmiechnął do Dirishy.

– Beel dotarła na miejsce. Właśnie odebrałam meldunek od strażnika.

Rajeem złapał ją drugą ręką i przyciągnął.

– Świetnie. Myślę, że ją naprawdę polubisz.

Dirisha pogładziła go delikatnie po plecach.

- Ale ja już ją lubię! Dała mi w tym tygodniu całkiem fajny prezent.
- Tylko „całkiem fajny”? Jestem zdruzgotany!
- I nawet tak wyglądasz. Przecież sam dobrze wiesz, że prezent był wprost wspaniały.
- Cóż, sama również jesteś nie najgorsza. Jak na kobietę, która mogłaby mnie spętać jak prosiaka.
- Uważaj, bo mogę ci coś takiego zafundować. Wiesz, żeby nie wyjść z wprawy.

Rozległ się cichy, melodyjny dzwonek oznaczający przybycie gościa.

- Ups, mamy towarzystwo.
- Świetne wycucie czasu, to z pewnością moja małżonka. Otworzę...
- Ani się rusz – rozkazała Dirisha. – Oboje wiemy, że to Beel, ale płacisz mi, by mieć absolutną pewność.
- Rajeem przekrzywił lekko głowę.
- Droga wolna, tygrysku! – powiedział, umiejętnie naśladowując ton głosu Dirishy.

– I jeszcze do tego aktor – roześmiała się. – Lista twoich talentów nie ma chyba końca.

Odwrócił się, by podziwiać burzę, a Dirisha ruszyła do drzwi. Wejście znajdowało się po zawietrznej budynku. Ganek był osłonięty szerokim okapem, ale wiatr dął tak gwałtownie, że żaden dach nie bronił przed chmurami pyłu. Kamera zainstalowana nad drzwiami obejmowała cały ganek i przetwarzała obraz w holoprojekcję umieszczoną tuż obok panelu sterującego. Nie było wątpliwości, to Beel przemoczona do suchej nitki. Pojazd z wypożyczalni stał na trawniku w odległości zaledwie dziesięciu metrów. Między nim a drzwiami błyszczały już kałuże, strugi ulewnego deszczu zdawały się wprost rozbijać o ich powierzchnię.

Gdy tylko Dirisha otworzyła, Beel wbiegła do przedsionka.

– Na świętego Changa! – zawołała. – Już myślałam, że utonę!

Dirisha pomogła jej zdjąć przemoczony płaszcz. Uporawszy się z nim, Beel ściągnęła buty i odrzuciła je w kąt. Upadły na podłogę z mokrym plaśnięciem, a ich właścicielka odwróciła się do Dirishy.

– Cześć – powiedziała i wyciągnęła rękę.

Uściskały się serdecznie. Dla Dirishy nie był to już krępujący rytuał, wręcz przeciwnie – czuła się akceptowana i pokrzepiona na duchu. Po chwili rozluźniły uścisk, a Beel cofnęła się, by obejrzeć koleżankę od stóp do głów.

– Świetnie wyglądasz – stwierdziła.
– I tak też się czuję. Dzięki. Dzięki za... za wszystko.

Beel chwyciła dłonie Dirishy.

– Nie ma sprawy.

Obie się uśmiechnęły.

– Rajeem jest w salonie... – zaczęła Dirisha.

– I gapi się na burzę – dokończyła Beel.

– Chodźmy.

Dirisha wzięła Beel pod rękę i ruszyła wraz z nią korytarzem.

Carlos powitał je uśmiechem.

– Nirwana bez wątplenia istnieje – oznajmił – bo właśnie się w niej znalazłem.

Rozłożył ręce, by przytulić obie kobiety. Ich ciała połączyły się, tworząc ludzki trójkąt przed wielkim oknem.

Dirisha nigdy dotąd nie czuła się tak kochana i bezpieczna. Zapłakała bezgłośnie; łzy spływały po jej policzkach i wsiąkały w ubrania dwójki najcudowniejszych ludzi w całej galaktyce.

* * *

To była miłość. Prawdziwa miłość, nie miłość ślepa ani nie romantyczne zadurzenie z holofilmów. Choć już na nią czekali, Dirisha dokładnie sprawdziła stanowiska ochrony. Wykonała pełny skan elektroniczny i zajrzała na chwilę do każdego ze strażników. Dopiero wtedy mogła się odprężyć. Oczywiście nie całkowicie, ale tak dalece, jak to możliwe w przypadku Matadory. Ach, Pen. Ciebie też kocham. Za to, co mi dałeś.

* * *

Gdy za młodu pracowała jako dziewczyna do towarzystwa, czasami dołączała do pary klientów, którzy sobie tego życzyli. Choć wówczas nie odpowiadał jej seks w trójkacie, teraz prześladujące ją uczucie niezręczności minęło. Czuła, że wszystkiego jest więcej – więcej dłoni, więcej ust, więcej języków... Czuła, że jej odruchy i zachowania stają się całkowicie naturalne, że powinna gładzić kobiecą pierś, gdy całuje się z mężczyzną, że powinna czuć mężczyznę w sobie, gdy całuje uda kobiety. Nikt się nie spieszył, nikt nie grał w żadne seksualne gry, nikt nie chciał niczego poza wyrażeniem uczuć i sprawieniem pozostałym przyjemności.

Dirisha nigdy dotąd niczego takiego nie doświadczyła, a było to niezwykle przeżycie, podobnie jak jej pierwszy raz z Rajeemem. Nie

chodziło jednak o sam seks, lecz o to, co się za nim kryło. O miłość. Mayli Wu miała rację.

Usta, dłonie i piersi dotykały, pieściły... Orgazm Dirishy rozciągał się niczym tęcza złota i zakończył łagodnie, wprowadzając ją w stan zachwyty. Potem doszła po raz drugi, i jeszcze raz, i jeszcze. Noc płynęła niczym wystudzony miód, bez końca.

– Kocham was – powiedziała.

W otulających ich ciepłych ciemnościach usłyszała podwójne echo swych słów. Deszcz nadal bił w dach. Przy jego muzyce Dirisha zapadła w pełen zadowolenia sen.

DWADZIEŚCIA DWA

Rano wciąż padało. Dirisha wyslizgnęła się z wielkiego łóża, pozostawiając śpiących, wtulonych w siebie Rajeema i Beel, a potem ruszyła do swoich zadań.

Prognoza pogody była zwiężła i treściwa. Wczorajsza burza stanowiła zaledwie zwiastun najgorszego i zanosilo się na całe dwa dni opadów. Dirisha uśmiechnęła się. Perspektywa przymusowego aresztu z Beel i Rajeemem ani trochę jej nie martwiła. Ludzie z zespołu mogą ją znienawidzić, ale przecież wszyscy byli znakomicie opłacanymi profesjonalistami. Dadzą sobie radę.

Pospieszny przegląd systemu bezpieczeństwa potwierdził jej obawy – połowa czujników w ogóle nie działała. Prawdopodobnie całe mnóstwo zakończeń znalazło się pod wodą. Zresztą po tylu wyładowaniach elektrycznych graniczyło niemalże z cudem, że przynajmniej część ocalała. Cóż, wymieni się je, gdy przestanie padać.

Komunikator zapiszczał, informując o połączeniu przychodzącym.

– Dirisha, utknałem w tej cholernej komunie, jak tylko zaczęła się burza. Drzewo zważyło się w poprzek drogi.

– Otrzymałam raport – powiedziała. – Bakburta zapisał treść poprzedniego meldunku.

– Jasne, ale nie miał szans zapisać tego, co wyniuchałem w nocy. Wygląda na to, że mamy problem.

Dirisha poczuła, jak przeszywa ją zimno; ledwo zapanowała nad nagłym przypływem adrenaliny. Nakryła dłońmi punkt *hara* i wykonała krótki rytuał *reiki*, który pomagał w koncentracji i skupieniu.

– Wal.

– Na młodego we flitterze nic nie znalazłem. To miejscowy chłopak, żadnych problemów z prawem i tak dalej. Gorzej z laską, pusta karta. Nikt jej nie zna. Co gorsza, ten szczył – ma na imię Ashir, tak na marginesie – nie pojawił się tutaj od chwili, gdy go zobaczyłem. Coś mnie tknęło i sprawdziłem jego kwatere. Nie nocował tam.

Dirisha zamyśliła się.

– Może złapała ich burza i postanowili spędzić noc w pojeździe?

– Może – Sterburtą wydawał się nieprzekonany.

– Coś jeszcze cię gryzie.

Nastąpiła chwila ciszy, jakby ochroniarz zbierał myśli.

– Podchodzą tu dość luźno do kwestii bezpieczeństwa. Nie zapisują, kto przybywa do komuny ani kto z niej wyjeżdża, ale nikt, po prostu nikt nie kojarzy laski, która była z Ashirem. Przedstawiłem wyczerpujący opis i nic. To mała osada, może z tysiąc ludzi, większość mieszka tu od dawna. Przecież ktoś musiałby ją znać.

– Czyli nie jest miejscowa.

– No. Więc skąd się tu wzięła? To jedyny ośrodek cywilizacji w promieniu kilkuset kilometrów. Nie wydaje ci się to dziwne? Nasz drogi Ashir pojawia się z laską spoza komuny, a potem próbuje się wślizgnąć do naszej posiadłości. Coś tu nie gra.

Dirisha nabrała głęboko tchu i powoli wypuściła powietrze. Słowa Sterburty wskazywały, że obudził się w nim instynkt, tajemniczy, podświadomy zmysł wymykający się wszelkim próbom racjonalnego wyjaśnienia. Dirisha często spotykała się z przejawami instynktu i bynajmniej go nie lekceważyła, zwłaszcza jeśli przejawiał go ktoś wyszkolony w Sztukach. Reakcja Sterburty na nieznaną dziewczynę obudziła w niej niepokój. Coś było nie w porządku i oboje to czuli pomimo braku logicznych przesłanek.

– Okej, wiem, o co biega. Wolałabym mieć cię na miejscu, więc zasuwasz do posiadłości, jak tylko oczyszczą drogę.

– Rozkaz.

Dirisha odwróciła się od komunikatora. Może ów raport nic nie znaczył, a może znaczył bardzo wiele. Mając ledwie połowę sprzętu na chodzie, czuła się bezbronna i zagrożona. W duchu zaczęła się zastanawiać, czy wakacyjny wypad rzeczywiście był tak dobrym pomysłem.

Uśmiechnęła się. Nie, pomysł był dobry. Dobre było wszystko, co się jej do tej pory przytrafiło. Nie mogła sobie jedynie pozwolić na utratę czujności tylko dlatego, że właśnie odkryła Wielką Prawdę. Jeśli do tego dopuści, wielu ludziom stanie się krzywda. Zadrzała na myśl, że jednym z nich mógł być Rajeem.

* * *

Śniadanie przyniosło chwilę odprężenia. Rajeem i Beel wydawali się rozanieleni, a Dirisha czuła, że sama promienieje wewnętrznym ogniem. Oboje byli zrelaksowani, przyjemnie przebywało się w ich towarzystwie. Posiłek złożony z egzotycznego pieczywa, owoców i steków tofu został

przygotowany przez Rajeema i smakował wybornie. Dirisha nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni czuła się tak beztrosko.

Nastrój popsuł dopiero sygnał meldunku Sterburty. Dirisha uśmiechnęła się i odebrała, ale jej uśmiech zgasł niemal natychmiast.

– Miejscowi gliniarze znaleźli flitter Ashira parę kilosów stąd. Spalony. Deszcz przeszkodził w rozprzestrzenieniu się ognia, ale było tyle dymu, że uruchomiły się wykrywacze w stacji leśnej. We wraku znaleźli martwego Ashira. Gdyby, nie deszcz, zwłoki pewnie by się spaliły, a tak jeden z gliniarzy ustalił, że przyczyną śmierci nie był wypadek.

– A co?

– Wygląda na to, że chłopak dostał elektrokastetem w tył głowy. Laski ani widu, ani słychu.

Niespodziewanie nieznana kobieta stała się realnym zagrożeniem. Ktoś zabił miejscowego chłopaka, który wcześniej podjechał do bram posiadłości w poszukiwaniu... No właśnie, czego? Drogi do środka?

– Wracaj tu – rozkazała Dirisha.

Za jej plecami Beel śmiała się z jakiegoś żartu Rajeema, ale Dirisha przestała zwracać na nich uwagę. Błyskawicznie wprowadziła do podręcznego komputera kod wzywający wszystkich członków ochrony. Na służbie znajdowało się w tej chwili czternastu, poza służbą sześciu, wliczając Sterburte. W przeciągu trzydziestu sekund zapaliło się siedemnaście zielonych diod na panelu kontrolnym. Sterburta przebywał poza zasięgiem komputera, a to oznaczało, że nie zgłosiło się dwóch. Gdzie teraz byli, do jasnej cholery?

Zapaliła się kolejna dioda. Dirisha wstukowała kod spóźnialskiego i wywołała go.

– Gdzie byłeś, Tam?

– Przepraszam – usłyszała odpowiedź. – Ja, eee... Zew natury. Musiałem sobie otrząsnąć.

– Jeśli jeszcze raz się okaże, że nie możesz odpowiedzieć na wezwanie w ciągu trzydziestu sekund, nie będziesz miał czego sobie otrząsnąć!

Znów zerknęła na panel. Jedna dioda wciąż była zgaszona. Szybko wstukowała kod Treacher. Brak odpowiedzi. Błyskawicznie przeszła na kanał ogólny.

– Czy ktoś widział Treacher? Nie mam od niej odpowiedzi.

Nikt jej nie widział, a przecież pełniła służbę przy bramie. Kurwa mać...

– Marz, Lusso, główna brama! Reszta na stanowiska alarmowe! Prawdopodobnie mamy intruza! Szybko, na jednej nodze!

Deszcz nadal wybijał o dach równy rytm, ale zarówno Rajeem, jak i Beel nie mogli zignorować zaaferowanego głosu Dirishy.

– Dirisha? – zapytał Rajeem. – Coś nie tak?

– Nie jestem pewna. Jeden ze strażników nie odpowiada na wezwanie.

– Może to z powodu deszczu... – zaczęła Beel.

– Może – przerwała jej Dirisha. – Ale póki co dajmy sobie spokój z domysłami. Poszukajcie lepiej jakichś pól ochronnych, na wypadek gdybyśmy musieli wyjść na zewnątrz.

– Na zewnątrz? – zdziwiła się Beel.

– Jeśli na terenie posiadłości przebywa niebezpieczny intruz, będzie się kierował na budynek. Lepiej, żebyście wtedy byli gdzie indziej.

– Ale czy to w ogóle możliwe? Przy tylu strażnikach?

Komunikator Dirishy ożył. Zgłaszał się Marz, ochroniarz, którego wysłała do bramy.

– Treacher jest nieprzytomna! – krzyczał. – Wygląda na to, że oberwała z bliska z miotacza ręcznego! Co mamy robić?

– Przyłóż jej opatrunek, a potem zajmijcie pozycje w taki sposób, żeby osłonić ogniem siebie i bramę! Jedzie tu Sterburta, upewnijcie się, czy to na pewno on, a potem pozwólcie mu wjechać. Jeśli zobaczycie kogokolwiek innego, walcie ze spetsdödów. Jeśli będą mieli pancerze, nie pieprzyć się, rozwalić z parkerów!

Niespodziewanie oślepił ich jaskrawy zielony blask, a firana za plecami Beel stanęła w ogniu.

– Uciekać! – ryknęła Dirisha. W trzech susach przypadła do Beel i odciągnęła ją od okna.

Powietrze przeszył kolejny błysk, pocisk przepalił szybę w oknie i rozbryzgnął się o przeciwległą ścianę. Drewno natychmiast zapłonęło, w pomieszczeniu zaczął się zbierać dym.

– Mają miotacz cząsteczek! – krzyknęła Dirisha. Nawyki Matadory przejęły nad nią pełną kontrolę. – Na ziemię i za mną!

Rajeem kiwnął głową i przypadł do podłogi. Natychmiast zaczął się czołgać na łokciach.

– Rób, co nam każe, Beel! Ona wie, co robi!

We troje przedostali się do jednej z nieużywanych sypialni. Gdy Dirisha

zatrząskiwiała drzwi, w szparze między framugą mignął kolejny zielony rozbłysk. Przypadła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Znajdowali się po przeciwnej stronie budynku, poza zasięgiem zamachowca z miotaczem. Wiatr nieco osłabł, ale deszcz siekł z niesłabnącą siłą. W okolicy nie było żadnej osłony z wyjątkiem kilku drzewek bonsai rosnących w odległości jakichś dwudziestu metrów. Nie zauważyła nikogo po tej stronie budynku. Skoro zamachowiec ich nie widział, mogli bez trudu wyskoczyć przez okno i dostać się do flittera Beel. Dirisha nie była jednak pewna, czy zaatakował ich tylko jeden sabotażysta.

Przez szparę między drzwiami a podłogą zaczął się sączyć dym. Posiadłość ogarniały płomienie wzniecone przez ogień z miotacza. Nie miała wiele czasu do namysłu.

– Wychodzimy – rozkazała. – Ja pierwsza. Jeśli ktoś mnie trafi, zostańcie w środku, jeśli nie, przebiegnijcie parę metrów i przypadnijcie płasko do ziemi, rozumiecie?

Rozumieli, a jakże.

Dirisha nabrała głęboko tchu i rozwarła szeroko oba skrzydła okna. Wyskoczyła, dłońmi zamortyzowała upadek, przetoczyła się po trawie głową do przodu i poderwała do przysiadu, mierząc ze spetsdödów w obu kierunkach pod kątem czterdziestu pięciu stopni od ciała.

Nic, tylko deszcz.

Rajeem skoczył jako drugi, Beel zaraz za nim.

Jedyne, co słyszeli, to plusk wody ściekającej z dachu, szum deszczu i zawodzenie wiatru.

– Za mną! – krzyknęła Dirisha. – Blisko!

Przesuwała się wzdłuż ściany domu. Ortoskafander przemókł w okamgnieniu, lecz nawet nie zwróciła na to uwagi.

Gdy dotarła do rogu, pochyliła się nisko, aż do błotnistej ziemi i ostrożnie wyjrzała za budynek. Wyglądało na to, że od frontu nikogo nie ma. Czy zdążą dobiec do flittera? Dzieliło ich od niego zaledwie kilkanaście metrów, góra piętnaście. Cienki kryształ i plastik, z których wykonano pojazd, nie stanowiły żadnego zabezpieczenia przed wojskowymi miotaczami cząsteczek, ale czym dalej od posiadłości, tym większą mieli szansę na przeżycie. Dlaczego pozostali atakujący nie pilnowali frontu? Czy to możliwe, że był tylko jeden sabotażysta, nieznaną kobietą? Niezależna terrorystka marząca o sławie? Jeśli tak, to Dirisha w ciągu minuty zdąży

wywieźć Rajeema i Beel na odległość kilometra.

Zza zakrętu drogi wyłonił się wielki poduszkowiec. Pracujące z ogromną mocą wirniki wzbijały za nim gęstą chmurę drobnych cząsteczek wody. Dirisha rozpoznała pojazd oraz kierowcę – był to Sterburta. Bez wątpienia zauważył kolejny rozbłysk z broni cząsteczkowej, gdyż skręcił w prawo, aż pojazd przechylił się na bok, rozbryzgując wodę.

Zielona błyskawica śmignęła w kierunku poduszkowca, ale chybiła. Sterburta starał się jechać zygzakiem, lecz pojazd nie został zaprojektowany do tak gwałtownych manewrów. Kolejna błyskawica wgrzyła się w kabinę od strony pasażera. Sterburta wyskoczył na zewnątrz i przetoczył się po ziemi, a nad jego głową przemknęła trzecia wiązka, która wżarła się w kabinę jeszcze głębiej i rozsadziła ją na kawałki. W ściany budynku uderzył grad odłamków plastiku i metalu. Dymiący kawał blachy wbił się w ziemię jakiś metr przed Dirishą. Kłęby dymu przesłoniły Sterburte, ale ten sam dym mógł osłonić ich ucieczkę w kierunku flittera. Dirisha poderwała się i machnęła na Rajeema i Beel, by popędzili za nią.

Nagle znieruchomiała. Błąd. Ktokolwiek korzystał z miotacza, nie był amatorem. Nawet jeśli zaatakowała ich samotna kobieta, to z pewnością zbyt dobrze znała się na swojej robocie, by walić w budynek na oślep w nadziei, że zlikwiduje cel. Nie, Dirisha tego nie kupowała.

– Masz pilota do tego flittera? – odwróciła się ku Beel.

– Ttt... tak! – odparła Beel łamiącym się głosem. – W... w torebce. W sypialni. Dla... dlaczego pytasz?

– Potem ci powiem. Posłuchajcie, chcę, żebyście tu zostali. Wracam za chwilę.

– Dirisha... – zaczął Rajeem.

– Wszystko gra. Po prostu siedź i się nie ruszaj! – rzuciła i zmusiła się do uśmiechu, by dodać im otuchy.

Wróciła do posiadłości i otworzyła drzwi małej sypialni. Z korytarza buchnął gęsty, czarny dym. Przypadła do podłogi. Powietrze było gorące i przesycone swędem spalenizny, ale dało się nim oddychać. Przeczłoła się do głównej sypialni i po jakiejś minucie poszukiwań odnalazła torebkę Beel, po czym pospiesznie wróciła tą samą drogą na zewnątrz.

Rajeem i Beel powitali ją pytającymi spojrzeniami, ale Dirisha zignorowała ich i wydobyła pilota. Zerknęła za róg, a potem cofnęła głowę i zdalnie uruchomiła silnik flittera.

Zielony rozbłysk rozjaśnił deszcz, grzmot zadźwięczał im w uszach. Dirisha odłożyła pilota i raz jeszcze wyrzała na zewnątrz.

W miejscu, gdzie przed chwilą stał wypożyczony flitter, ział czarny krater.

– Tak myślałam – szepnęła Dirisha, kręcąc głową. – Zostańcie tutaj. Czas to zakończyć.

Okrzyła budynek w samą porę, by ujrzeć pojedynczą postać dźwigającą masywny miotacz, która ostrożnie przemierzała dziedziniec tonący w strugach deszczu. Oczekała chwilę, aż nabrała pewności, że terrorystka działa w pojedynkę, a potem pospiesznie ruszyła za nią. Po drodze dostrzegła Sterburtę leżącego nieruchomo na trawie.

Kobieta z miotaczem zmierzała ku wyrwie po flitterze. Dirisha zbliżyła się, aż dzieliło je zaledwie dziesięć metrów. Sabotażystka miała na sobie kombinezon maskujący, ale nie nosiła pancerza. Kombinezon próbował przybrać barwę strug deszczu, lecz nie był do tego przystosowany i mienił się odcieniami brudnej szarości niczym woda w kałuży.

Dirisha uniosła powoli lewą rękę uzbrojoną w spetsdöd. Wbiła spojrzenie w kark nieznajomej, gdzie dostrzegła centymetrowy pas nagiej skóry między kapturem a kołnierzem kombinezonu.

– To by było na tyle, siostró – szepnęła i strzeliła.

Kobieta zatoczyła się i runęła na ziemię, błyskawicznie sztywniejąc. Szok toksyczny nie był niczym przyjemnym, ale przynajmniej oszczędzi jej śmierci. Której ona nikomu oszczędzać nie zamierzała.

DWADZIEŚCIA TRZY

Co z Grandle'em? – zapytał Rajeem.

Przez sekundę Dirisha nie była w stanie skojarzyć imienia z osobą. Sterburta. Zawsze używała przezwisk i nawet w myślach nazywała ich w ten sposób.

– W porządku. Kilka pękniętych żeber i stłuczona wątroba plus potężny guz na głowie. Lekarze twierdzą, że za parę dni będzie jak nowo narodzony.

Znajdowali się w biurze Rajeema w kwaterze głównej Unii Antag. Beel otrzymała własnego ochroniarza, którym okazał się brat Bakburty. Właśnie w tej chwili przemawiała na jakimś korporacyjnym seminarium finansowym. Incydent na prowincji wstrząsnął nią do głębi, ale nie spowolnił jej pracy.

– A co z tą kobietą?

– Lekarze wciąż... wciąż się nią zajmują.

Dirisha powiedziała prawdę, choć niedoszłej zabójczym fizycznie właściwie nic nie dolegało. „Wydobywano z niej zeznania”, co stanowiło eufemistyczne określenie na pranie mózgu. Wkrótce miała zostać oddana zniecierpliwionym władzom Konfedu, lecz nim to nastąpi, Dirisha chciała się dowiedzieć absolutnie wszystkiego. Osobę, która wymierzała śmiertcioną broń w klienta, Matadorzy uważali za pozbawioną większości praw obywatelskich. Niech się Konfed gotuje ze złości – dostanie tę kobietę dopiero wtedy, gdy Dirisha wycisnie ją jak gąbkę.

– Miałam dzisiaj do niej wpaść – dodała.

– Aha. Dobra, muszę wracać do roboty. Trzymaj się, Rish.

* * *

Główny psychomedyk Unii Antag był wysokim, muskularnym mężczyzną w wieku około czterdziestu lat. Miał zmarszczki od częstego uśmiechania się, a gdy mówił, biło od niego silne *ki*. Dirisha oparła się o ścianę gabinetu i słuchała.

– ... powierzchowne reakcje, rzecz jasna. Nie ma wątpliwości, że zabiła chłopaka i próbowała zabić wielebnego Carlosa. Ale nie dowiemy się niczego więcej, chyba że chcesz z niej zrobić śliniacą się roślinkę z wodą zamiast mózgu. Ma założoną blokadę na skanowanie, psychochemy nie działają, a głęboka sonda elektropopiczna ujawniła jedynie kilka kołysanek.

Dirisha podrapała się w czoło lufą spetsdöda.

– Nie ma sensu smażyć jej mózgu. To człowiek Konfedu.

Lekarz wyglądał na zaskoczonego, ale pokiwał głową.

– Też tak uważam. Nikt nie ryzykuje aż do tego stopnia, chyba że gra toczy się o wysoką stawkę. Ta dziewczyna była wyposażona w neurotoksyny, wiedziałś o tym? Ukryto je pod paznokciami, w macicy i za uchem. Gdybyśmy jej dokładnie nie sprawdzili, po odzyskaniu przytomności zabiłaby się w przeciągu dziesięciu sekund.

– Mało który samobójca-amator może sobie na to wszystko pozwolić – stwierdziła Dirisha. – I mało który jest aż tak zdeterminowany. Cholera.

Opuściła centrum medyczne z głową pełną zmartwień. Fakt, że umysł zamachowczyni został zabezpieczony przed skanowaniem, zdradził praktycznie tyle samo, co ujawniłby sam skan. Sabotaż Konfedu oznaczał duże kłopoty – Rajeem Carlos niniejszym stał się oficjalnym celem. Następnym razem wyślą kogoś lepszego. Ochrona klienta polegała na czymś więcej niż tylko udaremnianiu kolejnych zamachów. Można było zwyciężyć sto razy, ale jeśli przegrało się starcie numer sto jeden, gra dobiegała końca. Najwyższa pora, by Rajeem zaczął dbać o pozory; musi się stać nieuchwytny, chyba że Unii Antag zależy na męczenniku. Najwyraźniej władze Konfedu zaczęły inaczej patrzeć na Carlosa, bez wątplenia znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie.

„Jeśli nadal będę go ochraniać”, myślała Dirisha, „prędzej czy później dojdzie do bezpośredniego starcia z Konfedem. A to oznacza zdradę”.

Czy naprawdę jej na tym zależało? Może nadszedł czas, by odejść? Odnaleźć Genewę i udać się na którąś z odległych planet, by tam przeczekać klęskę Konfederacji Galaktycznej?

Bez wątplenia miała twardy orzech do zgryzienia.

* * *

– Ktoś do ciebie dzwonił – powiedział Bakburta. – Z Renault. Jakiś koleś o imieniu Sleel. Pewnie ważne, bo skorzystał z wideołącza White’a.

Dirisha sprawdziła, czy z Rajeemem wszystko w porządku, po czym udała się do komunikatora zewnętrznego. Skoro Sleel był gotów wydawać forszę na połączenie, powinna odwzajemnić się tym samym. Wprowadziła odpowiedni kod.

Kolory holoprojekcji wydawały się wyblakłe – nawet White nie opracował dobrego systemu międzyplanetarnej transmisji kolorów, przez co zadanie ich regulowania spoczywało na komputerze – stąd Sleel wyglądał nieco nierealnie.

– Cześć.

– Cześć. – Steel był wyraźnie zdenerwowany. – Pen kazał mi się z tobą skontaktować. Obdzwaniam wszystkich Matadorów. Zaczynają się kłopoty.

Dirisha zamarła w oczekiwaniu na ciąg dalszy.

– Przez ostatnie dwa tygodnie zaatakowano dziewiętnastu klientów. Siedemnaście prób skutecznie udaremniono, zarówno Matador, jak i klient wyszli z nich bez poważniejszych obrażeń. Osiemnasta próba również została powstrzymana, ale nasz człowiek zginął razem z zamachowcem. Dziewiętnastemu się udało. Bomba implodująca na Greaves. Straciliśmy Pendersona i Malori.

Dirisha skrzywiła się. Penderson był niewysokim, brodatym mężczyzną, który nigdy nie przestawał żartować, a Malori bladą dziewczyną, która zawsze wybuchła płaczem, gdy ktoś wyprowadził ją z równowagi. Kurwa.

– Wliczyliście atak na mojego klienta?

– Tak. Pen twierdzi, że zawiązano przeciwko nam spisek. Wszyscy nasi ludzie chronią działaczy antykonfederacyjnych. Zdaniem Pena Konfed próbuje nas oczernić przed opinią publiczną.

– Wygląda na to, że spieprzyli sprawę.

– Tym razem. Pen uważa, że to nie koniec. Zaczynamy być niewygodni dla władz, Dirisha. Badają nas miejscowi politycy, nawet ci, którzy siedzą w naszej kieszeni. Sprawdzają wszystko, od kodów budynków po wyniki finansowe. Gdzie nie spojrzeć, ktoś łązi i węszy.

Dirisha zamyśliła się.

– Massey wciąż ćwicz?

– Massey? Pewnie. Czemu pytasz?

– Tak sobie. Byłam ciekawa.

Skoro Pen pozwolił szpiegowi Konfederacji zostać w szkole, z pewnością miał ku temu ważne powody. Jego tok myślenia bywał tak zawily, że drzewko bonsai wydawało się przy nim proste niczym wiązka lasera.

– Co teraz?

– Wszyscy muszą wiedzieć, że robi się gorąco. Konfed planuje jakieś drastyczne kroki i Pen radzi, by Matadorzy poukrywali swoich klientów, bo zamachowcy najprawdopodobniej wkrótce znów uderzą.

Dirisha nie miała zamiaru postąpić inaczej, a wieści Sleela oznaczały tylko tyle, że musiała się bardziej śpieszyć.

– Coś jeszcze?

– A co, mało ci? Jak tylko pojawi się coś nowego, od razu dam znać. Trzymaj się.

– Na razie, Sleel.

Zapatrzyła się w pustą przestrzeń, gdzie jeszcze przed chwilą migotał hologram. I co teraz? Musiała przynajmniej spróbować przenieść Rajeema w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Konfed był silną organizacją, ale przecież nie wszechmocną; z pewnością istniały zakamarki ukryte przed oczami ich szpiegów.

Trzeba tylko jakiś odnaleźć i umieścić tam Rajeema z rodziną.

Nie było czasu do stracenia.

* * *

– Wykluczone – rzekł Rajeem. – Nie mogę prowadzić mojej działalności zagrzebany pod ziemią jak jakaś larwa.

Dirisha spojrzała na Beel – na jej twarzy malowała się troska. Znajdowali się w salonie ich domu – zarówno Beel, jak i Rajeem uparcie twierdzili, że teraz to miejsce należy do całej trójki – jednak Carlos nie siedział w wygodnym fleksifotelu. Stał trzy metry od Dirishy, opierając pięści o biodra. Beel formowała trzeci wierzchołek nierównego trójkąta.

– Rajeem... – zaczęła.

– Nie! Nie będę uciekał i chował się po jakichś dziurach!

– Popelniasz głupi błąd! – rzuciła Dirisha ze złością.

Na twarzy Rajeema odbiło się zdumienie. Najwyraźniej nie spodziewał się po niej takiego wybuchu.

– Czy twoje zachcianki nie są w tym momencie mało istotne? Sądziłam, że ze wszystkich sił dążysz do przyspieszenia upadku Konfedu!

– Oczywiście, że tak!

– Ja tego tak nie widzę. Powinieneś myśleć o jutrze, a nie o chwili obecnej. Razem z tobą może umrzeć nadzieja wielu ludzi. Gdy Konfed upadnie, powinieneś być z nami, by pozbierać rozsypane kawałki imperium. Możesz stać się jednym z tych, którzy będą rozdawać karty, jednym z tych, którzy po wszystkim poprowadzą nas we właściwym kierunku.

– Zamierzam...

– Do cholery z takimi zamiarami, jeśli nie chcesz uciekać wtedy, kiedy powinieneś. Gdy dinozaur Konfedu zwali się na ciebie całym ciężarem, nie będę w stanie cię ochronić. Nawet Khadaji wiedział, kiedy należy strzelać, a kiedy dać dyla.

– Dirisha, ja...

– Lubisz być w centrum, Rajeem, widzę to. Nie ma się czego wstydzić. Ale to, czego teraz pragniesz, nie jest tak istotne jak to, co sobą reprezentujesz. Gdy ktoś strzela, robisz unik! Każda inna decyzja będzie głupia! I egoistyczna!

Rajeem odwrócił się od Dirishy i spojrzał na Beel.

– Ona ma rację, Rajeem. Lubisz swoją grę, ale teraz musisz przewidzieć kilka ruchów naprzód. Jeśli cię wyeliminują przed rundą finałową, cały wysiłek pójdzie na marne.

Rajeem wbił spojrzenie w ścianę. Odetchnął głęboko i głośno, jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Przeniósł wzrok z powrotem na obie kobiety.

– Chyba macie rację. Przepraszam. Myślałem o sobie, o moim ego, o tym, jak będę wyglądał w oczach innych ludzi. Co teraz?

Dirisha kiwnęła głową.

– Znam pewne miejsce, gdzie nikt nie będzie o ciebie pytał ani się tobą interesował. Przynajmniej dopóki będziesz płacił.

* * *

Podróż z planety na planetę z zasady stanowiła procedurę mocno sformalizowaną, przynajmniej w kwestii tożsamości podróżnego. Teoretycznie przemieszczanie się statkiem wyposażonym w Naginacz pod fałszywym nazwiskiem było niemożliwe, ale podobnie jak w przypadku wielu innych rzeczy, teoria nie miała wiele wspólnego z praktyką. Dirisha, Beel, Rajeem oraz dzieci opuścili planetę Wu w systemie Haradali i przemierzili odległość prawie osiemdziesięciu lat świetlnych do systemu Ndama, na planetę, której imię nosiła Dirisha. Dokonali tego incognito, obierając trasę bardzo trudną – jeśli nie niemożliwą – do prześledzenia. Dotarli w ten sposób do miejsca, którego Dirisha miała nadzieję nigdy już nie oglądać – do jej domu.

Sądziła, że po piętnastu ziemskich latach nieobecności na Sawa Mji zastanie tam wielkie zmiany, ale czekało ją zaskoczenie – wszystko wyglądało niemalże tak samo. Och, tu i tam postawiono kilka nowych budynków, a parę starych przemalowano lub nieznacznie przebudowano, ale Flat Town wyglądało mniej więcej tak samo jak w dniu, gdy je opuściła.

Gdy prom opadał ku powierzchni planety, Dirisha poczuła ucisk w żołądku. Nienawidziła tego miejsca, nienawidziła go od zawsze i na palcach jednej ręki mogłaby policzyć miłe chwile, które stanowiły przeciwwagę dla

wszystkich złych wspomnień. Niemniej dla człowieka takiego jak Rajeem Carlos była to wprost wymarzona kryjówka. Na takiej planecie osiedlali się tylko ci, którzy stracili wszystko – reszta odlatywała. We Flat Town zostawały same męty, by z wiekiem gorzknieć coraz bardziej. Konfed skazał to miejsce na powolne dogorywanie w zapomnieniu. Miejscowy garnizon był symboliczny i składali się nań żołnierze bez specjalnego wyszkolenia. Nawet gdyby Rajeem wyszedł z ukrycia i oznajmił, kim naprawdę jest, miejscowy lojt okazałby się zbyt naćpany, by to zrozumieć lub by podjąć jakiegokolwiek działania. Miejsce, w którym Dirisha przyszła na świat, było mroczną dziurą i dlatego idealnie nadawało się do ich nowego celu.

Niespecjalnie martwiła się losem krewnych, o ile ktokolwiek jeszcze żył, ale wiedziała, że musi ich sprawdzić. W końcu mogli ją rozpoznać, zainteresować się powodem jej przybycia i zacząć węszyć. Prześwietlenie rodziny wydawało się dobrym posunięciem taktycznym.

Gdy prom podskakiwał na pasie startowym, wytracając prędkość, Dirisha uświadomiła sobie, że jej wnioski nie są do końca prawdziwe. Kierowała nią ciekawość, jasne, ale przede wszystkim, choć wbrew niej samej, troska. Jej matka, siostra i brat byli produktami społeczeństwa, w którym przyszli na świat; dobrze wiedziała, jak trudno w tym miejscu wyjść z nędzy. Sama zgromadziła pokaźny majątek, może więc nadarzy się okazja, by im jakoś pomóc? O ile nie było za późno.

Sterburtą i Bakburta czekali na rozładunek promu. Przybyli na planetę nieco wcześniej, również pod fałszywymi nazwiskami. Dirisha wyszła na popołudniowe słońce i natychmiast poczuła, jak uderza w nią fala upału. Smród, do którego przywykła jako dziecko, wdarł się w jej nozdrza z siłą fizycznego ciosu. Na Changa, jak ludzie mogą żyć w takich warunkach?

Sterburtą i Bakburta załatwili dla nich kwaterę, rzekomo przeznaczoną dla zamożnego inżyniera górnictwa, jego siostry i jej dzieci. Wraz z Dirishą mieli odgrywać role ochroniarzy troszczących się o szefa, który musi tkwić w dziurze na krańcu galaktyki aż do chwili podpisania lukratywnego kontraktu. Sfabrykowali odpowiednie dowody i dokumenty z wielką dbałością o szczegóły, a gdyby miejscowym szpiegom z jakiegoś powodu przyszło do głowy je sprawdzić, wszędzie znaleźliby potwierdzenia.

Po rozpakowaniu Rajeema Dirisha udała się na poszukiwanie rodziny. Wyglądało na to, że nigdy nie istnieli.

Szef ochrony w podupadłym burdelu z początku powitał ją kwaśno:

– Nic nie wiem. Spadaj, siostrzyczko, marnujesz mój cenn...

Urwał, gdy Dirisha wbiła mu łufę spetsdöda w muskularny, choć nagle lekko drżący brzuch. Dobrze wiedziała, jakim językiem rozmawia się z miejscowymi.

– Nie jestem paniusią spoza planety, tygrysku, więc masz dwie opcje: możesz ze mną grzecznie rozmawiać albo możesz się zwijać na podłodze. Wystarczy, że wyciągniesz rękę w kierunku alarmu, a zaliczysz parę kopów po tym, jak cię przybiję do podłogi.

Ochroniarz uświadomił sobie, że nie warto dłużej się droczyć.

– Nikt... nikt o nazwisku Zuri tu nie pracuje. Była taka jedna, ale już jej nie ma. Miała córkę, ale ona też znikła.

– Dokąd się udały?

– Nie wiem...

– To zgadnij.

Oblizwał suche wargi.

– Spróbuj w Belvo.

Dirisha ruszyła w stronę drzwi. Po zaledwie dwóch krokach odwróciła się i wystrzeliła z obu spetsdödów, po trzy strzałki z każdego. Ani jedna nie trafiła ochroniarza, ale mężczyzna pobałdł jak ściana. Zdążył już sięgnąć po pistolet i Dirisha pozwoliła mu wyjść z za lady, zanim jej seria wybiła mu broń z rąk. Zrozumiał przekaz. Splótł palce i założył dłonie za głowę, a Dirisha wyszła z burdelu.

Belvo okazał się, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze większą dziurą, a przy okazji stratą czasu. Jej siostra, jeśli to była ona, przepadła razem ze swoją córką. Lub cudzą, któż to mógł wiedzieć. Po matce zaginał wszelki ślad.

W drodze powrotnej Diriszę ogarnęło przygnębienie, jakiego nie czuła od chwili, gdy opuściła ten świat piętnaście lat temu. Czego tak na dobrą sprawę się spodziewała? Że wpadnie tu jakby nigdy nic i uratuje siostrę? Wsunie jej do ręki gruby zwitek standardów i kaze udać się do miejsca, gdzie będzie mogła żyć jak człowiek, a nie pogardzane zwierzę? Cóż, tak wyglądała część jej marzenia. Pragnęła stać się dobrą siostrą, która wróci po latach, by odmienić los najbliższych. Dobrze jednak wiedziała, że się oszukuje. Była przecież wystarczająco inteligentna, by dostrzec w tym marzeniu gorzką ironię. Wcale nie chodziło jej o Zawadi, chodziło jej o siebie! Chciała pokazać rodzinie, co osiągnęła, nic ponadto! Cóż, najwyraźniej nie wystarczyło nauczyć się kochać, by zapomnieć o zmorach z przeszłości. Te

zmory wciąż w niej żyły i kiedyś musiała je przegnać. Lecz nie dziś.

* * *

W pokoju czekała ją niespodzianka – przyszła kolejna wiadomość od Sleela. Sterburtą twierdził, że raczej pilna.

Dirisha oddzwoniła. Na jej komunikatorze ożyła pozbawiona kolorów twarz.

– Pękła rura z głównem – oznajmił Sleel. – Szkoła została zamknięta, wszyscy mają się udać do kryjówek. Szkolenie Matadorów zostało uznane za zdradę Konfederacji. Siedzę teraz w tajnej kwaterze założonej przez Pena po drugiej stronie planety. Wydano nakazy aresztowania na nas wszystkich, łącznie z tobą.

– Czy wszyscy są bezpieczni?

– Z tego, co wiem, tak. Ostrzeżono nas sześć godzin wcześniej. Bork i Mayli zostali z Penem, by zamknąć Villę, ale zdążyli zwać, zanim po szkole przetoczyli się żołnierze Konfedu.

Dirisha odetchnęła z ulgą. Niech będą dzięki wszystkim bogom!

– Każdy, kto jeszcze nie wyruszył w drogę, najprawdopodobniej wpadnie w sieć Konfedu. Większość z naszych już się pochowała razem ze swoimi klientami.

Sleel na moment urwał, a jego policzki oblały się rumieńcem.

– To był Massey, Dirisha, w dupę jebany szpieg. Wiedziałaś o wszystkim, prawda?

– Tak, wiedziałam – westchnęła. – Pen też.

Ostatnia informacja była dla Sleela szokiem.

– Wiedział? To dlaczego pozwolił, żeby doszło do tego wszystkiego?

– Nie mam pojęcia, Sleel. Pen widzi dalej i więcej niż ktokolwiek z nas.

– Jasne. Kurwa mać. Dobra, Dirisha, spadam. Powiadomiłem wszystkich, by używali quintdropów do przekazywania wiadomości. Pen twierdzi, że miną całe lata, zanim Konfed się w tym połapie, nawet jeśli dorwą kogoś, kto ich w to wprowadzi. Daj znać, jak będzie się coś działo.

Sleel zamilkł, ale nie przerwał połączenia, jakby się zastanawiał, co jeszcze powiedzieć. Dirisha pomyślała o zamkniętej szkole i Konfedzie, który zniszczył jedyny bezpieczny dom, jaki kiedykolwiek miała. Poczwała, jak przetacza się przez nią fala emocji. Wściekłość, smutek, bezradność, a wszystko to przyprawione troską o przyjaciół.

Sleel odchrząknął.

– Słuchaj, Dirisha, być może ja... Znaczy się, zarówno ty, jak i ja... Istnieje szansa, że...

– Jasne, rozumiem. Uważaj na siebie, okej? Porządny z ciebie facet, Sleel.

– S... spoko. Spadaj zawsze na cztery łapy. Bez odbioru.

Dirisha odwróciła się i zobaczyła Rajeema. Chciała podbiec do niego, rzucić mu się na szyję i wybuchnąć płaczem, lecz tylko siedziała bez ruchu.

– Słyszałeś?

– Tak. Wygląda na to, że dinozaur będzie się rzucał, nim upadnie i zdechnie.

Dirisha zapatrzyła się w przestrzeń. Szkoła przestała istnieć, jej przyjaciele rozproszyli się po całej galaktyce. Pen musiał wiedzieć, na co się zanoszą, przecież on zawsze wszystko wiedział. Jak mógłby przeoczyć coś tak ważnego? A skoro wiedział, co się wydarzy – a musiał, po prostu musiał to wiedzieć! – to dlaczego pozwolił, by doszło do takiej tragedii? O co mu chodziło? Co planował?

– Dirisha? – Beel wyglądała na zatroskaną. Dirisha zaczęła tłumaczyć, co się stało, lecz w tej samej chwili rozbrzmiała kontrolka połączenia przychodzącego. Bezwiednie włączyła komunikator. Cóż znowu?

Sleel.

– Sleel? Co się, do cholery...

– Mają Pena! Dorwali Pena!

– Co? Gdzie! Coś mu się stało?!

– Słuchaj, on po prostu wszedł do biura dowódcy I się poddał!

Dirisha gwałtownie potrząsnęła głową.

– Mam w to niby uwierzyć? Po co miałyby to robić? Po jaką cholere?!

– Jest transmisja na żywo! Ktoś musiał o tym wiedzieć, nagrał wszystko i wrzucił na sieć, właśnie to oglądam! Spróbuję przetrzymać ci sygnał na komunikator... Poczekaj...

Ekran Dirishy zgasł, a zaraz potem pojawiła się na nim nieco zamazana holoprojekcja. Spowita w szarą szatę postać Pena była widoczna w samym centrum. Dirisha przestała oddychać. Otaczał go tuzin uzbrojonych żołnierzy, a przed nim stał jakiś oficer.

Na bogów, jeśli Pen zamierzał stawiać opór, załatwiłby większość tych żołnierzy, jeśli nie wszystkich! Przecież nadal miał spetsdödy! Czyżby byli nie tylko głupi, ale i ślepi?

Oficer sięgnął po kaptur Pena. Pen stał nieruchomo, trzymając ręce luźno wzdłuż ciała. Dirisha pochyliła się.

Żołnierz złapał za kaptur.

Operator kamery wykonał zbliżenie. Dłoń oficera zacisnęła się na materiale i szarpnęła, zdzierając zasłonę. Po raz pierwszy Dirisha ujrzała twarz człowieka, który był jej przyjacielem i nauczycielem przez ponad sześć lat. Wypuściła powietrze z płuc i krzyknęła, bo natychmiast rozpoznała tę twarz.

Twarz Emile Antoona Khadajego!

DWADZIEŚCIA CZTERY

To niemożliwe! – stwierdził Rajeem. – Khadaji nie żyje, został zabity przez żołnierzy Konfederacji na Greaves.

– To był on – utrzymywała Dirisha. – Pracowałam dla niego, wiem, jak wygląda. Cholera, jak to możliwe, że nie rozpoznałam go wcześniej? Ten głos... Na pewno korzystał z mutera...

– Khadaji. Żywy. – Rajeem wpatrywał się w wygaszony ekran komunikatora. – Są ludzie, którzy czczą go jak mesjasza! Mógłby zebrać pięćmilionową armię jednym machnięciem ręki!

Do pokoju wszedł Bakburta.

– Nie wiem, czy to odpowiednia pora, ale jest jakaś przesyłka dla ciebie – z tymi słowami podał Dirishy niewielki pakunek owinięty w folię.

Dziewczyna zaczęła mechanicznie zdzierać opakowanie, lecz w labiryncie jej umysłu wciąż kłębiły się niepokojące myśli. O co chodziło Pertowi-Khadajemu? Co to wszystko znaczyło? I co miała teraz ze sobą zrobić?

Pod folią znajdowało się niewielkie pudełko. Otworzyła je.

W środku leżał zakrzywiony nóż ze stali, mosiądzu i drewna, którym Pen bawił się kiedyś na jej oczach w swoim gabinecie. Gdy go podniosła, światło zamigotało wzdłuż wypolerowanego ostrza. Ten podarunek miał coś oznaczać, Dirisha była tego pewna. Ale co takiego Pen-Khadaji próbował jej przekazać?

Za pomocą tego noża udzielono mu lekcji podstaw. A jakie podstawy próbował jej wpoić? Że powinna pamiętać o kluczowej misji Matadorów? A może o celach Khadajego? Wpatrywała się w nóż. A może było w tym coś jeszcze? Nóż stanowił metaforę, choć z pewnością nie tak subtelną i skomplikowaną jak metafory czy gry słowne Pena-Khadajego. Wydawał się mówić: dalej, Dirisha, teraz twoja kolej.

– Dirisha? – do pokoju weszła Beel.

Dirisha uniosła wzrok i niespodziewanie stwierdziła, że wie, co należy zrobić.

– Muszę się skontaktować z Genewą i całą resztą – rzekła.

– Rozumiem, że się o nich martwisz... – zaczął Rajeem.

– Sprawa jest o wiele poważniejsza. Przecież sam powiedziałaś, że Khadaji zebrałby całą armię, gdyby tylko chciał. A w pierwszym szeregu

stanęliby Matadorzy. Khadaji był czymś więcej niż tylko holobohaterem podziwianym w szkole, otaczano go prawdziwą czcią. Przeświadczenie, że Khadaji osiągnął szczyt ludzkiego poświęcenia, było tak istotnym elementem naszego szkolenia, że każdy z Matadorów przejdzie samego siebie, by mu pomóc. A to może oznaczać samobójstwo.

– Ale przecież będą pamiętać, że to Khadaji ich tego uczył. Jako Pen.

– To bez znaczenia. Znałam go i wiem, że był jedynie świetnie wyszkolonym wojownikiem, któremu dopisywało szczęście. A mimo to z trudem opanowałam chęć wskoczenia na pierwszy statek lecący na Renault, żeby mu pomóc. Dla większości adeptów Khadaji był czymś w rodzaju połączenia matki, ojca, kochanka i najlepszego przyjaciela. A jeśli nawet nie wszyscy to czuli, to wciąż jesteśmy lojalni wobec Pena. Wiele mu zawdzięczamy. Jasna cholera!

Rajeem przecesał dłonią włosy.

– Mam wrażenie, że kryje się w tym coś dziwnego...

Dirisha wybuchła śmiechem.

– Dziwnego? Tygrysku, nie znasz nawet jednej ósmej całej sprawy! Poziom komplikacji planów Pena przechodzi wszelkie pojęcie, ten człowiek od początku prowadził intrygę w intrydze! Nikomu nigdy nie udało się dojść do tego, co on właściwie planuje, aż do teraz.

– Chcesz powiedzieć, że rozumiesz, o co mu chodzi? – zapytała Beel.

Dirisha wstała i zaczęła chodzić po gabinecie, bawiąc się nożem.

– Tak mi się wydaje. Posunięcie, które wykonał przeciwko Konfederacji na Greaves, było elementem dalekosiężnego planu. Dzięki niemu stał się legendą. Zbudował szkołę Matadorów w oparciu o mit Człowieka, Który Nigdy Nie Chybiał. Bohatera do szpiku kości. Potem zindoktrynował oddział swoich popleczników – Matadorów – i rozesłał nas, byśmy nieśli wieści w każdy zakątek galaktyki. A teraz znalazł się w tarapatkach. Co nam pozostało? Wymyślić sposób, żeby mu pomóc!

Dirisha spojrzała na Rajeema i Beel.

– Wiecie, co to oznacza? Konfed chwije się od dłuższego czasu, a Khadaji chce, żebyśmy go mocniej pchnęli. Matadorzy służą najbogatszym, najbardziej wpływowym ludziom galaktyki, ludziom, którzy w wielu przypadkach zawdzięczają Matadorom życie. Ludziom, którzy sami próbują się wyrwać spod jarzma Konfedu. Pomyślcie tylko, przecież to idealne rozwiązanie! Nikt z nas nie zbierze armii ani nie zbuduje floty zdolnej stawić

czoło siłom zbrojnym Konfedu. Prawdziwa siła, prawdziwa władza spoczywa w rękach tych, którzy dysponują pieniędzmi i wpływami, ci zaś znajdują się pod wpływem Matadorów. Kurewsko dobre rozwiązanie!

– Co zamierzasz zrobić? Powiedzieć reszcie, że Khadaji zrobił was w konia?

Dirisha pokręciła głową.

– To nie miałyby sensu. Większość z nas wszystko zawdzięcza Khadajemu. Może i nas wykorzystał, ale również wiele nauczył. Co więcej, wszyscy zostaliśmy wybrani, ponieważ Konfedowi na nic byśmy się nie przydali. Nie. To nie dlatego chcę się z nimi zobaczyć.

– A więc dlaczego?

Dirisha przyglądała się nożowi, śledząc refleksy na zimnej stali. Dlaczego? To dopiero zagadka! Khadaji wyszkolił ją i ukształtował; była samotnikiem, a dzięki niemu stała się częścią zespołu; nie wiedziała, czym jest miłość, a on pokazał jej również i to. Bez względu na powody, jakimi się kierował, stworzył dla niej dom, miejsce, do którego mogła należeć. A jednak kryło się w tym wszystkim coś jeszcze, kolejna lekcja, którą musiała opanować. Znowu spojrzała na nóż. To wszystko, co zyskała, nie wystarczyło, przynajmniej w ocenie Khadajego. Chciał od niej czegoś więcej. Czego?

Wiedziała, że odpowiedź na to pytanie znajduje się w jej zasięgu. Musiała zadbać nie tylko o siebie i grono tych, których kocha – musiała otworzyć serce na zwykłych ludzi. Tego właśnie dokonał Khadaji. Khadaji patrzył daleko w przyszłość i tego samego wymagał od niej.

– Muszę się spotkać z resztą i... i ich poprowadzić – wyszeptała.

– Poprowadzić? – Rajeem pokręcił głową. – Do czego? Przecież armia Konfedu składa się z miliardów żołnierzy!

Dirisha uśmiechnęła się przebiegle.

– W pierwszej kolejności uwolnimy Khadajego. A potem się zobaczy. Jeśli trzeba będzie przywalić Konfedowi, tak właśnie zrobimy.

– Przecież to szaleństwo! – prawie krzyknęła Beel.

– Możliwe. Ale dokładnie to zrobimy. Lub przynajmniej spróbujemy zrobić.

* * *

Kompleks Edukacyjny Toowoomba, Australia, Stany Południowej Półkuli, Ziemia. Oto brzuszysko lub, ściślej mówiąc, nerka bestii, skąd wyciekają wszelkie trucizny – kwatera główna Sił Zbrojnych Konfederacji.

Czy można sobie wymarzyć lepsze miejsce na kryjówkę?

Dirisha siedziała w bocznej salce biblioteki. Czekala. Rajeemowi nic nie groziło, Bakburta i Sterburtą byli wystarczająco dobrzy, by poradzić sobie z każdym niebezpieczeństwem wypłutym przez Flat Town. Chwilowo miała inne, ważniejsze rzeczy na głowie.

Zobaczyła, jak do budynku wchodzi ciemnoskóra, ciemnowłosa kobieta; na pierwszy rzut oka kura domowa ubrana w gruby płaszcz chroniący przed wieczornym chłodem. Na dłoniach miała rękawice z jednym palcem.

Dirisha wstała, a wtedy kobieta ją dostrzegła.

Choć różniła się kolorem włosów i skóry, jej uśmiech Dirisha rozpoznalaby w każdej sytuacji. Wyciągnęła ręce, a Geneva wpadła jej w objęcia. Uściśniły się mocno. Geneva zaczęła płakać, lecz Dirisha scałowała jej łzy.

– Powoli, mała, nie ma na to czasu. Jest robota do wykonania.

– Ach, Dirisha, jak ja za tobą tęskniłam!

– No, ja też zauważyłam, że cię nie ma.

– Co zrobimy z Penem? Znaczy się, z Khadajim?

– Nie martw się, kochana, coś wymyślimy. Reszta jest na miejscu?

– Tak. Sleel dotarł jako ostatni, czeka w kryjówce. Mayli i Bork są na zewnątrz we flitterze.

– Dobra. Chodźmy, mamy mnóstwo do obgadania.

Ręka w rękę wyszły w noc. Dirisha nie martwiła się już ani odrobinę. Matadorzy wyruszali na wojnę.

Konfed nie miał najmniejszych szans.